PYZA I WIKŁO:
„RESET" – SERIAL, KTÓRY BOLI

ROKITA:
PSL W ŚLEPEJ ULICZCE

MACIEJEWSKI O TVN:
TUBA TUSKA USPRAWIEDLIWI WSZYSTKO

SIECI

DLACZEGO FRANCJA PŁONIE?
WAŻNA ANALIZA ALEKSANDRY RYBIŃSKIEJ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 28 (554) 2023
10–16 lipca 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY:

TUSK ZNÓW ZŁAPANY NA KŁAMSTWIE

STOP

TYM RAZEM W SPRAWIE IMIGRACJI DO POLSKI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

epraasa.pl

Telewizja Polsat Box ze światłowodem Plusa

już od 49 zł/mies.

przez pierwszy rok po rabatach. Od 13. do 24. miesiąca 70 zł/mies. z rabatami, po 24. miesiącu 99 zł/mies. z rabatem

polsat box plus

Oferta dla nowych Klientów, którzy łącznie kupią ofertę internetu stacjonarnego Plusa i telewizji Polsat Box z umowami na okres podstawowy 24 mies. **Internet stacjonarny** do 300 Mb/s z abonamentem przez pierwszych 12 mies. za 19 zł/mies. z rabatami za e-fakturę 10 zł, smartDOM 9 zł i specjalny 21 zł. Od 13. do 24. mies. za 40 zł/mies., z rabatami za e-fakturę 10 zł i smartDOM 9 zł. Od 25. mies. za 59 zł/mies. z rabatem za e-fakturę 10 zł. Szczegóły w Regulaminie Promocji z grupy ofert „Plus Internet Stacjonarny 1.0 – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja satelitarna/kablowa IPTV** z pakietem S od 30 zł/mies. przez pierwsze 24 mies. Od 25. mies. od 40 zł/mies. Technologia kablowa IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa (min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder). Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. Warunkiem skorzystania z rabatu jest zachowanie warunków programu smartDOM i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 3.07.2023 r.

eprasa.pl 6d12520532

Zabiorą im nawet marzenie o wnukach

Dawno nie widziałem tak smutnej sceny, wręcz cuchnącej cywilizacją śmierci. Oto dziennikarz TVN24 Piotr Jacoń obsztorcował Aleksandra Kwaśniewskiego niczym jakiegoś uczniaka. Powód? Kwaśniewski wyznał, że chciałby mieć wnuki, mimo iż jego córka publicznie deklarowała, że nie chce mieć dzieci.

„Byłbym szczęśliwy, gdybym wnuki miał" – mówił Kwaśniewski.

Jacoń zrobił kwaśną minę i przełożył nogę: „Ooooo, ale pan powiedział...".

„No, powiedziałem prawdę" – odparł były prezydent.

„A to trudne pytanie. Ja się zastanawiałem, czy się w ogóle do tego dotykać. Ten ostatni wywiad Oli jest o niemacierzyństwie, o prawie do niemacierzyństwa. Czyli jest o tym, że wszyscy wokół pytają: »A dlaczego nie? A kiedy będą dzieci?«. A teraz pan siada tutaj i mówi: »No, wnuki to bym chciał«" – sztorcował swojego gościa Jacoń.

Kwaśniewski w zasadzie zaakceptował reprymendę. Coś tam pomruczał, okazał skruchę, w istocie nie podjął polemiki. A szkoda. Milczenie w takiej sytuacji oznacza przecież przyzwolenie na zamordyzm, który dziś na Zachodzie niemal uniemożliwia jakąkolwiek debatę. Który tłamsi uczucia, emocje, swobodę wypowiedzi. Który – co najważniejsze – finalnie znosi jakiekolwiek obowiązki międzypokoleniowe. Nikt nie jest nic nikomu winien. W rezultacie młodzi zamiast dzieci mają „psiecko", a starsi kończą życie w domach spokojnej starości.

I według Jaconia nie mają nawet prawa marzyć o wnukach, bo sprawia to przykrość dzieciom, które nie chcą mieć dzieci. A przecież relacja między dziadkami i wnukami, jak wykazują badania, bywa często silniejsza niż między rodzicami i dziećmi.

Zachęcam starsze pokolenie lewicy do odwagi i walki o swoje prawa. Choćby o prawo do marzeń o wnukach, przedłużeniu rodu, możliwości wychowania kolejnego pokolenia. Nie musicie ulegać szaleńcom, którzy chcą zepchnąć naszą cywilizację w przepaść nicości. Zbudujmy możliwie szeroką koalicję na rzecz normalności. Odrzućmy głupców – albo cynicznych manipulantów – którzy swoje osobiste niepowodzenia odreagowują pragnieniem zdemolowania życia innym. Odrzućmy wspólnie tę całkowicie pustą ofertę, która zawsze – ZAWSZE – kończy się łzami. W samotności.

Jacek Karnowski

O to chodzi z tym referendum

Jak już dobrze wiemy, stwierdzenie Donalda Tuska, według którego w tej chwili w Polsce pracuje ponad 130 tys. obcokrajowców z krajów wschodnich – jest zwykłym kłamstwem.

Jak potwierdziło kilku urzędników, obecnie w Polsce wydano ok. 40 tys. zezwoleń na pracę obywatelom z zagranicy. Tusk zmyśla, jednak w tym samym czasie żadne ze wspierających go mediów nie kwestionuje tej liczby 130 tys.

W tym wszystkim chodzi jednak o coś innego. O to, że Tusk próbuje zaatakować politykę migracyjną Zjednoczonej Prawicy, która się sprawdza.

Politykę, która w tej chwili skutecznie pomaga zarówno osobom potrzebującym wsparcia – migrantom, jak i polskim przedsiębiorcom i polskiej gospodarce.

Do Polski przyjeżdżają ludzie z krajów słabiej rozwiniętych, tutaj uczciwie zarabiają pieniądze, dzięki którym pomagają swoim rodzinom i sobie. Po dokładnym przestudiowaniu ich referencji państwo polskie otwiera dla nich przestrzeń, a polskie społeczeństwo nie sprawia im problemów. Oni również nikomu nie przeszkadzają.

W przeciwieństwie do tego udanego modelu mamy inny, realizowany od 2015 r. przez Unię pod kontrolą Niemiec. Charakteryzuje się on chaosem i niebezpiecznymi konsekwencjami – zarówno dla krajów europejskich, jak i dla samych migrantów. Jeszcze w 2015 r. krytycy modelu „Herzlich willkommen" mówili, że przyniesie on migrantom wiele zła.

I dzisiaj, gdy Bruksela chce ich przenosić z kraju do kraju jak jakiś towar (w systemie przymusowej relokacji) – ostrzeżenie okazało się prawdą.

Referendum w sprawie przymusowej relokacji nie jest skierowane przeciwko migrantom, ale przeciwko idei, że Polacy powinni teraz mimo wszystko ponosić konsekwencje cudzej błędnej polityki.

To prosty fakt, który Tusk i jego zwolennicy starają się ukryć swoją demagogią. I przy tym kontynuują obronę brukselskiej polityki, która zredukowała życie migranta do 20 tys. euro. A jednocześnie moralizują.

Przekonują też, że ideą referendum PiS zdradził św. Jana Pawła II oraz jego nauczanie o potrzebie pomocy migrantom. Prawda jest jednak zupełnie inna. Polska polityka migracyjna nigdy nie była bardziej zgodna z tą nauką, zachęcającą do prostej i bezpośredniej pomocy migrantom i uchodźcom oraz do poszanowania ich godności. Jesteśmy dziś świadkami, jak polityka Unii, zaprojektowana przez Niemców, zniszczyła tę godność i traktuje ludzi jak towar. Przeciwstawić się takiej polityce to jest właśnie zachowanie zgodne z nauką św. Jana Pawła II. I o to chodzi z tym referendum.

Goran Andrijanić

Reklama | 29/0123/F

eprasa.pl 6d12520532

SIECI

spis treści

52 Droższa, ale nadal piękna
Goran Andrijanić

54 Od bramkarza Realu po piosenkarza milionera
Małgorzata Wołczyk

61 Strategia Jagiełły
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

10 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

11 KOMU BIJE DZWON
Bronisław Wildstein

12 WALIZKA ZDZISŁAWA SIPIERY
Michał Korsun

14 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

15 SUWALSKI KATYŃ
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 NIEMIECKI PAKT JAK PLASTRY NA ODCHUDZANIE
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

18 GRA WOKÓŁ IMIGRANTÓW
Konrad Kołodziejski

22 TOŻSAMOŚĆ I NIENAWIŚĆ
Aleksandra Rybińska

KRAJ

28 BICZ NA TUSKA
Stanisław Janecki

30 PSL W ŚLEPEJ ULICZCE
Jan Rokita

34 SERIAL, KTÓRY BOLI
Marek Pyza, Marcin Wikło

38 „TUBA TUSKA" W INTERESIE BRUKSELI
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

40 DZIEDZICTWO BENEDYKTA XVI
rozmowa Włodzimierza Rędziocha

44 WOJNA W STANIE HIBERNACJI?
Marek Budzisz

48 JAK SĄD NAJWYŻSZY ZMIENIA PRAWO W USA
Grzegorz Górny

52 DROŻSZA, ALE NADAL PIĘKNA
Goran Andrijanić

54 OD BRAMKARZA REALU PO PIOSENKARZA MILIONERA
Małgorzata Wołczyk

OPINIE

58 RETUSZOWANIE ŻYCIA
Dariusz Matuszak

SIECI KULTURY

61 STRATEGIA JAGIEŁŁY
Jolanta Gajda-Zadworna

64 PEDOFILIA ROMANTYCZNA I SERYJNY SAMOBÓJCA
Robert Tekieli

65 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

66 POLECA
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

68 INWESTYCJE W BUDOWNICTWIE INFRASTRUKTURALNYM – NAJWAŻNIEJSZE WYZWANIA I PRIORYTETY
Debata Forum wGospodarce.pl

KUCHNIA

74 MOJE SMAKI: KS. WITOLD KAWECKI
Jolanta Gajda-Zadworna

75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 KARAĆ SUROWIEJ
Wojciech Reszczyński

77 RAK
Aleksander Nalaskowski

78 POLICZEK DLA SCHOLZA
Jerzy Jachowicz

78 WYŚPIEWAĆ WEINBERGA Z TUWIMEM
Adam Ciesielski

79 RADOSŁAW SIKORSKI I JEGO PRIORYTETY
Piotr Gontarczyk

80 ZDZICZAŁA EUROPA
Ryszard Makowski

81 ZAPROSZENIE POD LIPĘ
Leszek Długosz

82 PRZEKRĘT KORPORACYJNEJ SPRAWIEDLIWOŚCI
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 69/0523/F

eprasa.pl 6d12520532

ORLEN

WAKACYJNA PROMOCJA

WRACA DO GRY

-40 gr/l z Kartą Dużej Rodziny

-30 gr/l

Miesięcznie aż 4 promocyjne tankowania z Programem VITAY. Każde do 50 litrów taniej!

POLSKA | ORLEN

SPONSOR GENERALNY REPREZENTACJI

Promocja dla Zarejestrowanych Uczestników ORLEN VITAY. Ważna kartą VITAY lub Wirtualną Kartą VITAY wraz z aktywowanym kuponem promocyjnym uprawnia do uzyskania rabatu na 50 l benzyny lub oleju napędowego w wysokości 30 gr/l lub 40 gr/l w przypadku posiadaczy Karty Dużej Rodziny. Każdy dodatkowy litr powyżej 50 l rozliczany jest według ceny ofertowej podanej na dystrybutorze w trakcie tankowania. Promocja nie obejmuje LPG, nie łączy się z innymi programami rabatowymi oraz promocyjnymi i jest ograniczona czasowo. Regulamin promocji i lista stacji uczestniczących w promocji na vitay.pl/rabaty

Sygnalista nadaje

W gazecie Michnika bez zmian. 100. rocznica urodzin Wojciecha Jaruzelskiego nie mogła przejść bez echa. „Ciemne i jasne strony generała" – zatytułowano okolicznościowy komentarz, w którym pouczono nas, o czym w tym dniu powinniśmy pamiętać. Zadziwiający krytycyzm. Jakie ciemne strony? U „człowieka honoru"?

Na kolejnych stronach tekst przedstawionego jako działacz polonijny Witolda Lilientala, który ostrzega już w tytule: „Znam początki tragedii wywołanej faszyzmem". Dalej dowodzi: „Przez świat przetacza się fala autorytaryzmu. 100 lat temu Niemcy nie wiedzieli, komu wierzyć. Polacy, bogatsi o doświadczenia ostatnich ośmiu lat, przynajmniej dziś powinni wiedzieć, komu nie wierzyć". Tekst ilustruje zdjęcie Jarosława Kaczyńskiego. Takie zestawienie demokratycznego polskiego polityka z niemieckim nazizmem to czyste chamstwo. Na szczęście doświadczenie Polaków jest nieco dłuższe – podobnie jak ich pamięć. Tekst odnotowujemy, byśmy wiedzieli, że gdy naprawdę u progu wolnego świata stanie faszyzm, nikt nie uwierzy.

O tym samym zjawisku mówiła w czasie ubiegłotygodniowej wizyty w Polsce włoska premier ***Giorgia Meloni***. Komentując zwiększającą się listę państw, w których doszły lub za chwilę mogą dojść do władzy ugrupowania niechętne budowie scentralizowanej, biurokratycznej, lewicowej i promującej masową migrację Unii Europejskiej, stwierdziła, iż wszędzie spotykają się one z takimi samymi próbami straszenia społeczeństwa, rzucaniem straszliwych, a nieprawdziwych zarzutów, słowem – szerzeniem paniki. Ten medialno-polityczny terror przez lata był skuteczną metodą zastraszania. Bez jego odrzucenia nie obronimy naszej wolności.

Rzekoma lewicowa wrażliwość jest tyleż totalitarna co fałszywa. Przykładem może być postawa tzw. organizacji ekologicznych wobec wojny na Ukrainie – milczenie, ciche oświadczenia, żadnego przykuwania się do rosyjskich ambasad. ***Greta Thunberg*** po fali krytyki w końcu pojawiła się w Kijowie, ale nie wydobyła z siebie potępienia Moskwy. Tymczasem – jak donosi ukraińska prasa – w wodzie, która spływa po wysadzeniu przez Rosjan tamy w Nowej Kachowce, stężenia groźnych chemikaliów przekroczone są nawet o 2 tys. proc. W Odessie ocenia się, że w Morzu Czarnym nie będzie się można kąpać przez 6–7 lat. Woda poniosła chemiczne składy, szamba, zwierzęta. Do tego wojna codziennie przynosi morze ognia, cierpień i zniszczeń. Dla ekologów to nie jest temat. Co innego, gdy polski rząd chce zbudować drogę – wtedy się ożywiają. Powody? Jak mawiali klasycy dziennikarstwa śledczego: follow the money – idź za pieniędzmi.

Kamienną twarzą zaimponował nam też Piotr Kraśko. A było tak. Były poseł Artur Zawisza usłyszał wyrok uniewinniający w sprawie o prowadzenie auta mimo sądowego zakazu. Informację o tym przeczytał na antenie TVN właśnie redaktor Kraśko. „Prawo jazdy stracił za jazdę po alkoholu, potem spowodował wypadek, potrącił rowerzystkę i jeździł mimo sądowego zakazu prowadzenia pojazdów. Teraz były poseł Artur Zawisza usłyszał w tej sprawie wyrok. Uniewinniający" – przeczytał gwiazdor

eprasa.pl 6d12520532

TVN. Ten sam, który we wrześniu 2022 r. został prawomocnie skazany przez Sąd Rejonowy w Ostrołęce za prowadzenie samochodu bez uprawnień. Dziennikarz będzie musiał zapłacić karę 100 tys. zł i ponieść koszty procesu sądowego.

Problemy z pamięcią ma też najwyraźniej Donald Tusk. Dziś cynicznie i kłamliwie atakuje PiS za rzekome masowe sprowadzanie pracowników z krajów muzułmańskich (szerzej o tym kłamstwie w tekście Konrada Kołodziejskiego na str. 18–21). Tymczasem jeszcze w 2021 r. posłanka PO Izabela Leszczyna pod hasłem „Recepta na kryzys" proponowała w imieniu całej partii likwidowanie barier w zatrudnianiu obcokrajowców. „Jako społeczeństwo starzejemy się. Jeśli nie zmienimy naszej polityki gospodarczej, to do 2050 r. z rynku pracy ubędzie 3 mln osób. Czy uda się tę lukę, która jest najbardziej niebezpieczna dla rozwoju polskiej gospodarki, zasypać wzrostem wydajności pracy, produktywności? [...] Brakuje nam rąk do pracy. Dlatego musimy likwidować bariery w zatrudnianiu obcokrajowców" – oświadczyła wówczas Leszczyna. Ci ludzie wstydu nie mają.

Albo muszą – przecież Berlin każe za wszelką cenę zmienić rząd w Warszawie. Celnie ujął zagrożenie, przed którym stoi Polska, premier ***Mateusz Morawiecki***. Mówił, że na wschodzie widzimy Grupę Wagnera, a na zachodzie działa grupa Webera. Oburzyło to całe medialne lewicowo-liberalne stadko. Niesłusznie. Premier nie zrównywał tych zagrożeń, ale zauważył, że jedni i drudzy chcą przebić polską granicę, przejąć prawo decydowania, kto ma się u nas osiedlić. Zawsze gdy Polacy to prawo tracili, znikała też polska niepodległość.

Są ludzie, których nic nie przekona. Czym się kieruje np. Janina Ochojska, uparcie atakująca obrońców polskich granic? Nawet obrazy płonącego Paryża nie wzbudziły w niej refleksji. Gdy premier Morawiecki pokazał film zderzający tamtą grozę ze spokojem i z bezpieczeństwem polskich miast, Ochojska zakrzyknęła z oburzenia: „Film ocieka fałszem i manipulacją. Morawiecki wykorzystuje śmierć 17-letniego Nahela w Nanterre, który został zastrzelony przez policjanta po próbie ucieczki samochodem. To spowodowało poważne zamieszki. I nie ma nic wspólnego z bezpieczeństwem granic Polski". Jasne. Właściwie to winni są francuscy policjanci, którzy nie zrozumieli szczęścia, które daje ubogacenie niesione przez masową, niekontrolowaną migrację.

W jeszcze bardziej zaskakujące tony uderzył poseł Lewicy ***Maciej Gdula***. Polityk przekonuje, że za zamieszki we Francji nie odpowiadają migranci, tylko ludzie urodzeni we Francji. Zdaniem polityka, należy wymyślić inny model integracji niż Francja. Ujął to tak: „1) Zamieszki we Francji to nie migranci, tylko ludzie, którzy urodzili się i wychowali we Francji. 2) Ich powodem nie jest permisywizm, tylko brutalność, z jaką są traktowani nie-biali Francuzi. 3) Zamiast straszyć migrantami, trzeba wymyślić inny model integracji niż Francja". Nie dziwmy się, to stała narracja lewicy na Zachodzie. Im gorzej idzie integracja i ubogacanie, im bardziej ludzie mają dość, tym mocniej dokręca się śrubę reedukacji. Bo w tej doktrynie winne jest społeczeństwo, nie agresorzy.

Gdyby opozycja przejęła władzę, taka narracja zapanowałyby w prawie wszystkich mediach. Plany czystek nie są już nawet skrywane. W TVP Info redaktor Adrian Klarenbach pytał poseł Karolinę Pawliczak o jej możliwy transfer do PO. W odpowiedzi była posłanka Lewicy zasugerowała, że po ewentualnie wygranych przez opozycję wyborach dziennikarz straci pracę. „Wyjątkowo jest pan dzisiaj złośliwy. Nie pytam się pana, gdzie pan pójdzie po przegranych wyborach PiS" – stwierdziła. Gdy Klarenbach odparł, że nie wybiera się do innej stacji, usłyszał: „Nie wiem, czy zagrzeje pan tu długo miejsce". Mówili, że za wolność słowa dadzą się zabić, a chodziło o to, że za jej rzeczywiste praktykowanie będą wykańczać.

Na razie każdego dnia zapewniają o swojej wrażliwości. Najchętniej wirtualnie, najlepiej z użyciem superdrogiego sprzętu. Poseł ***Franciszek Sterczewski*** z KO dokonał nietypowego zakupu na koszt swojego biura poselskiego. Okazuje się, że wszedł w posiadanie kosztownego smartfona. Sprawę wyśledził jeden z użytkowników Twittera. Internauta ujawnił, że na koszt biura poselskiego Sterczewskiego zakupiono telefon iPhone 13 Pro, który miał kosztować aż 7937 zł. Do kosztów dołączyło też ubezpieczenie za ponad 800 zł. Ma to być drugi najdroższy pojedynczy zakup w biurach poselskich w 2022 r. Reagując na sprawę, Sterczewski zapewnia, że po kadencji wykupi telefon po rynkowej cenie. Może wykupi, może nie, na razie zabaweczkę na koszt podatnika ma.

Drogie zabawki lubi też Lech Wałęsa. Orzekł właśnie: „Musimy się przygotować na najgorsze scenariusze. Uważam, że grozi nam wojna domowa – ci ludzie są do tego zdolni". Były prezydent przekonuje też, że trzeba obalić prezesa PiS, bo „niebezpieczeństwo krwawego konfliktu rośnie proporcjonalnie do długości trwania tego nierządu". Postawimy tezę, że szanse na obalenie tego rządu maleją proporcjonalnie do zaangażowania Wałęsy w jego obalenie. Tak trzymać!

Fot. Alessia Pierdomenico/Shutterstock.com, Shutterstock, Andrzej Wiktor (3x)

eprasa.pl 6d12520532

USA

Koniec punktów za pochodzenie

Po blisko 60 latach Sąd Najwyższy USA zdecydował o zakończeniu akcji afirmatywnej na amerykańskich uczelniach. Uznał, że programy rekrutacyjne Uniwersytetów Harvarda i Karoliny Północnej przyznające dodatkowe punkty przedstawicielom mniejszości jako zadośćuczynienie za społeczno-ekonomiczną opresję ich przodków są niezgodne z 14. poprawką do konstytucji gwarantującą równe prawa dla wszystkich obywateli.

Sąd podjął decyzję stosunkiem głosów 6:3 – konserwatywna szóstka powołana przez republikańskich prezydentów zagłosowała za, sędziowie powołani przez demokratów przeciwko. Reprezentująca liberalną mniejszość Sonia Sotomayor – pierwsza latynoska sędzia SN w historii – stwierdziła, że swoją decyzją sąd obala konstytucyjną gwarancję równej ochrony przez dodatkowe umocnienie rasowych nierówności w edukacji. Prezydent Joe Biden wyraził się jeszcze bardziej dosadnie. Według niego wyrok cofa dekady postępu, a Sąd Najwyższy to nie jest normalny sąd.

Decyzja SN ucieszyła za to Edwarda Bluma, 71-letniego byłego finansistę i szefa organizacji Studenci na rzecz Uczciwych Przyjęć, który spędził dekady na walce z akcją afirmatywną. „Nie da się naprawić przeszłych krzywd nowymi krzywdami, a dawnej dyskryminacji nową dyskryminacją" – podkreślił Blum. Krzywdzeni według niego byli głównie Azjaci, którzy mieli najmniejszą szansę na przyjęcie na studia, choć uzyskiwali najlepsze wyniki w nauce (5,1 proc. szansy wobec 44,5 proc. w przypadku kandydata czarnoskórego). To m.in. w ich imieniu Blum złożył skargę w Sądzie Najwyższym.

Przy okazji cofnięcia akcji afirmatywnej przez amerykańskie media przetoczyła się osobliwa debata. Kongresmenka demokratów Alexandria Ocasio-Cortez uznała, że SN nadużył swojej władzy, a była pierwsza dama Michelle Obama wyznała, że bez akcji afirmatywnej nie dostałaby się na studia w Princeton. Z kolei dziennikarka „The Atlantic" Jemele Hill stwierdziła, że Azjaci w USA stali się sojusznikami białej supremacji, wbijając nóż w plecy tym, którzy walczyli o ich prawa. Uczelnie są również oburzone decyzją SN. Według „Financial Times" Uniwersytet Harvarda obawia się, że liczba czarnoskórych studentów spadnie w najbliższych latach o ponad połowę, a latynoskich o jedną trzecią. Tak już się stało na państwowych uczelniach w Michigan oraz Kalifornii, po tym jak lokalne regulacje zmusiły je do rezygnacji z przyznawania punktów za rasę. Amerykanie są w tej sprawie podzieleni. Według sondażu Ipsos/ABC News 52 proc. popiera decyzję SN, 32 proc. się z nią nie zgadza, a 16 proc. nie ma na ten temat zdania. Joe Biden zapowiedział, że przygotuje wytyczne dla uniwersytetów, by nadal mogły tworzyć różnorodną populację studentów.

Aleksandra Rybińska

Więcej na str. 48–50

Hiszpania

Boom na zmianę płci

„Społeczna zaraza" – w ten sposób odważni komentatorzy w Hiszpanii definiują lawinowy wzrost operacji zmiany płci wśród młodych. Liczby podawane przez ministerstwo zdrowia Hiszpanii są wstrząsające. Np. w regionie Walencji liczba osób objętych opieką w tranzycji wzrosła od 2016 r. o 10 tys. proc., w Katalonii o 7 tys. proc., a w Kraju Basków o 1,8 tys. proc. Mało osób ma jednak tyle odwagi co pani psycholog Carola López Moya, która apeluje do sumienia Hiszpanów: „Operacje zmiany płci to biznes, czerpiący zyski z dyskomfortu, który jest powodowany przez płeć i dorastanie". Była też pierwszą osobą prześladowaną za transfobię i mowę nienawiści, a transaktywiści domagali się dla niej kary 120 tys. euro i zakazu wykonywania zawodu na kilka lat. W swojej książce „Sekta" Moya analizuje, w jaki sposób szaleństwo queer i trans stało się nową religią, ujawnia dynamikę powstawania klinik rekonstrukcyjnych w USA i skalę dochodów firm farmaceutycznych, które zarabiają tysiące dolarów na każdej ofierze, która podda się procesowi zmiany płci. Mimo znanych już drastycznych efektów mody trans i wycofywania się rządów Szwecji i Wielkiej Brytanii z prawa ułatwiającego zmianę płci na życzenie, Hiszpania wprowadziła w lutym najbardziej radykalne ustawodawstwo z inicjatywy minister równości Irene Montero. Wystarczy zgłosić się do urzędu i zadeklarować nową płeć, która zostaje zatwierdzona w ciągu trzech miesięcy. Dobrowolna zmiana płci objęła dzieci od 16. roku życia, choć także 14-latki mogą wystąpić o korektę płci, tyle że w przeprowadzeniu tego procesu muszą towarzyszyć im rodzice (w przypadku braku ich zgody dziecku zostaje wyznaczony kurator sądowy).

Tak radykalne prawo funkcjonowało już wcześniej w legislacji niektórych regionów Hiszpanii i spowodowało lawinowy wzrost liczby tranzycji, który niepokoi opinię publiczną i instytucje zajmujące się badaniem zdrowia dzieci i młodzieży. Alarmujące są zwłaszcza dane dotyczące młodych dziewcząt, u których proces tranzycji np. w regionie Walencji jest dwukrotnie wyższy niż wśród chłopców. Wskutek wszechobecnej propagandy obniża się również średni wiek pacjentów.

Wielu Hiszpanów zdaje sobie sprawę, że kraj stanął w obliczu ogromnego skandalu, który zapisze się kiedyś w dziejach medycyny niechlubną czarną kartą za sprawą nie tylko bezkarnych, lecz także coraz bardziej hołubionych ideologów LGBT+.

Małgorzata Wołczyk

Fot. jawi_indy/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl 6d12520532

Malta

Bitwa o życie

Jeszcze do niedawna Malta była ostatnim państwem w Europie, w którym aborcja była całkowicie zakazana. Z tego powodu znajdowała się na celowniku organizacji proaborcyjnych finansowanych m.in. przez George'a Sorosa. Od wielu lat wspólnie z instytucjami unijnymi prowadziły one kampanie mające na celu legalizację tego procederu. Nadzieje na sukces wiązały zwłaszcza z laburzystowskim rządem w Valletcie, który zapowiadał zmianę obowiązującego prawa. Pod koniec ub.r. gabinet premiera Roberta Abeli przedstawił projekt zmian w kodeksie karnym przewidujący całkowitą dekryminalizację aborcji.

A jednak 28 czerwca lewica niespodziewanie wycofała się ze swojego pomysłu, gdy do przyjęcia nowelizacji brakowało już tylko jednego czytania w parlamencie i podpisu prezydenta. Zamiast tego rząd przedstawił nowy projekt, który wprowadza dwa wyjątki do obowiązującego prawa, czyli możliwość dokonania aborcji, gdy życie kobiety jest „zagrożone bezpośrednio" lub jej zdrowie znajduje się „w poważnym niebezpieczeństwie, które może prowadzić do śmierci". Zgodę na to będzie musiał wydać trzyosobowy zespół medyczny po wypróbowaniu wszystkich dostępnych metod leczenia. Jeśli okaże się, że dziecko może przeżyć poza organizmem kobiety, musi zostać urodzone.

Nowelizacja została jednogłośnie przegłosowana w parlamencie i podpisana przez prezydenta George'a Vellę, który zagroził, że prędzej poda się do dymisji, niż złoży swój podpis pod ustawą legalizującą aborcję na życzenie.

Przyjęcie nowego prawa uważa się za sukces środowisk pro-life, które przez ostatnie pół roku organizowały wiele akcji i protestów. Reprezentująca je Koalicja dla Życia wydała oświadczenie, że zmiany w kodeksie karnym „nie wprowadzają na Malcie aborcji, lecz kodyfikują praktyki ratujące życie już stosowane na Malcie i zapewniają dalsze gwarancje dla matek, nienarodzonych dzieci oraz lekarzy". Zwolennicy aborcji zapowiedzieli już, że nie zamierzają składać broni. Czekają więc nas kolejne batalie.

Grzegorz Górny

Reżim dokręca śrubę

Wenezuela

Kandydatura Maríi Coriny Machado, najpopularniejszej przedstawicielki opozycji w Wenezueli, która mogła zagrozić w przyszłorocznych wyborach prezydenckich urzędującej głowie państwa Nicolásowi Maduro, została w minionym tygodniu zablokowana przez reżim. Kontrolowany przez władze urząd antykorupcyjny wydał postanowienie, które przez najbliższe 15 lat uniemożliwi jej sprawowanie funkcji publicznych, w tym start w wyborach. Formalnym pretekstem jest udział Machado w „nieprawidłowościach administracyjnych", z czasów kiedy była ona w latach 2011–2014 deputowaną.

Wydaje się, że rząd w Caracas zainspirował się decyzją brazylijskiego sądu, który zabronił byłemu prezydentowi Jairowi Bolsonaro uczestnictwa w wyborach prezydenckich przez najbliższe osiem lat. Pod koniec maja Lula da Silva, lewicowy prezydent Brazylii, spotkał się z Maduro, którego zwycięstwa w wyborach w 2018 r. nie uznało ponad 50 państw, w tym również Brazylia, zarzucająca wówczas reżimowi w Wenezueli farsę wyborczą. Lula da Silva, przyjmując Maduro w Brazylii, nie tylko potwierdził, iż reżim w Caracas wyszedł z politycznej izolacji, lecz także zakwestionował prześladowania tamtejszej opozycji i skrytykował amerykańskie sankcje nałożone na Wenezuelę, stwierdzając, że są one gorsze niż wojna.

W takiej sytuacji reżim w Wenezueli najwyraźniej postanowił przejść do kontrofensywy w polityce wewnętrznej. Zablokowanie kandydatury Machado, która przed październikowymi prawyborami w obozie opozycji cieszyła się 57-proc. poparciem, poważnie zmniejszyło szanse przeciwników obecnej władzy na sukces. María Corina Machado, 55-letnia konserwatywna prawniczka, wywodząca się z szanowanej rodziny przedsiębiorców, zarzuca reżimowi, że jego polityka gospodarcza doprowadziła Wenezuelę – w przeszłości jeden z najbogatszych krajów Ameryki Łacińskiej – do ruiny. Machado domaga się m.in. prywatyzacji Petróleos de Venezuela, państwowej monopolistycznej firmy kontrolującej wydobycie ropy naftowej, i chce restrukturyzacji zadłużenia zagranicznego.

Wprawdzie władze w Caracas nie są w stanie zablokować udziału Machado w prawyborach opozycji, jednak jej start w przyszłorocznych wyborach prezydenckich jest na razie wykluczony. Szansa, że skręcające w lewo państwa Ameryki Łacińskiej wymuszą na Wenezueli, by ta przestrzegała demokratycznych procedur, są obecnie mniejsze niż w 2018 r., kiedy i tak mimo presji nie udało się doprowadzić do zmiany polityki reżimu.

Marek Budzisz

Fot. Glenn R. Specht-grs photo/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl 6d12520532

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Czas jaszczurów

Dominik Zdort

Wróciłem ostatnio do jednej z ulubionych książek mojego dzieciństwa. To „Inwazja jaszczurów" (czyli „Válka s mloky") Karela Čapka. Powieść fantastyczna z 1935 r. Ludzie odkrywają bardzo zdolne podmorskie płazy, które zaczynają im służyć. Początkowo tylko dostarczają perły. Potem wykonują ciężkie prace wodne, budują tamy, powiększają kontynenty. Są pracowite, w zamian za marną żywność i tani sprzęt stają się przydatne dla ludzkości. W książce jest wiele niuansów, łatwo znaleźć nawiązania do Murzynów, niewolnictwa, do ówczesnych zagrożeń takich jak nazizm.

Ale i dziś ta powieść okazuje się przerażająco aktualna. Teraz, czyli w czasach sztucznej inteligencji. Bo kiedy na poważną konferencję zostaje przysłana naukowa analiza, okazuje się, że jej autorem jest jaszczur. Dziś już znamy przypadki, gdy artystyczne nagrody otrzymują twory AI.

W „Inwazji..." pojawiają się próby powstrzymania ekspansji płazów, powstają międzynarodowe regulacje, ale są nieskuteczne. Podobnie jak nie da się zlikwidować wpływów AI za pomocą kolejnych tyle naiwnych, co samobójczych dekretów UE, która usiłuje ograniczyć współczesne mądre „jaszczury", choć równocześnie z ich pracy nie rezygnują przecież Chiny, Rosja czy Iran.

Čapkowe płazy szybko przestają korzystać z ludzkiej pomocy. Gdzieś tam na dnie morskim, raz pchnięte przez człowieka ku cywilizacyjnemu rozwojowi, uczą się i rozwijają samodzielnie. Sztuczna inteligencja też robi błyskawiczne postępy, już uczy się sama. Nie naśmiewajmy się z błędów darmowej wersji ChataGPT. Raczej przyjmijmy do wiadomości, że kolejne wersje komercyjne, niepokazywane publicznie, już są wykorzystywane przez tych, których na to stać.

Tym razem to nie jest rewolucja przemysłowa, którą prostacy usiłowali powstrzymać, niszcząc maszyny. Teraz to rewolucja umysłowa. AI już jest kreatywna, maluje obrazy, jest w stanie pisać informacje agencyjne, niebawem będzie tworzyć świetne powieści. Oczywiście opiera się na tym, co może odnaleźć w przeszłości, ale – nie bądźmy naiwni – czymże jest ludzka sztuka? Od stuleci artyści, mniej lub bardziej świadomie, wykorzystują dzieła swoich przodków i nikt im z tego wyrzutów nie robi.

Jak to się skończy, możecie państwo doczytać u Čapka. Marnie. Ale nie wzywam do eksterminacji jaszczurów, lecz do tego, żebyśmy pogodzili się z rolą matrixowskiej bateryjki.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

GORĄCE PYTANIA
ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ W POLSCE PL
polsat box wcześniej Cyfrowy Polsat NA POZYCJI 196
NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon
orange NA POZYCJI 32
NETIA NA POZYCJI 192
VECTRA NA POZYCJI 825

BRONISŁAW WILDSTEIN

Komu bije dzwon

Kiedy piszę te słowa, trwające od ponad tygodnia zamieszki we Francji wydają się gasnąć. Nie znaczy to, że uspokoją się całkowicie. Przypominające je rozruchy w 2005 r. ze zmienną intensywnością trwały blisko trzy tygodnie mimo wprowadzenia stanu wyjątkowego, czego nie chce zrobić prezydent Macron. Obecne wydarzenia przekroczyły już znacznie to, co działo się 18 lat temu zarówno pod względem skali zniszczeń, jak i środków zaangażowanych przez państwo. Wskazują na pierwsze elementy organizacji, której nie było widać w 2005 r. Przykładami są ciężkie pobicia wracających po służbie policjantów, którzy wcześniej zostali namierzeni i zidentyfikowani, czy atak na dom mera. Planowaniu sprzyjają media społecznościowe.

Wypadki te wyznaczają współczesną oś podziału politycznego świata zachodniego. Lewica jest skłonna je usprawiedliwiać i obwiniać państwo, które nie potrafiło zintegrować „młodych". „Młodzi" to ukute we Francji określenie potomków migrantów z Maghrebu czy ogólnie z Afryki żyjących na przedmieściach dużych miast. Tabu, które uniemożliwia nazwanie określonej grupy, zderza się z opisywaną realnością, a dziennikarze i publicyści piszący o „młodych" piętnują rasizm ich dotykający, jakby postawy te dotyczyły wieku „wykluczonych".

Ośrodki opiniotwórcze piętnują brutalność policji bez śladu refleksji, że jest ona odpowiedzią na narastającą barbaryzację postaw mieszkańców wspomnianych przedmieść. Jako winni zamieszek są wskazywani przedstawiciele sił porządkowych jeszcze przed zbadaniem okoliczności, które do nich doprowadziły. W 2005 r. spowodowało je śmiertelne porażenie dwóch nastolatków, którzy uciekając przed policją, schronili się w stacji transformatorowej. Obecne zajścia zostały wywołane przez zastrzelenie młodocianego przestępcy. Nie zatrzymał się on na wezwanie policjanta, który nie chciał go zabić, a strzelał – jak twierdzi – w sytuacji zagrożenia życia. Sprawa nie jest zbadana, ale lewica wie już swoje.

Prawie wszyscy się zgadzają, że śmierć 17-letniego Nahela nie była przyczyną, ale wyłącznie zapłonem, który spowodował eksplozję. Inna sprawa, że ograniczenia nałożone dziś na policję obracają się przeciw tym, w których imię zostały przyjęte. Ruch Black Lives Matter spętał policję w USA, co zaowocowało tym, że kilka tysięcy więcej niż wcześniej czarnych Amerykanów zostało zabitych przez lokalnych gangsterów.

Trzeba zgodzić się z Maciejem Gdulą, że eksplozja we Francji oznacza porażkę jej imigracyjnej polityki. Z tym że w Europie klęskę poniosły wszystkie jej warianty. Francja jest tego najbardziej widomym dowodem ze względu na liczbę i w miarę jednolity skład zasiedlającej ją imigracji.

Klęska ta ma źródło we współczesnych samobójczych skłonnościach kultury europejskiej. Zbiorowość, która odrzuca fundamenty własnego, cywilizacyjnego porządku, nie może równocześnie asymilować do niego przybyszy. Wprawdzie w Europie trwa on jeszcze siłą bezwładu, ale nie potrafi absorbować dużych, odmiennych grup. Poszukując niezbędnego do zbiorowego trwania ładu, wracają oni – co znaczące – dopiero w drugim lub trzecim pokoleniu do kultury swoich przodków.

Opowieść o wielokulturowym społeczeństwie jest nonsensem, gdyż kultura to sposób organizacji wspólnoty. Nie mogą istnieć społeczeństwa formowane równocześnie przez zasadniczo odmienne porządki jak w przypadku cywilizacji chrześcijańskiej i islamu. Owszem, trwały i mogą trwać wielokulturowe państwa, w których funkcjonują obok siebie różne kulturowo społeczności, a porządek jest utrzymywany przez silną władzę autorytarną, ale nie jest to możliwe w modelu demokratycznym, w którym odmienne zbiorowości zaczynają walczyć o władzę, co prowadzi do casusu Libanu, czyli wojny domowej i destrukcji państwa.

Emigracja jest przedsięwzięciem trudnym, które wymaga wysiłku dostosowania się do modelu kraju przybycia. Wiąże się to z problemami, z którymi boryka się przybysz, a od których jest wolny rdzenny mieszkaniec. Jeśli zamykamy na to oczy i wmawiamy imigrantom, że będą mogli żyć jak wcześniej i równocześnie cieszyć się wszystkimi osiągnięciami miejscowej cywilizacji – tworzymy złudzenia, które zderzają się z rzeczywistością oraz prowadzą do frustracji i konfliktu. Jak we Francji. Nie tylko zresztą, bo rozruchy w muzułmańskich enklawach przeniosły się na Belgię i Szwajcarię. Dziś to jeszcze mała skala, ale stanowi zapowiedź tego, co może czekać nas w przyszłości.

Ojkofobia europejskiego establishmentu nienawidzącego własnej tożsamości i ślepego na zagrożenie niesione przez masy przybyszy, którzy nie mają się do czego asymilować i których się wręcz zachęca, by kultywowali własne, zasadniczo odmienne od europejskiej tożsamości, powoduje, że te problemy będą narastać i stosunkowo niedługo mogą doprowadzić do destrukcji Europy Zachodniej.

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 6d12520532

Walizka Zdzisława Sipiery

posła PiS, nauczyciela, samorządowca

Część wyjazdów jest związana z wykonywaniem funkcji politycznych, inne to krótkie wypady w celu szybkiego podładowania baterii – Sopot, Kraków czy Poznań – lub już prawdziwe urlopy z rodziną. Co roku jeździmy do Włoch, które z małżonką i dziećmi – zwłaszcza północne regiony Italii – dobrze poznaliśmy. Teraz z żoną przymierzamy się do wyjazdu z wnukami. Gdy objąłem funkcję szefa okręgu, spotykam się z zarządami struktur samorządowych, radnymi i mieszkańcami, żeby rozmawiać, poznawać ich potrzeby i im pomagać. To dlatego w ciągu ostatnich dwóch lat pokonałem samochodem wiele tysięcy kilometrów. Bezpośredni kontakt daje najlepsze rezultaty, bo o problemach i potrzebach Polaków dowiaduję się z pierwszej ręki. Moje doświadczenia poselskie są inne niż te, gdy pełniłem funkcje wykonawcze wojewody, starosty czy burmistrza warszawskich dzielnic. Poselstwo traktuję jako rodzaj zwieńczenia tych wszystkich lat w polityce, dające mi bezcenną wiedzę polityczną i organizacyjną. Pozwala mi ona organizować dobre i skuteczne struktury, które będą wygrywać wybory. Liczne wyjazdy w teren to ważny krok do realizacji celów.

TENIS
Na studiach zrobiłem kurs instruktora tenisa ziemnego, dzięki czemu nauczyłem grać kilka pokoleń dzieci, w tym moje własne. Na zdjęciu już historyczna drewniana rakieta Head. Obecnie gram Wilsonem.

PIŁKA NOŻNA
To zawsze była gra, która sprawiała mi przyjemność. Nawet teraz jako poseł kontynuuję tę pasję, przeważnie grając w ataku. Wbrew pozorom jestem lewonożny.

eprasa.pl 6d12520532

KSIĄŻKA O PŁYWANIU

W latach 80. były podręczniki, jak to robić. Lektura sentymentalna, ponieważ nauczyłem pływać tysiące dzieci. Wchodziły do basenu, bojąc się wody, a kończyły kurs, dostając kartę pływacką. Ich umiejętności i radość napawały mnie dumą.

JEAN-JACQUES ROUSSEAU

Obok sportu filozofia to moja druga pasja – pasja z młodości, którą jak klamrą chciałbym zamknąć moją starość. Lubię Rousseau, *notabene* bohatera mojej pracy magisterskiej, który nie tylko kładł nacisk na rozwój intelektualny człowieka, lecz także na jego kondycję fizyczną, a wszystko w symbiozie z przyrodą.

MIKROFON I GŁOŚNIK

Bezprzewodowy, podręczny sprzęt, który zabieram na spotkania z wyborcami. Zawsze przywiązywałem wagę do jakości dźwięku, zwłaszcza że prywatnie lubię słuchać dobrej muzyki.

ŻABA

Z Afryki, zakupiona w... Krakowie. Żaby zdominowały nasz dom, bo jest to pasja mojej żony, która je zbiera, dostaje w prezencie i przywozi z podróży.

GARNITUR

Mój ubiór to okazywanie szacunku ludziom. Nawet w upalne dni nie daję wywiadów w szortach i klapkach. Od lat stawiam na polskie marki, a w przypadku garniturów jestem wierny jednej firmie. Tam też kupuję koszule, krawaty, buty. Zdarza się, że w Sejmie zaczepiają mnie i pytają o markę. Odpowiadam: Rogowski.

ZAPACH

Lubię klasyczne i eleganckie zapachy, a więc Hermès.

ROLKI, KASK, OCHRANIACZE

W moim wieku bieganie już nie jest zdrowe, dlatego rolki dzięki innej konstrukcji ruchu są genialne do podtrzymywania formy. Przestrzegam wszystkich, którzy myślą, że są mistrzami rolek, żeby pamiętali o zabezpieczeniach, bo jeden błąd wystarczy, żeby skończyło się operacją.

SPRZĘT Z JABŁUSZKIEM

Jestem praktycznym człowiekiem i dla mnie Apple jest kwintesencją amerykańskiej praktyczności, gdzie wszystko musi być oczywiste, proste i nieskomplikowane. Ku mojemu zadowoleniu posłowie pracują na iPadach, oczywiście ze specjalnym oprogramowaniem i zabezpieczeniami.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock, materiały prasowe Hermès

eprasa.pl 6d12520532

OGNIEM NA WPROST

Czarodziejskie galaretki

Ruski wysadził w powietrze tamę na Dnieprze w Nowej Kachowce, ale po stosunkowo krótkim czasie woda wyschła. Rzeka zamiast szersza zrobiła się węższa i Tryzuby już przeprawiają na moskiewski brzeg komandosów. Opanowali okolice zniszczonego mostu Antonowskiego koło Chersonia, tworząc przyczółek wokół wsi Oleszki. Moskal chciał odbić teren i do ataku rzucił to, co miał pod ręką, czyli byłych zeków (więźniów) z jednostki Szturm Z. Ponieważ przez powódź ruska logistyka na tamtym terenie mocno szwankuje, część bojców ruszyła do szturmu... na bosaka. Potwierdza to film umieszczony na portalu Telegram. Jak zauważają ukraińscy komentatorzy: „Jeśli sprawy Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej będą nadal toczyć się w ten sam sposób, możliwe, że wkrótce wojska rosyjskie ponownie będą musiały uciekać przed Siłami Zbrojnymi Ukrainy nie tylko boso, lecz także bez spodni".

Wspomniana wyżej jednostka Szturm Z, po nabieganiu się na przedpolu na bosaka pod ogniem ukraińskich karabinów maszynowych broniących przyczółka we wsi Oleszki, nie wytrzymała i nagrała film dedykowany najwyższym władzom Federacji Moskiewskiej. W specjalnym oświadczeniu bojce ze Szturmu Z oprócz opisania kłopotów z zaopatrzeniem poddali druzgocącej krytyce działania Czeczenów z jednostek Ramzana Kadyrowa: „Ministerstwo Obrony nie dotrzymuje obietnic, nie ma amunicji. Zostało nas sześciu z trzech plutonów, podczas gdy kadyrowcy przyjeżdżają kręcić filmy i się puszyć. I tak ich tiktoki zdradzają pozycje. Po ich opublikowaniu nasze pozycje są w ogniu, a my giniemy pod ostrzałem, podczas gdy oni siedzą w domu, dostają medale i piją herbatę" – skarżą się Moskale ze Szturmu Z. To nie pierwszy film z Kacapami, którzy narzekają na swoje dowództwo. Kilka tygodni temu poborowy z Kraju Krasnodarskiego nagrał wiadomość wideo z Ukrainy z ostrą krytyką Ministerstwa Obrony. Na nagraniu mężczyzna twierdził, że został wyrzucony na pole jak pies, mając tylko „kałasza i bagnet", ale bez pocisków. Nie było przy nim też dowódców. Te i inne podobne historie dosłownie zalewają internet. Proszę wybaczyć, ale nie znajduję jakoś w sobie współczucia dla doli bojców na froncie w Siłach Zbrojnych Federacji Moskiewskiej. Im gorzej im się wiedzie, tym lepiej dla Ukrainy i dla nas.

Inaczej myślą Ruskie. Tamtejsi wolontariusze zdecydowali się przekazać frontowcom paczkę ciasteczek i torebkę cukierków na wagę. Nie omieszkali tym się pochwalić, publikując w mediach społecznościowych swoje sprawozdanie wideo o wykonanej pracy. Oprócz słodyczy propagandziści przekazali żołnierzom również listy od domniemanych uczniów klasy pierwszej szkoły podstawowej i przedszkolaków. Okazuje się, że przedszkolaki i pierwszoklasiści nieźle znają się na wojaczce i śledzą sytuację na froncie. Są zaniepokojone z powodu kursu geopolitycznego Kacapii i przebiegu działań wojennych na Ukrainie. „Przybyliśmy z odpowiedzialną misją. Zuma, uczennica klasy pierwszej, przekazała wam te ciasteczka. Co prawda paczka jest tylko jedna... Myślę, że każde ciasteczko z tej paczki ma w sobie, powiedziałabym, ducha wolności, wolę zwycięstwa! Tu są też cukierki – galaretki, proszę je dać każdemu żołnierzowi. Wręczam to panu uroczyście... Mam nadzieję, że pan je dostarczy bardzo szybko. To są czarodziejskie galaretki, które dodadzą wam sił" — stwierdziła wolontariuszka. Nie pomagają czołgi, samoloty i rakiety, to w końcu Moskal może przełamie front dzięki czarodziejskim galaretkom. Nawiasem mówiąc, jak bywałem w Moskowii, kiedyś ktoś poczęstował mnie takimi galaretkami. Jak tylko się odwrócił, wyplułem słodycz za siebie, bowiem smakowała paskudnie. Ale czego nie robi się dla zwycięstwa!

Jak na razie ukraińska kontrofensywa nie zachwyca sukcesami. Walka trwa. Z kolei w Bachmucie powstała ciekawa sytuacja. Odniosła się do niej wiceminister obrony Ukrainy Hanna Malar: „Siły rosyjskie są zablokowane w Bachmucie, nie mogą ani przemieszczać się, ani wycofać z miasta". Dodała, że na niektórych odcinkach frontu na wschodzie całe rosyjskie pododdziały zaczęły opuszczać swoje pozycje, choć za plecami stoją oddziały zaporowe z rozkazem strzelania w plecy uciekającym bojcom. Ukraińcy idą w dwóch kierunkach. Usiłują okrążyć Bachmut z dwóch stron. Od północnego wschodu (kierunek Berchiwka–Bachmutskie) i południowego zachodu (kierunek Kliszczijiwka–Kurdiumiwka). To odwrócenie sytuacji z czasów, kiedy Ruski atakował w tych samych miejscach, ale w przeciwnych kierunkach. Może się tak zdarzyć, że wszystkie ofiary Sił Zbrojnych Federacji Moskiewskiej (ok. 100 tys. zabitych w walkach o Bachmut) pójdą na marne i Tryzuby odbiją niebawem miasto. Jak to na Dzikich Polach drzewiej mawiano: „Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6d12520532

Suwalski Katyń

Marta Kaczyńska-Zielińska

12 lipca to Dzień Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej z lipca 1945 r., największej, niewyjaśnionej do dziś zbrodni dokonanej na Polakach po zakończeniu II wojny światowej. Była to także największa masowa zbrodnia popełniona na ludności cywilnej w Europie w okresie od maja 1945 r. do wybuchu wojny w Jugosławii w latach 90. XX w. Ofiarami byli Polacy z powiatów suwalskiego, augustowskiego, sejneńskiego i sokólskiego. Nie wiadomo, ile dokładnie osób zginęło i gdzie są ich groby. Być może znajdują się na terenie dzisiejszej Białorusi, ale nie zostało to nigdy zweryfikowane, bo państwo to odmówiło współpracy w ramach pomocy prawnej.

Obszar znany obecnie jako tzw. przesmyk suwalski graniczył z Białorusią, Litwą i częścią Prus Wschodnich, a więc z terytoriami, które miały być włączone do ZSRS. Wiosną 1945 r. partyzanci polskiego podziemia niepodległościowego, których było nawet 2,5 tys., przeprowadzili w województwie białostockim liczne działania dezorganizujące funkcjonowanie komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, a rządzący Polską z sowieckiego nadania komuniści nie byli skuteczni w pacyfikacji polskich patriotów. Być może celem wyeliminowania partyzantów, a także z racji położenia na trasie przerzutu zagrabionego przez Rosjan majątku z Prus Wschodnich Stalin ściągnął w lipcu 1945 r. w okolice Augustowa ponad 50 tys. sowieckich żołnierzy wspieranych przez ponad 100 polskich wojskowych z 1. Praskiego Pułku Piechoty oraz polskich funkcjonariuszy UB i MO.

Od 10 lipca 1945 r. oddziały Armii Czerwonej rozpoczęły przeczesywanie rejonu położonego na skraju Puszczy Augustowskiej. Rosjanie wdzierali się do domów, porywali ludzi spod kościołów, na drogach lub podczas prac w polu. Przy okazji aresztowań Rosjanie brutalnie gwałcili kobiety, a także kradli zarówno nadające się do zabrania z sobą przedmioty, jak i zwierzęta. Zatrzymywano każdego, kto miał przy sobie broń lub z innych powodów mógł wzbudzać podejrzenia o współpracę z niepodległościowym podziemiem. W sumie zatrzymano ponad 7 tys. osób, które zostały przekazane funkcjonariuszom kontrwywiadu Smiersz. Trafiły one następnie do obozów filtracyjnych, gdzie w trakcie przesłuchań byli bici i torturowani.

Według śledczych prowadzących postępowanie karne z białostockiego oddziału IPN z grupy wszystkich zatrzymanych wyselekcjonowano ok. 600 osób – członków i współpracowników polskiego podziemia. Ślad po nich zaginął. Obława augustowska zakończyła się formalnie 25 lipca 1945 r., ale zatrzymania zdarzały się także później.

Z odkrytych kilka lat temu dokumentów wynika, że zamordowanych mogło być znacznie więcej. Według Instytutu Pileckiego najnowsze badania wskazują, że zabitych w ramach obławy augustowskiej zostało nawet 2 tys.

W 1987 r. rzecznik rządu Jerzy Urban podczas konferencji prasowej w odniesieniu do ofiar obławy augustowskiej powiedział m.in.: „Dzisiejsze władze polskie niczego w tej chwili nie wiedzą o tym, aby w przeszłości ktokolwiek w tajemniczy sposób zaginął, nie wiedzą też o tym, aby władze polskie poszukiwały, miały kogo poszukiwać, po prostu niczego nie wiemy [...]". W 2012 r. Nikita Pietrow, rosyjski historyk ze stowarzyszenia Memoriał, ujawnił szyfrogram gen. Wiktora Abakumowa ze Smierszu do Ławrientija Berii z 21 lipca 1945 r., w którym jest mowa o planie zamordowania 592 osób zatrzymanych w obławie. W 1995 r. prokuratura wojskowa Federacji Rosyjskiej w odpowiedzi na zapytanie strony polskiej wskazała, że podstawową przyczyną przeprowadzenia akcji były napady na żołnierzy armii sowieckiej, które miały miejsce na obszarze Rzeczypospolitej. W dokumencie potwierdzono aresztowanie podczas obławy 592 osób. W 2003 r. Rosjanie stwierdzili, że nie ma żadnych dokumentów potwierdzających rozstrzeliwanie cywilów na Suwalszczyźnie w 1945 r., a w 2006 r. zasłaniali się przedawnieniem. IPN także występował z wnioskiem o pomoc prawną. W 2013 r., a więc w okresie tzw. resetu stosunków RP z Federacją Rosyjską, Polacy otrzymali od rosyjskiej Prokuratury Generalnej odpowiedź, że realizacja wniosków o pomoc prawną nie wydaje się możliwa.

REKLAMA

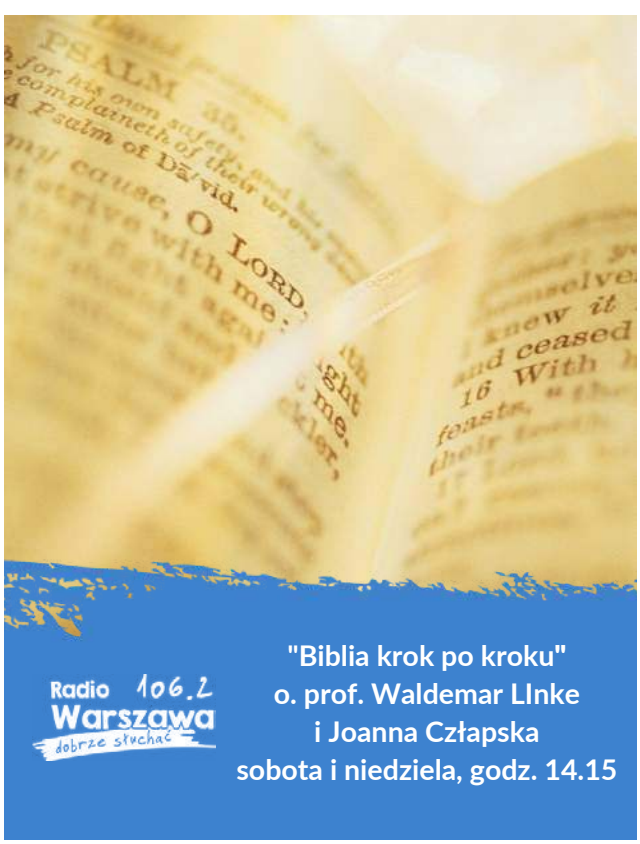

55/0623/F

eprasa.pl 6d12520532

Niemiecki pakt jak plastry na odchudzanie

Samuel Pereira

Gdy miesiąc temu szefowie MSW państw unijnych większością głosów przyjęli stanowisko negocjacyjne dotyczące reformy regulacji migracyjnych na terenie Unii Europejskiej, wydawało się, że Niemcy wygrali. „Berlin jest zwycięzcą tego kompromisu" – pisał portal dziennika „Welt". Już samo nazywanie tego paktu kompromisem zakrawa na mało śmieszną ironię.

Główną wojowniczką w tej walce prowadzonej od kilku lat jest unijna komisarz ds. wewnętrznych Ylva Johansson. To właśnie ona dostała ciche zadanie przeforsowania mechanizmu, który na stałe skaże kraje Unii Europejskiej na spłacanie niemieckiego kredytu demograficznego. Brukselscy politycy nauczeni doświadczeniem stwierdzili, że skoro w 2017 r. nie udało się drzwiami, to oni wejdą oknem. Kilka lat temu jednym z takich polityków był Donald Tusk, który z rozbrajającą szczerością prezentował niemieckie stanowisko, że OK, niektóre państwa mogą nie chcieć uczestniczyć w kwotowaniu i relokacji, ale będą musiały płacić – chodziło oczywiście o Polskę. Niesamowite jest to podobieństwo słów Tuska z 2017 r. i Johansson teraz. „Jeśli polski rząd będzie zdecydowany właściwie jako jeden z dwóch, trzech w Europie nie uczestniczyć w tym solidarnym poddziale obowiązków w sprawie uchodźców [...], to będzie się to wiązało nieuchronnie z pewnymi konsekwencjami. Takie są zasady w Europie" – mówił ówczesny szef Rady Europejskiej, a teraz tę samą śpiewkę słyszymy z ust szwedzkiej komisarz: „Jeśli jakieś państwo nie zaangażuje się w relokację migrantów, musi płacić [...]. Relokacja nie jest obowiązkowa, ale solidarność jest obowiązkowa".

Ta ciągłość w stanowisku polityków skrajnie proniemieckich pokazuje, jak ważna dla Berlina jest to sprawa. Na tyle ważna, że chcą pakt zrobić mechanizmem wiążącym na wiele lat, a gdy ktoś zwraca uwagę, że Polska już poniosła koszt pomocy Ukrainie, w tym przyjęcia milionów Ukraińców, to wzruszają ramionami i mówią, że w dokumencie zawarli MOŻLIWOŚĆ ubiegania się o zwolnienie z opłat. Bajki kiepskiego telemarketera, który sprzedaje magicznie plastry na odchudzanie. Brukselscy politycy nie zauważyli jednak, że mało kto się już na nie nabiera.

Autor jest dyrektorem TVP Info

Szymanowski i Wagner w Sopocie

Z Tomaszem Koniecznym, śpiewakiem operowym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Od roli w „Pierścionku z orłem w koronie" Andrzeja Wajdy do realizacji marzenia o Bałtyckim Festiwalu Operowym, którego pierwsza edycja potrwa od 14 do 17 lipca, prowadziła długa droga?

Tomasz Konieczny: Długa, ale całe nasze życie jest drogą i sam jestem zaskoczony, jak wyglądała ona w moim przypadku. Po łódzkiej filmówce, występując jako młody człowiek przed kamerą, także Teatru Telewizji, nie myślałem o zostaniu śpiewakiem operowym. Wyjazd na studia wokalne do Drezna miał mnie przekonać, że nie dla mnie ten kierunek, ale tuż po przyjeździe otrzymałem propozycję od jednego z największych teatrów operowych w Niemczech, w Lipsku. Od tamtej roli zaczęła się moja kariera. Dorastałem do niej, szlifując przez kolejne lata wokalne umiejętności.

Czy doświadczenia aktorskie okazały się przydatne?

Wciąż przydają się w mojej artystycznej drodze. Pomagają m.in. w kreatywnej analizie i myśleniu koncepcyjnym – teraz o festiwalu i jego realizacjach.

Wystawianych m.in. w Operze Leśnej w Sopocie, czyli na scenie, gdzie opery nie ma za wiele?

To skutek działań demonów przeszłości. Naziści wykorzystali muzykę Wagnera, graną na deskach sopockiego amfiteatru, dla celów propagandowych. Ostatni spektakl wagnerowski odbył się w Operze Leśnej w 1944 r. i trudno się dziwić, że po wojnie Polacy nie chcieli tu słuchać tej muzyki. Teraz to się zmienia. Baltic Opera Festival rozpocznie operetka... Karola Szymanowskiego „Loteria na mężów...", a zakończy „Latający Holender" Ryszarda Wagnera.

Fot. Fot. Bartosz Krupa/East News

eprasa.pl 6d12520532

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

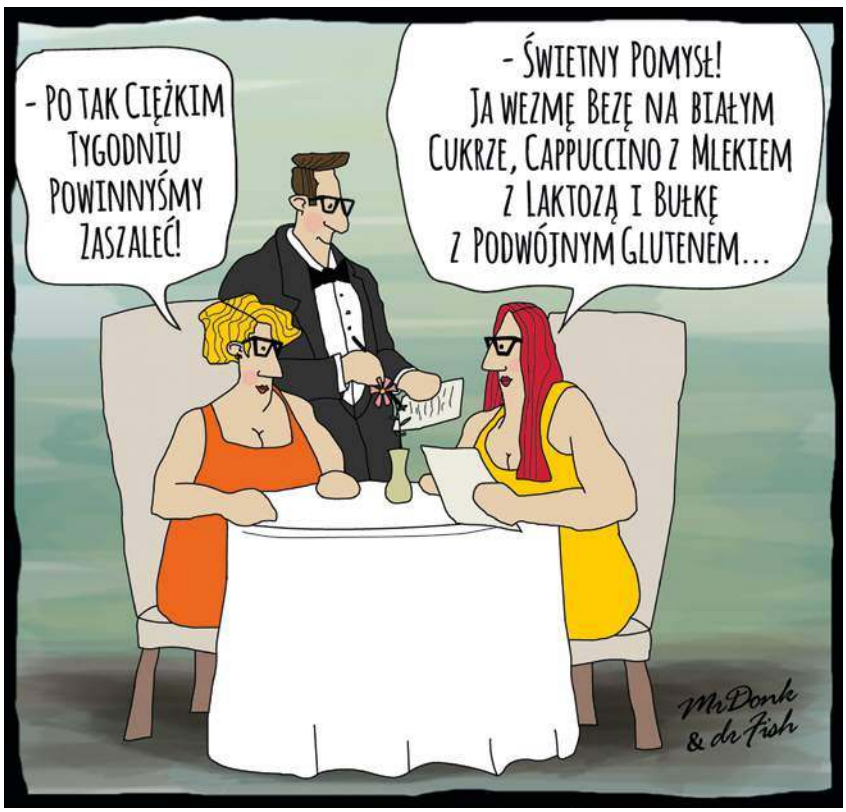

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR x4, P.MOLECKI/EAST NEWS, J.GERGELY, M.FLIPPO, A. MICHALIDIS / SHUTTERSTOCK x5, MAT. PRASOWE

nasz sondaż

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

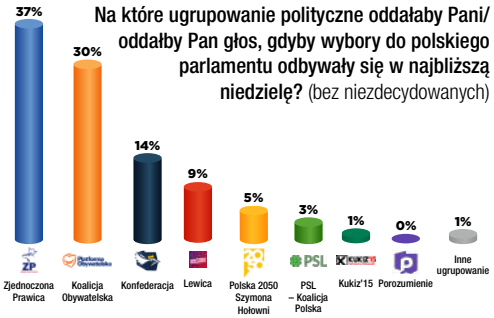

A gdyby w wyborach parlamentarnych startowały poniższe ugrupowania, to na które by Pani zagłosowała/Pan zagłosował w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

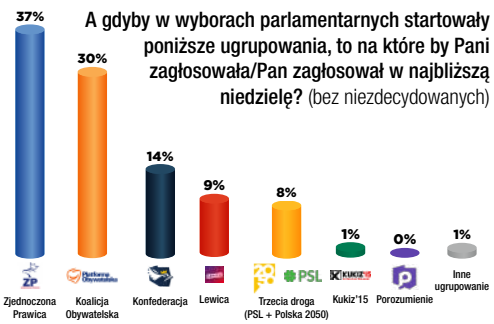

Czy ma już Pani/Pan pewność, na którą partię zagłosuje w najbliższych wyborach do polskiego parlamentu?

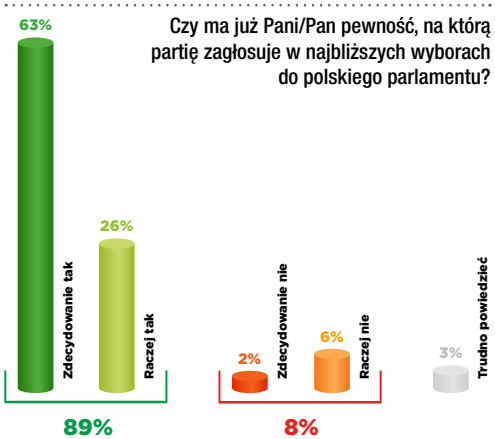

Jak Pani/Panu się wydaje, z którym ugrupowaniem Konfederacja utworzy koalicję, jeśli to od niej będzie zależało, kto uzyska większość w Sejmie po najbliższych wyborach parlamentarnych?

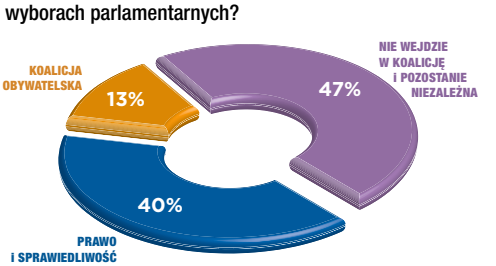

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1093.

Zakres czasowy badania 30 czerwca – 3 lipca 2023 r.

eprasa.pl 6d12520532

Gra wokół imigra

Trudno mówić o jakimkolwiek zalewie Polski przez muzułmanów. Opowiadając o ponad 130 tys. islamskich imigrantów, którzy wjechali w 2022 r. do Polski, Tusk najzwyczajniej w świecie mija się z prawdą. I robi to świadomie, licząc na wywołanie w ten sposób obaw wśród Polaków

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Donald Tusk przyzwyczaił już chyba wszystkich do tego, że z przyczyn taktycznych potrafi zmienić poglądy o 180 stopni. Tym razem jednak jego wolta była zaskakująca nawet dla tych, których w zachowaniu Tuska od dawna nic już nie dziwi. Lider Platformy dokonał bowiem swojego najnowszego zwrotu w ciągu zaledwie jednej doby.

Chodziło, rzecz jasna, o kwestię imigracji. Jeszcze w czerwcu wydawał się być zdecydowanym przeciwnikiem zamykania granic przed imigrantami. Podczas szturmu na polską granicę z Białorusią nazywał ich „biednymi ludźmi, którzy szukają swojego miejsca na ziemi", i przekonywał, że budowa ogrodzenia granicznego jest szkodliwym, dwuznacznym przedsięwzięciem. „Jeszcze najlepiej, żeby prąd elektryczny podłączyć pod te ogrodzenia" – drwił w 2021 r. Tusk. Z kolei w czasie, gdy po raz pierwszy pojawił się w Unii pomysł relokacji imigrantów, Tusk jako ówczesny szef Rady Europejskiej groził surowymi konsekwencjami sprzeciwiającej się temu pomysłowi Polsce.

Teraz, gdy w związku z nowym kryzysem migracyjnym pomysł relokacji ponownie powrócił na unijną agendę, a Jarosław Kaczyński zapowiedział przeprowadzenie referendum w tej sprawie,

eprasa.pl 6d12520532

ntów

Fot. Andrzej Wiktor

Donald Tusk gwałtownie zmienił zdanie i oskarżył rząd Zjednoczonej Prawicy o brak kontroli nad imigracją do Polski.

„Oglądamy wstrząśnięci sceny z brutalnych zamieszek we Francji i właśnie teraz Kaczyński przygotowuje dokument, dzięki któremu do Polski przyjedzie jeszcze więcej obywateli z państw takich jak Arabia Saudyjska, Indie, Islamska Republika Iranu, Katar, Emiraty Arabskie, Nigeria czy Islamska Republika Pakistanu [...]. Polacy muszą odzyskać kontrolę nad swoim państwem i jego granicami" – straszył Tusk w swoim nagraniu umieszczonym w mediach społecznościowych. Celowo przy tym wymienił oficjalne nazwy Pakistanu i Iranu (republiki islamskie), by podkreślić, że mamy do czynienia z rzekomym najazdem muzułmańskim na Polskę.

Dokument, o którym wspomniał Tusk, to projekt rozporządzenia, które miało udrożnić procedurę wydawania zezwoleń na pracę. Prace nad tym dokumentem zarzucono, by – jak stwierdził minister Szymon Szynkowski vel Sęk – nie dawać paliwa do politycznych harców. Tusk natychmiast uznał tę decyzję za swoje wielkie zwycięstwo.

PARYŻ W WARSZAWIE

Co takiego się stało, że tak zwykle liberalnemu Tuskowi z dnia na dzień zaczęli przeszkadzać cudzoziemcy? Przede wszystkim to kwestia wspomnianego referendum. Tusk dobrze wie, jakie są nastroje polskiego społeczeństwa w sprawie imigracji. I nie chodzi tu tylko o wyborców prawicy, lecz także o elektorat opozycji. Z lipcowego badania pracowni Social Changes dla portalu wPolityce.pl wynika bowiem, że aż 45 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej uważa, że jeśli PO wygra najbliższe wybory i utworzy rząd, to zgodzi się na przyjęcie do naszego kraju imigrantów z Azji i Afryki w ramach relokacji. Tusk chce zagłuszyć te obawy głośnym krzykiem o ściąganiu muzułmańskich pracowników przez rząd PiS. Chodzi o to, by problem imigracji kojarzącej się powszechnie z relokacją i z Platformą, został teraz trwale przyklejony do PiS.

Dlatego Tusk przywdział strój konfederaty i postanowił licytować się z Bosakiem, Braunem i Mentzenem o to, kto z nich jest największym przeciwnikiem imigracji. Rzecz jasna elektorat PO może być nieco skołowany „nacjonalistyczną" nutą w najnowszej retoryce Tuska, ale – powiedzmy sobie szczerze – dla najbardziej fanatycznych wyborców PO nie jest to żadną przeszkodą. Oni łykną wszystko, zagłosowaliby nawet na hipopotama, gdyby Tusk wystawił go na liście PO i przekonywał, że to jedyna metoda, by pokonać PiS.

Tusk adresuje więc swój przekaz głównie do niezdecydowanych, być może także rozczarowanych wyborców PiS, którzy dzięki referendum mogliby znów zasilić elektorat prawicy, bo obawiają się, że ewentualne rządy PO skończą się – jak zresztą sam Tusk kiedyś zapowiadał – drugim Paryżem w Warszawie. Były premier chciałby teraz te paryskie skojarzenia odwrócić oraz połączyć z PiS i w ten sposób zniechęcić wahających się do oddania głosu na partię rządzącą.

> Dane, którymi posługują się politycy PO, nie dotyczą liczby imigrantów, lecz liczby wydanych zezwoleń na pracę w Polsce. Ale żeby u nas pracować, potrzeba jeszcze wizy pobytowej

POMPOWANIE KONFEDERACJI

To nieszczęśliwe porównanie z Paryżem pochodzi z kwietnia 2022 r., gdy miasto było jeszcze dla Tuska symbolem normalności i spokoju. Dziś lider PO – jak się zdaje – diametralnie zmienił zdanie na temat francuskiej stolicy, bo straszy Polaków paryskimi zamieszkami. Czy jednak rzeczywiście mamy do czynienia ze szczerą zmianą poglądów?

Należy w to wątpić. Tusk jest cyniczny i zdaje się traktować swoich wyborców jak bezmyślną, szarą masę, której podstawowym – o ile nie jedynym zadaniem – jest utorowanie mu drogi do władzy. Inna rzecz, że obserwując zachowania sporej części elektoratu PO, można dojść od wniosku, że lider Platformy dość trafnie ocenia potencjał swoich najwierniejszych zwolenników. Dlatego akurat ich zdaniem nie musi się szczególnie przejmować.

Tusk musi się jedynie przejmować opinią tych, od których rzeczywiście wiele zależy w jego politycznym życiu. Mowa oczywiście o międzynarodowym, głównie niemieckim, zapleczu.

eprasa.pl 6d12520532

Bez wsparcia, które jemu i jego formacji udzielają Berlin i Unia, Platforma zapewne dołowałaby dziś w sondażach. Dlatego nagły zwrot Tuska w kwestii imigracji – tak jak wiele jego wcześniejszych posunięć – nie może być wyłącznie jego osobistą inicjatywą. I zapewne nie jest.

Trzeba bowiem zauważyć, że Tusk – ostro atakując PiS za politykę imigracyjną – wcale nie sprzeciwił się relokacji, na której tak zależy Niemcom. On jedynie próbuje odwrócić kota ogonem i wmówić opinii publicznej, że PiS tak naprawdę nie realizuje jednego ze sztandarowych punktów swojej polityki. Nie ma więc powodu – jak sugeruje Tusk – by ktoś, kto nie chce w Polsce imigrantów, głosował na PiS.

To komunikat skierowany przede wszystkim do wyborców skłonnych głosować na Konfederację. Jeżeli uda się zasiać w nich wątpliwości co do polityki imigracyjnej PiS, to istnieje nadzieja, że przynajmniej niektórzy z nich zdecydują się oddać głos na partię Bosaka i Mentzena. A każdy głos, który zostanie odebrany PiS, jest dla Tuska na wagę złota.

Tusk, byleby osłabić PiS, jest więc gotów pompować Konfederację. Nawet jeżeli odbyłoby się to kosztem rozdźwięków w obozie opozycyjnym. Bo Konfederacja wydaje mu się łatwiejszym przeciwnikiem niż PiS, a w przyszłości może być nawet – kto wie? – potencjalnym partnerem.

TWARDE DANE

Tusk powiada: „Kaczyński już w ub.r. ściągnął z państw [islamskich] ponad 130 tys. obywateli – 50 razy więcej niż w 2015 r.". Co charakterystyczne, wcześniej te same liczby podawał Sławomir Mentzen, można więc tu chyba mówić o nici porozumienia między Platformą i Konfederacją. Politycy PO podkreślają, że posługują się danymi z Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej. Tyle że z tych rzekomo wstrząsających statystyk nic takiego nie wynika. Dane, o których mówi Tusk, nie dotyczą bowiem liczby imigrantów, lecz liczby wydawanych zezwoleń na podjęcie pracy w Polsce.

> Trzeba zauważyć, że Tusk – ostro atakując PiS za politykę imigracyjną – wcale nie sprzeciwił się relokacji, na której tak zależy Niemcom

Takich pozwoleń wydano w 2022 r. 365 490, z czego 37 proc. z nich udzielono obywatelom państw muzułmańskich – dokładnie 135 602 osobom. I tą właśnie liczbą Tusk postanowił uderzyć w PiS, a wielu Polaków dało się na to nabrać. Tymczasem ta liczba niczego nam nie mówi o liczbie imigrantów, którzy faktycznie przyjechali do Polski.

Przede wszystkim zezwolenie, o które wnioskuje pracodawca, nie uprawnia do przekroczenia granicy. Trzeba też wiedzieć, że zezwolenia są często wydawane tym cudzoziemcom, którzy już przebywają w Polsce i chcą zmienić pracę. A zatem liczba zezwoleń nie równa się liczbie imigrantów. Poza tym – czego powinien domyślać się chyba każdy, nawet średnio rozgarnięty człowiek – by przyjechać do Polski i tutaj pracować, konieczna jest jeszcze wiza. A wiz wydajemy znacznie mniej niż pozwoleń na pracę.

Tuskowi nie można wierzyć na słowo (ani nawet na pół słowa), więc wszystko, co mówi, należy starannie weryfikować. Jeśli zatem chcemy wiedzieć, ile osób otrzymało polską wizę, to trzeba poszukać gdzie indziej i zajrzeć do danych MSZ. A z tych danych wynika, że liczby podane przez Tuska nie trzymają się kupy. W 2022 r. Polska wydała 610 999 wiz dla obcokrajowców. Jedynie 77 289 z nich otrzymali obywatele państw muzułmańskich. Wśród nich najwięcej było Turków, Uzbeków i Kazachów, a więc bardzo umiarkowanych „islamistów".

To jeszcze nie koniec weryfikacji słów Tuska. Nie każda bowiem osoba posiada wizę z pozwoleniem na pobyt. Takie dane znajdują się z kolei w zasobach Urzędu ds. Cudzoziemców. Według nich w ciągu całego 2022 r. obywatele państw islamskich złożyli 35 912 wniosków o wizy pobytowe (na stały lub czasowy pobyt), z czego decyzję pozytywną otrzymało jedynie 18 842 osoby. I tak liczba 135 tys. zmalała nam do poziomu niespełna 19 tys. osób. W ten sposób Tusk, manipulując danymi, prawie 10 razy zawyżył rzeczywistą skalę imigracji z państw muzułmańskich do Polski.

eprasa.pl 6d12520532

Ktoś powie, że taka weryfikacja nie wystarczy. Bo dotyczy wyłącznie obywateli państw islamskich, którzy otrzymali wizę pobytową w 2022 r. i nie obejmuje tych, którzy przybyli tu wcześniej. Takie dane też można sprawdzić, tyle że trzeba ich szukać w ZUS. Według stanu na koniec pierwszego kwartału 2023 r. cudzoziemców zgłoszonych do ubezpieczeń było 1 073 366. Prawie 73 proc. z nich stanowili obywatele Ukrainy. Ubezpieczeni z państw muzułmańskich to 45 527 osób. Największą grupę stanowili Turcy (8754 osoby), Uzbecy (5427), Indonezyjczycy (4800) oraz Azerowie (3680) i Bengalczycy (3481).

Trudno więc mówić o jakimkolwiek zalewie Polski przez muzułmanów. Opowiadając o ponad 130 tys. islamskich imigrantów, którzy wjechali w 2022 r. do Polski, Tusk najzwyczajniej w świecie mija się z prawdą. I robi to świadomie, licząc na wywołanie w ten sposób obaw wśród Polaków.

Oczywiście nie da się wykluczyć, że jakaś część spośród osób, które czasowo podjęły pracę w Polsce, pozostała tu nielegalnie na dłużej. Z pewnością też przenikają do nas przez granice strefy Schengen „inżynierowie i lekarze" z Afryki. Jednak skala tego zjawiska jest ciągle niewielka i na razie możliwa do opanowania i wyeliminowania. Nie można więc mówić o braku kontroli Polaków nad własnymi granicami – co zarzuca rządowi Tusk, który jeszcze niedawno podawał w wątpliwość sens stawiania bariery na granicy z Białorusią i którego pomagierzy soczyście bluzgali na Straż Graniczną.

ALBO DZIECI, ALBO IMIGRANCI

Prawdą jest za to twierdzenie, że liczba imigrantów w Polsce rośnie. Według danych Eurostatu Polska jest liderem wśród państw Unii wydających cudzoziemcom zezwolenia na pobyt. W 2015 r. wystawiono ponad 541 tys. takich zezwoleń, a w 2021 r. – dokąd sięgają dostępne dane – było ich 967 tys. Przy czym przytłaczającą większość przyjezdnych, którzy otrzymali pozwolenie na pobyt, stanowili przybysze z Ukrainy i Białorusi. Jeśli chodzi o obywateli państw muzułmańskich w 2021 r. było to niepełna 34 tys. zezwoleń, które wydano głównie osobom z Turcji (29 proc. z tej liczby), Kazachstanu (13 proc.) i Uzbekistanu (11 proc.). Część tych zezwoleń wydano z powodu rozpoczęcia edukacji w Polsce (29 proc.), a część uzasadniono podjęciem pracy (45 proc.). Zdecydowaną większość pozwoleń (70 proc.) wydano czasowo – na okres od 6 do 11 miesięcy.

> Pozwolenia na pobyt otrzymało w 2022 r. niespełna 19 tys. osób z państw muzułmańskich. Tusk, manipulując danymi, prawie 10 razy zawyżył rzeczywistą skalę tej imigracji do Polski

I taki mniej więcej jest kształt tej stosunkowo niewielkiej imigracji z krajów muzułmańskich. W większości zarobkowy, bo bogacąca się Polska staje się atrakcyjna dla przyjezdnych z uboższych regionów świata. Polacy przechodzą dziś przez podobny etap, który kilkadziesiąt lat temu był udziałem państw zachodnich. Wraz ze wzrostem poziomu życia zaczyna brakować chętnych do wykonywania najprostszych i najmniej płatnych, ale przecież niezbędnych prac. Swoje robi także zapaść demograficzna. W takiej sytuacji trudno bez imigracji wyobrażać sobie dalszy rozwój państwa. Chyba że zaczniemy znowu rodzić dzieci. Na razie barierę rozwojową związaną z niedoborem rąk do pracy zdołali częściowo załatać uchodźcy z Ukrainy, ale ta sytuacja też nie będzie trwała wiecznie.

Co ciekawe, niespełna dwa lata temu to politycy PO domagali się ułatwień dla poszukujących pracy imigrantów. „Brakuje nam rąk do pracy. Dlatego musimy likwidować bariery w zatrudnianiu obcokrajowców" – apelowała Izabela Leszczyna.

Dzisiaj sporo się zmieniło. Przynajmniej w warstwie werbalnej. Tusk i jego partia atakują rząd za ściąganie ludzi do pracy. I choć stwarza to potencjalne zagrożenia, to lepsza jest czasowa i wyselekcjonowana imigracja zarobkowa niż przymusowa relokacja „inżynierów i lekarzy", przeciwko której Tusk – co jeszcze warto podkreślić – wcale nie protestuje.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6d12520532

Tożsamość i nienawiść

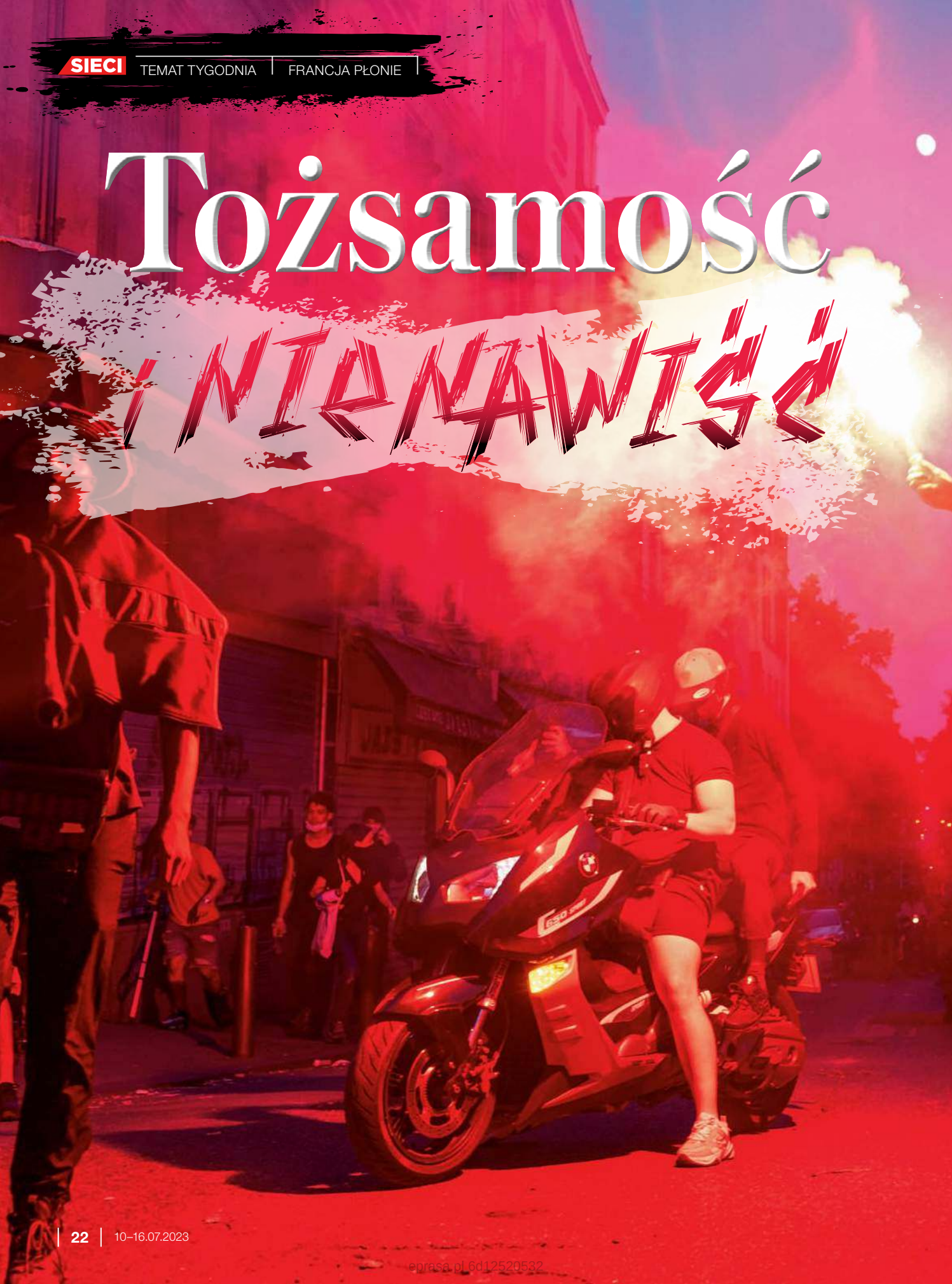

eprasa.pl 6d12520532

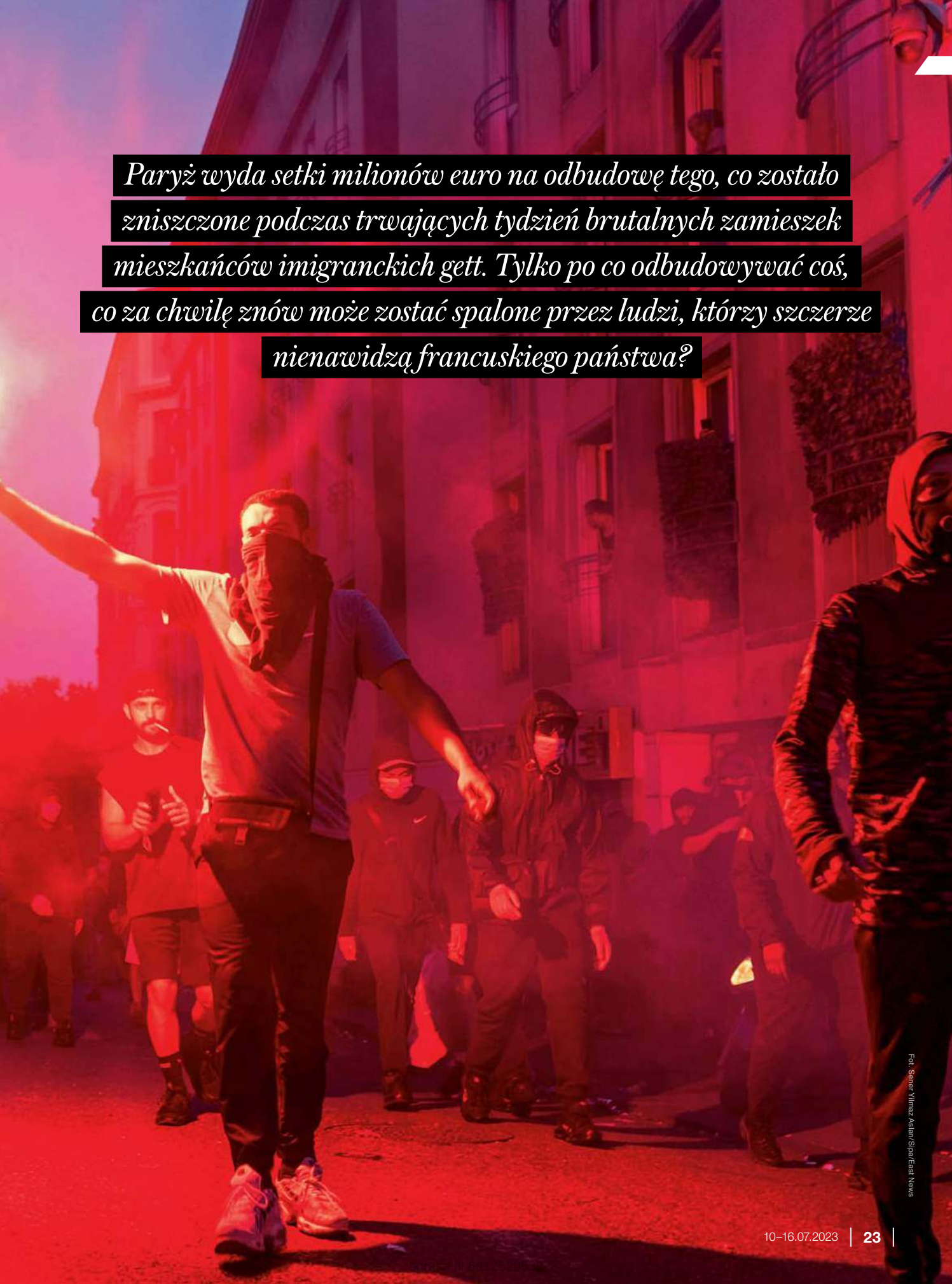

Paryż wyda setki milionów euro na odbudowę tego, co zostało zniszczone podczas trwających tydzień brutalnych zamieszek mieszkańców imigranckich gett. Tylko po co odbudowywać coś, co za chwilę znów może zostać spalone przez ludzi, którzy szczerze nienawidzą francuskiego państwa?

Fot. Sener Yilmaz Aslan/Sipa/East News

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Drogi bandyto/szabrowniku, wiedz, że nasz sklep znów działa. Wracaj i niszcz, ile chcesz, zawsze będziemy mieć więcej energii niż ty, by dzielić się życzliwością i solidarnością. Albo przyjdź za dnia na zakupy. Spotkasz się z uśmiechami, rozjaśniającymi ciemność, którą rozsiewasz nocą" – tak brzmi list otwarty, który prezes spółki Atelier Tuffery, produkującej od 1892 r. dżinsy w regionie Oksytania, napisał do uczestników zamieszek, które po śmierci 17-letniego Nahela Merzouka przez tydzień sparaliżowały Francję. Jednym ze sklepów, który uległ w ich trakcie zniszczeniu był sklep Atelier Tuffery w Montpellier. Julien Tuffery dodał, że włamanie do witryn sklepowych, kradzież dżinsów i komputerów to nic w porównaniu ze szkodami moralnymi wyrządzonymi 30-osobowemu zespołowi. „Ci ludzie mogliby być twoją ciotką, matką, kuzynem, przyjacielem itp. Oni na to nie zasługują" – zaznaczył. Jest to sentyment, podzielany przez wielu francuskich rzemieślników, handlarzy i restauratorów, których lokale zostały okradzione czy zniszczone.

Według „Le Figaro", który powołuje się na dane największej federacji pracodawców MEDEF, szkody w sektorze prywatnym mogą wynieść nawet 1 mld euro. Ubezpieczyciele mówią o 280 mln euro w oparciu o pierwsze wnioski o odszkodowanie, których wpłynęło już prawie 6 tys. A to dopiero początek. Do tego dochodzą zniszczenia w sektorze publicznym. W całym kraju podpalono ponad 1 tys. obiektów publicznych – biblioteki, merostwa, szkoły, tramwaje oraz stacje metra. W sumie odnotowano przez ten tydzień ponad 12 tys. pożarów. Ponad 800 policjantów zostało rannych. Koszt odbudowy przekroczy według francuskiego rządu 250 mln euro. Na domiar złego tysiące turystów anulowało swoje rezerwacje hotelowe w całym kraju. Skutki gospodarcze zamieszek zapewne więc przewyższą znacznie te sprzed 18 lat.

SEPARATYSTYCZNA PRZYGODA

W 2005 r. śmierć dwóch nastolatków z podparyskiego Clichy-sous-Bois podczas policyjnego pościgu doprowadziła do trwającej trzy tygodnie orgii przemocy. Ponad 300 gmin zostało nią dotkniętych. Atakowano policjantów, spalono ponad 200 budynków publicznych, 10 tys. samochodów oraz dwa kościoły. Wówczas szkody został ocenione przez ubezpieczycieli na 204 mln euro.

Zamieszki rzuciły poważny cień na ostatnie dwa lata prezydentury Jacques'a Chiraca. Obecne poważnie obciążyły drugą kadencję Emmanuela Macrona, który po ruchu żółtych kamizelek oraz protestach przeciwko reformie emerytalnej liczył na chwilę spokoju, by móc popchnąć do przodu program reform. Nie było mu to dane.

> Według francuskiego Trybunału Obrachunkowego przez ostatnie lata francuskie państwo wydawało średnio 10 mld euro rocznie na poprawę warunków życia w imigranckich gettach, na programy edukacyjne i rewitalizację dzielnic. Jak widać – bez skutku

Pozostaje pytanie, dlaczego Francja znów znalazła się w tym samym miejscu, jakby nic się w przeciągu tych prawie 20 lat nie zmieniło? W końcu lista ministrów, którzy pochylili się w tym czasie nad problemem imigranckich gett jest długa (od 2005 r. Francja miała czterech prezydentów i ośmiu premierów), podobnie jak liczba programów dla przedmieść („plan banlieue") oraz debat nad „utraconymi terytoriami republiki" czy górnolotnych zapowiedzi walki z separatyzmem islamistycznym. „Niepodzielna Republika nie dopuszcza żadnej separatystycznej przygody" – mówił Macron we wrześniu 2021 r. podczas uroczystości z okazji 150. rocznicy proklamacji republiki w Panteonie.

Trzy lata wcześniej, w marcu 2018 r., w liście otwartym opublikowanym na łamach dziennika „Le Figaro" i podpisanym przez 100 znanych osobistości francuskiego życia publicznego, w tym filozofa Alaina Finkielkrauta oraz byłych ministrów, Luca Ferry'ego i Bernarda Kouchnera, ostrzegano przed utrwaleniem się równoległych społeczeństw. Wprowadzono nawet ustawę w celu ochrony zasady laickości oraz wartości republiki. Według francuskiego Trybunału Obrachunkowego przez ostatnie lata francuskie państwo wydawało średnio 10 mld euro rocznie na poprawę warunków życia w imigranckich gettach, na programy edukacyjne i rewitalizację dzielnic. Jak widać – bez skutku. „Część społeczeństwa nienawidzi kraju, w którym żyje, to jest prawdziwy problem, o którym nikt nie chce mówić" – uważa filozof Rémi Brague.

Większość społeczności imigranckiej we Francji pochodzi z krajów muzułmańskich w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Jest przesiąknięta normami kulturowymi, które są często sprzeczne z tymi laickiego i postępowego państwa, jakim jest Francja. Kulturowy relatywizm, czyli odmowa wartościowania norm, doprowadził do „rasizmu niskich oczekiwań" wobec przybyszy oraz ich potomków. Nie wymagano od nich, by się dostosowali, zintegrowali, nauczyli języka, podjęli pracę. Bo tacy już są, nie można od nich niczego oczekiwać. Żyją z zasiłków? Nie pracują? Wiadomo, tak już jest. A krytykować ich nie wolno, bo wszystkie kultury się równoważą. Stawianie wymagań to rasizm, islamofobia. To doprowadziło do powstania równoległych społeczeństw, tych „utraconych terytoriów", nad którymi lamentują dziś francuscy politycy. Są to rezerwuary biedy i napięć społecznych, które wciąż się reprodukują.

eprasa.pl 6d12520532

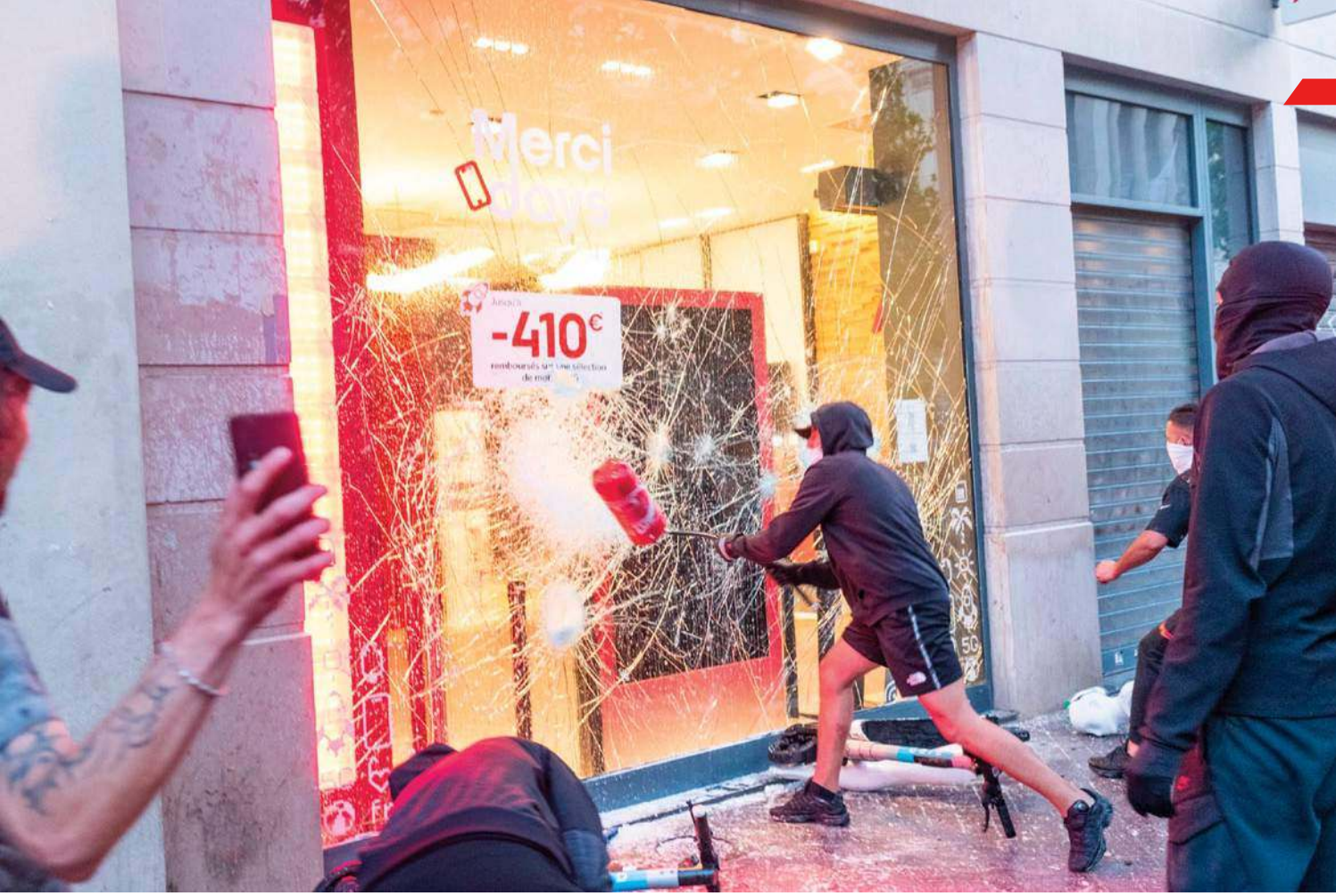

Fot. Sener Yilmaz Aslan/Sipa/East News

„Zatrzymanie masowej imigracji nigdy nie było we Francji brane poważnie pod uwagę. Spuścizna humanistyczna zobowiązuje. Asymilacja została szybko zarzucona z powodu postępującej sekularyzacji oraz rezygnacji z własnej kultury i tradycji, a także dlatego, że społeczność imigrancka stała się zbyt duża, by jej cokolwiek narzucić. Z kolei integracja, która polega na pracy i dobrobycie w zamian za przestrzeganie prawa, udała się tylko w bardzo niewielkim stopniu. Konsekwencją jest separacja, zamknięte diaspory rządzące się własnymi prawami" – podkreślił w rozmowie z „Le Figaro" Pierre Brochand, były szef agencji wywiadu wojskowego i strategicznego (DGSE).

„Część społeczeństwa nienawidzi kraju, w którym żyje, to jest prawdziwy problem, o którym nikt nie chce mówić" – uważa filozof Rémi Brague

KLIENTELIZM I KAPITULACJA

Do tego dochodzi klientelizm tożsamościowej lewicy, wyrażający się dziś głównie w Niepokornej Francji (La France Insoumise) Jeana-Luca Mélenchona oraz ruchu Tubylcy Republiki (Indigènes de la République), partii tożsamościowej, skupionej na wytykaniu francuskim elitom rasizmu i kolonializmu. Politycy partii Mélenchona świadomie podsycali zeszłotygodniowe zamieszki w imię osłabienia neoliberalnego państwa, którym gardzą nie mniej niż ich klienci w gettach. Nowy lumpenproletariat przedmieść uwodzi także lewicę kawiorową – socjologów, aktorów, filmowców, dziennikarzy. Przemoc jest dla nich podobnie jak dla Marksa wielką akuszerką historii. Wszytko jedno, jaka rewolucja, byleby nastąpiła. Wszystkie preteksty są dobre, by usprawiedliwić brutalność, a zwłaszcza alibi systemowego rasizmu.

W 2005 r. buntownicy – jak powiedział wówczas jeden z nich – chcieli forsy i kobiet. Tak jak dzisiaj nie mieli żadnego projektu poza nienawiścią do policji, paleniem żłobków, supermarketów, szkół, ośrodków pomocy społecznej, bibliotek. A wszystko to działo się w samobójczym pędzie, który jeszcze bardziej odcina ich od reszty narodu. Chcieli wyjąć spod kontroli republiki terytoria, które dawno zaanektowali, by wieść tam spokojne życie w cieniu gospodarki równoległej bez żadnych przeszkód. Odciąć się od tej Francji, której prawa i zwyczaje są sprzeczne z ich systemem zasad i wartości.

Państwo wobec tych dzielnic nazywanych eufemistycznie „dzielnicami wrażliwymi" wybrało kapitulację. Sądy orzekały kary w zawieszeniu dla młodocianych przestępców, którzy zaczęli traktować kradzieże, handel narkotykami czy jazdę samochodem bez uprawnień jako co najwyżej drobne wykroczenia, bez większych konsekwencji. A każdą próbę stosowania prawa przez policję za nieakceptowalną ingerencję w ich styl życia. Zachowanie policjanta, który zastrzelił Nahela, zostało

eprasa.pl 6d12520532

uznane przez prezydenta Macrona za niewybaczalne, podczas gdy przestępczość młodych Francuzów o tle migracyjnym w gettach na co dzień była tolerowana.

Badając przez 30 lat przemoc nastolatków, psychiatra dziecięcy Maurice Berger dokonał analizy grup, które działają zgodnie z kodeksem honorowym i z których pochodzi duża liczba uczestników zamieszek. Według niego ci chłopcy, którzy często wychowują się bez ojców (Nahel nie miał kontaktu ze swoim), mają poczucie wszechmocy, całkowitego braku granic. „Ich szaleństwo zderza się z szaleństwem świata, którego nieograniczony konsumpcjonizm wydaje się jego jedyną transcendencją" – pisał Berger.

Etnolog Germaine Tillion tak scharakteryzowała społeczeństwa północnoafrykańskie: „Chłopiec – a w szczególności najstarszy syn – jest królem, wokół którego gromadzą się kobiety w rodzinie w wieku od 6 do 80 lat i mu służą". „On jest poza krytyką" – zaznaczyła. Według niej tak rodzi się napięcie między „społeczeństwem kuzynów" a „społeczeństwem obywateli", gdy kodeks honorowy zderza się bezpośrednio z demokratyczną kulturą. Do tego dochodzi frustracja związana z przepaścią oddzielającą dyskurs o zwycięskim islamie od geopolitycznej rzeczywistości naznaczonej niezliczonymi porażkami. Począwszy od niepodległej Algierii, która jest daleka od sukcesu. Władze Algierii potępiły zresztą Paryż za to, że pozwolił zabić ich obywatela. Taka postawa państw pochodzenia – a jest ona normą – jeszcze podsyca resentymenty oraz negację legitymacji francuskiego państwa.

JAK ZŁOTA RYBKA

Według „Le Figaro" jeden z policjantów określił sytuację we Francji jako „na granicy wojny domowej". Przydałby się silny przywódca, ale Macron, prezydent prowadzący politykę „tak, tak, nie, nie", woli po raz kolejny nie patrzeć w lustro. Można by powiedzieć, że Macronowi grozi utrata kontroli nad krajem, ale gorzka prawda jest taka, że nigdy jej do końca nie miał. Odkąd został wybrany na prezydenta w maju 2017 r., Francja przechodziła od jednego kryzysu do drugiego: żółte kamizelki w 2018 r., pierwsza fala protestów przeciwko reformie emerytalnej w 2019 r., protesty przeciwko drakońskim lockdownom w czasie pandemii COVID-19, a następnie gniew, który wybuchł wiosną po tym, jak jego rząd przeforsował niepopularną ustawę emerytalną.

Po obecnych zamieszkach niektórzy mieli jednak nadzieję na prawdziwą debatę nad ich przyczyną. Debatę, która toczy się w prawicowych mediach i której Macron najwyraźniej chce uniknąć. Obwinił gry komputerowe, rodziców i TikToka za przemoc, a minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin oświadczył, że 90 proc. uczestników zamieszek to Francuzi. A nie jacyś tam imigranci. Problemu więc nie ma, a raczej jest, tyle że jest nim przestępczość oraz ogólne zdziczenie.

Rzeczywiście uczestnicy zamieszek to Francuzi, tam się urodzili, ale dlaczego chcą zniszczyć własny kraj? Dlaczego otrzymali wsparcie prezydenta Turcji czy władz krajów Maghrebu? Dlaczego śpiewali „raz, dwa, trzy, niech żyje Algieria!" w czasie konfrontacji z policją? Wykrzykiwali antysemickie hasła, czyniąc aluzję do intifady? Może i administracyjnie należą do Francji, sentymentalnie ich lojalność leży zupełnie gdzie indziej.

> Im bardziej Francja staje się świecka, tym bardziej rośnie religijność mieszkających w jej granicach muzułmanów

Wielkiej zmiany polityki imigracyjnej, jej zaostrzenia więc nie będzie. Mało tego – francuski rząd zamierza dalej procedować ustawę o imigracji i azylu przygotowaną przez prezydencką większość, która przewiduje m.in. hot spoty azylowe we Francji, gdzie wnioski byłyby procedowane, oraz przyspieszenie procedur azylowych. O zmniejszeniu migracji nie ma w niej mowy.

Państwo pomoże także gminom usunąć konsekwencje zamieszek. Odbudowa ma ruszyć bezzwłocznie. Tylko po co odbudowywać coś, co za chwilę może znów spłonąć? „Gdybyśmy ograniczyli napływ migrantów w 2005 r., dzisiejszych zamieszek by nie było. Za każdym razem, gdy jakiejś rodzinie udaje się wydostać z getta przez awans społeczny, jej miejsce zajmuje kolejna. Taka, która dopiero co dotarła do Francji. Trzeba przełamać ten cykl" – pisze filozof Jean-Loup Bonnamy na łamach „Le Figaro". Według niego „te same wydarzenia, te same scenariusze powracają, jakbyśmy utknęli w pętli czasu". „W 2005 r. Sarkozy mówił o szumowinach, w 2020 r. dyskutowaliśmy o zdziczeniu społeczeństwa, w 2023 r. były kontrowersje wokół rzekomego procesu decywilizacji. A problemy pozostają te same. Zawsze z tymi samymi dyskusjami, gdzie wszystkie role są z góry obsadzone. Nie wyłania się z nich żadna ogólna wizja. Przypomina to złotą rybkę kręcącą się w swoim akwarium i mającą złudne poczucie nowości, bo niczego nie pamięta" – czytamy na łamach „Le Figaro".

LEPIEJ NIC NIE ROBIĆ

Są też ci, którzy uważają, że na rozwiązanie problemu jest już za późno. Nie tylko dlatego, że przegapiono moment, w którym integracja mogłaby się udać, lecz także dlatego, że aby walczyć z równoległymi społeczeństwami, Macron musiałby wyzbyć się odruchu politycznej poprawności, a już pokazał, że go na to nie stać. Lepiej nic nie robić, niż przyznać rację skrajnej prawicy w postaci Marine Le Pen. Czy da się Francję jeszcze scalić?

Historyk Georges Bensoussan, który w 2002 r. ostrzegał przed terytorialnym apartheidem w swojej książce „Terytoria stracone republiki" (książkę w obawie przed ostracyzmem wydał pod pseudonimem), uważa, że na zrośnięcie się narodu nie ma szans, jeśli Francja nie wróci do źródeł: wiary, tradycji, narodu. A na to się nie zanosi. A im bardziej Francja staje się świecka, tym bardziej rośnie religijność mieszkających w jej granicach muzułmanów. „Pozostaje nam ugasić ten pożar tak, by te dwie strony społeczeństwa nie stanęły kiedyś naprzeciwko sobie, przed czym ostrzegał były minister spraw wewnętrznych Gérard Collomb, gdy w 2018 r. rezygnował z urzędu" – ostrzegał Bensoussan w rozmowie z „Le Figaro".

Jest to także ważna lekcja dla Polski, która pomału staje się krajem imigracyjnym. Jakich błędów nie popełniać.

Reklama | 58/0523/F

eprasa.pl 6d12520532

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

DZIAŁAMY WSPÓLNIE NA RZECZ ZRÓWNOWAŻONEJ PRZYSZŁOŚCI

W 2022 r. wygenerowaliśmy 335 mld zł wsparcia dla polskiej gospodarki

www.bgk.pl

eprasa.pl 6d12520532

Bicz na lidera PO

Kto może wygrać z Donaldem Tuskiem i poprowadzić PiS do zwycięstwa w wyborach?

STANISŁAW JANECKI

Zwycięskie kampanie parlamentarne Prawa i Sprawiedliwości (Zjednoczonej Prawicy) były skuteczne w latach 2015 i 2019 m.in. dlatego, że wcześnie było wiadomo, kto jest liderem tego obozu, kto jest jego kandydatem na premiera. I ta osoba była też główną postacią kampanii wyborczej.

Wyjątkowo wcześnie kandydat na premiera został wyłoniony w 2015 r., bo już 20 czerwca 2015 r. Wtedy była to Beata Szydło. Wynikało to z potrzeby pójścia na fali po wygranych przez Andrzeja Dudę w maju 2015 r. wyborach prezydenckich, a wtedy Beata Szydło kierowała zwycięską kampanią. Mateusz Morawiecki został wskazany na początku września 2019 r., ale on był urzędującym szefem rządu, więc nie trzeba było go promować w tej roli. W wyborach jesienią 2023 r. też powinien być po stronie PiS (ZP) odpowiednio wcześnie wskazany lider i kandydat na premiera. Takie działanie porządkuje kampanię, dopasowuje ją do kandydata i umożliwia wykorzystanie wszystkich jego atutów. W pierwszej połowie lipca 2023 r. oficjalnie kandydata PiS na szefa rządu nie ma, ale premier jest ten sam co w 2019 r. Ponadto Jarosław Kaczyński tak jak poprzednio nie bierze pod uwagę własnej kandydatury.

Na początku sierpnia 2019 r. w sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu" 46 proc. ankietowanych wskazało Mateusza Morawieckiego jako kandydata na premiera, jeśli wybory wygrałaby Zjednoczona Prawica. W badaniu SW Research dla „Rzeczpospolitej" (też przeprowadzonego na początku sierpnia 2019 r.) najwięcej wskazań (26,3 proc.) również miał Mateusz Morawiecki, czyli urzędujący szef rządu. Sam Morawiecki, pytany 27 sierpnia 2019 r., czy to on będzie kandydatem na szefa rządu, jeśli PiS wygra wybory, stwierdził: „Myślę, że pan prezes Jarosław Kaczyński byłby znakomitym i najlepszym premierem. Pokazał zresztą to, jak był premierem". Ale prezes PiS opowiedział się za kandydaturą Morawieckiego.

Gdy pod koniec lipca 2022 r. w sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" zapytano, kto powinien zastąpić Mateusza Morawieckiego (mimo że nikt nie chciał go zastępować), najwięcej wskazań miał Jarosław Kaczyński – 11,1 proc. W badaniu z połowy kwietnia 2023 r. (SW Research dla „Rzeczpospolitej") jako szefa rządu po jesiennych wyborach w 2023 r. najwięcej badanych wskazało Mateusza Morawieckiego (21,8 proc.).

PYTANIA I ROZLICZENIA

Gdy w czerwcu 2015 r. Jarosław Kaczyński uzasadniał wskazanie Beaty Szydło, mówił: „To osoba, która odważnie podjęła się zadania wydającego się niewykonalnym. Stanęła na czele sztabu i wykonała to zadanie w 100 proc. Wykazała się cechami, które są potrzebne w realizacji największych przedsięwzięć. [...] Jest uczciwa, pracowita, rzetelna. Jest młoda, ale jest dojrzała jednocześnie. Ma dwóch dorosłych synów, jest żoną. Mimo ogromnych obciążeń ciągle prowadzi dom. Można o niej powiedzieć, że jest zupełnie niezwykłą, a jednocześnie zwykłą polską kobietą".

Zarówno Beata Szydło, jak i Mateusz Morawiecki jako liderzy nie startowali z Warszawy. Beata Szydło kandydowała w 2015 r. z okręgu 12 (Oświęcim, Chrzanów, Wadowice, Myślenice, Su-

Fot. Stefan Maszewski/Reporter/East News

eprasa.pl 6d12520532

cha Beskidzka), gdzie zdobyła 35,4 proc. wszystkich głosów w okręgu. Mateusz Morawiecki kandydował w 2019 r. z okręgu 31 (Katowice, Chorzów, Mysłowice, Piekary Śląskie, Ruda Śląska, Siemianowice Śląskie, Świętochłowice, Tychy), gdzie zdobył 28,47 proc. wszystkich głosów. Te rozstrzygnięcia oraz rekordowy w Unii Europejskiej wynik Beaty Szydło w wyborach europejskich w 2019 r. w okręgu obejmującym województwa małopolskie i świętokrzyskie (525 811 głosów) dowodzą, że startując poza Warszawą, dwoje kandydatów PiS na szefa rządu było postrzeganych jako reprezentanci całej Polski. To może być wskazówka, że i w 2023 r. taka strategia się sprawdzi.

Wybory w 2015 r. i 2019 r. pokazały, że kandydat na premiera powinien mieć doświadczenie z pracy w kampanii. Powinien być w stanie odwiedzić dosłownie całą Polskę, czyli musi mieć żelazną kondycję i wytrzymywać nawet kilkunastogodzinną aktywność w ciągu doby. Takie cechy miał np. Przemysław Gosiewski (zginął w katastrofie smoleńskiej), który nigdy się nie męczył i potrafił zyskiwać zwolenników nawet w nieprzyjaznych okręgach oraz miejscowościach. Polacy doceniają ludzi robiących coś dla nich szczególnie wtedy, gdy wiąże się to z wysiłkiem i poświęceniem.

Choć opozycja nie wystawiła jeszcze wspólnego kandydata na premiera (Platforma Obywatelska nie widzi nikogo innego poza jej przewodniczącym), to można bez ryzyka popełnienia błędu zakładać, że będzie to Donald Tusk. I to dla niego kandydat PiS (ZP) powinien być największym problemem, a wręcz utrapieniem. Co oznacza, że musi mieć dogłębną i wszechstronną wiedzę o funkcjonowaniu państwa, z łatwością posługiwać się faktami i danymi. Taki kandydat PiS mógłby wyzywać Donalda Tuska na pojedynki w różnych regionach (z udziałem mieszkańców albo pracowników wielkich przedsiębiorstw w konkretnym terenie). Dotychczas Tusk domagał się pojedynków z Jarosławem Kaczyńskim. Teraz powtarzając takie żądania, tylko by się ośmieszał, a unikając pojedynków ze wskazanym kandydatem PiS, zostałby uznany za tchórza. Odpowiedni kandydat obecnie rządzącej partii zawsze będzie miał przewagę nad kimś, kto jest daleko od władzy, nawet gdy w przeszłości był premierem. Szczegółowe dane dotyczące funkcjonowania państwa są niedostępne dla osób spoza ścisłego kierownictwa rządu, a tym bardziej z opozycji, więc dobrze przygotowany kandydat PiS byłby w stanie pokonać Tuska w pojedynkach, a nawet wręcz go ośmieszać. Tym bardziej że Donald Tusk jako premier był amatorem w kwestiach gospodarki, nie rozumiał ani podstawowych pojęć, ani procesów, więc pojedynki z kompetentnym i doświadczonym kandydatem byłyby okazją do pokazania jego ignorancji w tych sprawach. Nawet jeśli po jednej przegranej debacie Tusk unikałby kolejnych, byłoby to uznane za przyznanie się do klęski i tchórzostwo przed kolejnymi porażkami. I Tusk powinien być nieustannie bombardowany pytaniami, jak się zachowa, gdyby decydował o takich sprawach jak przymusowa relokacja imigrantów, dyktat Niemiec i ich dążenie do utworzenia europejskiej federacji, utrzymanie obecnie istniejących świadczeń, podniesienie wieku emerytalnego, rozwalenie mediów publicznych, pozaprawne działania odwetowe wobec szefów konstytucyjnie niezależnych instytucji, takich jak NBP czy Trybunał Konstytucyjny itp. No i Tuska powinno się cały czas rozliczać z jego resetu z Rosją.

> Odpowiedni kandydat obecnie rządzącej partii zawsze będzie miał przewagę nad kimś, kto jest daleko od władzy, nawet gdy w przeszłości był premierem

POLSKA ATRAKCYJNA DLA MŁODYCH

Kandydat PiS na premiera i lider kampanii powinien być w stanie rozłożyć na detale i przy okazji na łopatki wszelkie propozycje Donalda Tuska, a także pokazać w szczegółach, jak fatalne decyzje podejmował jako premier. Taki kandydat powinien posiadać umiejętność zaprezentowania całościowego obrazu i sensu rządów Prawa i Sprawiedliwości (także w przeszłości i także korzystając z dorobku prezydenta Lecha Kaczyńskiego, szczególnie cennego z perspektywy wojny Rosji przeciw Ukrainie, a właściwie przeciw całemu wolnemu światu). Powinien umieć wskazać atrakcyjną i opartą na faktach perspektywę rozwoju Polski za 10, 20, 30 lat. Przede wszystkim perspektywę rozwoju Polski atrakcyjną dla młodych ludzi.

Powrót w ostatnich latach wielu Polaków pracujących za granicą – i to ze względu na znacznie większe szanse dobrej pracy i kariery niż tam, gdzie się znaleźli, a to oferuje obecnie Polska – jest najlepszym dowodem, że nasz kraj już teraz jest bardzo konkurencyjny. A będzie jeszcze bardziej, skoro brytyjskie media lamentują, że wkrótce Polska przegoni Wielką Brytanię, gdy chodzi o realne (wedle siły nabywczej) PKB na głowę. Donald Tusk mógłby temu przeciwstawić tylko budowę autostrad i orliki. Jednak w przypadku autostrad spowodowało to masę bankructw podwykonawców, co jest ewenement w skali światowej. No i Sławomir Nowak jako nadzorujący te inwestycje na pewno nie jest atutem Tuska i Platformy. Z kolei orliki zostały zapamiętane jako oszustwo, bo nie dość, że zlecano ich budowę kolegom i po zawyżonych kosztach, to jeszcze użyte materiały wielokrotnie zagrażały zdrowiu korzystających z nich.

Kandydat PiS na premiera może wykorzystać to, że Donald Tusk miał i ma okresy znikania, chowania się, zagraniczne wyjazdy dla odzyskania sił, różne formy izolowania się szczególnie wtedy, gdy są problemy, co w przypadku takich konfliktów jak napaść Rosji na Ukrainę byłoby dla Polski śmiertelnym zagrożeniem. Konfrontowany z tym Tusk wyszedłby na osobę, która nie jest w stanie podołać nawet drobnej części wyzwań. Wyszedłby na człowieka niezdolnego do ciężkiej pracy i podejmowania dobrych dla Polski decyzji.

eprasa.pl 6d12520532

PSL w ślepej uliczce

Wraz z „serdecznym porozumieniem" z Szymonem Hołownią PSL utraciło przewagi, którymi – dzięki partyjnej strategii Waldemara Pawlaka – dysponowało w polskiej polityce

JAN ROKITA

Fot. Andrzej Wiktor

Czy w polskiej polityce jest w ogóle możliwa „trzecia droga"? To znaczy (przekładając to pytanie na język praktycznej polityki): czy w kontrze do kartelu PiS-PO da się zyskać takie wyborcze poparcie, które zagwarantowałoby istotny wpływ na rząd, państwową politykę i przydzielanie posad?

PARTIA OBROTOWA

Oczywiście da się, co bez wątpliwości zostało dowiedzione dwukrotnie przez PSL – w 2007 i 2011 r., czyli w czasach, gdy niekwestionowanym przywódcą partii chłopskiej był Waldemar Pawlak. Ten chłop z krwi i kości, rodem z powiatu gostynińskiego na Mazowszu,

eprasa.pl 6d12520532

potrafił zręcznie przenieść w warunki demokracji parlamentarnej starą, nomenklaturową partię, wysługującą się przez dziesięciolecia komunistom, a nawet dwukrotnie zostać w wolnej Polsce z jej ramienia premierem (raz wprawdzie tylko na krótko).

Ale co najważniejsze – Pawlak spozycjonował na wiele lat PSL jako kluczowego „obrotowego" partnera, niezbędnego do rządzenia Polską zarówno dla postkomunistów, jak i liberałów. Przy czym, jeśli pominąć „chłopski cud" 1993 r., gdy stronnictwo przekroczyło w wyborach wynik 15 proc., PSL-owska wyborcza norma, gwarantująca taką właśnie kluczową pozycję w polskiej polityce, wahała się zawsze gdzieś w pobliżu 8 proc. głosów otrzymywanych w wyborach. Z takim poparciem Pawlak umocnił na długie lata swoiste chłopskie imperium, bazujące na wiejskiej i małomiasteczkowej nomenklaturze czasów PRL, które z czasem przejmowały dzieci, wnuki czy kuzyni starych działaczy.

A partia Pawlaka była przez lata prawdziwym mistrzem w dokonywaniu podboju rozmaitych instytucji publicznych dla swoich aktywistów, ich rodzin i znajomych, co stanowiło paliwo dla ambicji i partyjnej lojalności tysięcy prowincjonalnych działaczy. W tym sensie rzecznik PiS, który kpił sobie ostatnio z PSL jako „symbolu partyjnego zakapiorstwa", ma oczywiście rację. Tyle tylko, że choć z perspektywy etyki czy estetyki życia publicznego stronnictwo Pawlaka wyglądało zawsze kiepsko, to taka właśnie brzydka natura zagwarantowała mu przecież na lata wpływ na kształt Polski najzupełniej nieproporcjonalny do jego demokratycznego potencjału.

PRZEPIS NA TRZECIĄ DROGĘ

To niezwykle ważne dla polskiej demokracji doświadczenie PSL pozwala sformułować dwa warunki, które trzeba by spełnić, by komuś udało się współcześnie powtórzyć tamten sukces Pawlaka.

Po pierwsze – „trzecia droga" w żadnym razie nie jest drogą antysystemowej kontestacji, którą w różnych wersjach wypróbowywali bądź wypróbowują tacy liderzy, jak Lepper, Palikot, Kukiz czy Hołownia. Od początku XXI w. polska polityka jest jednym wielkim cmentarzyskiem wysiłków i pomysłów na obalenie utrwalającego się dwupartyjnego modelu życia publicznego, skonstruowanego z premedytacją przez Tuska i Kaczyńskiego.

Ten cykl kontestatorów powtarza się u nas aż do znudzenia. Zaczyna się zawsze od szumnych zapowiedzi „zastąpienia polityków reprezentujących stare myślenie" i „skończenia z tą świętą wojną dwóch politycznych klanów" (to cytaty z niedawnej programowej mowy Hołowni). Wybucha krótka medialna euforia, proklamująca nowego lidera opozycji i początek końca kartelu PiS-PO. A potem kontestatorzy wchodzą w zwykły rytm targów, przepychanek i kompromisów na scenie politycznej oraz zaczynają mieć wyraźny kłopot ze schodzącymi sondażami. Wszystko kończy się wcześniej czy później kryzysem i marginalizacją, po raz kolejny dowodzącą, iż plan zepchnięcia dwóch kolosów ze sceny od początku nie był realny.

> Nie dziwota, że sondaże opinii zaczęły pokazywać, iż PSL z Hołownią na pokładzie nie ma nawet tych 8 proc., które w przeszłości dawały mu siłę i władzę

To charakterystyczne, że kiedy PSL Pawlaka ze swoimi 8 proc. kręcił czasem polską polityką niczym przysłowiowy ogon psem, to nigdy nie zapowiadał ani żadnego „nowego myślenia", ani zepchnięcia ze sceny obecnie dominujących na niej kolosów. To właśnie było źródłem jego siły, a nie słabości, bo stronnictwo chłopskie przez nikogo nie było traktowane jako polityczny wróg, wręcz przeciwnie – wszyscy liczyli na jego pozyskanie i łaski. I to nawet zdając sobie sprawę z jego specyficznej natury, którą rzecznik PiS określa teraz mianem „partyjnego zakapiorstwa". Z przymrużeniem oka powtarzano w tamtych latach anegdotę, według której zawsze wiadomo, z kim PSL zawrze przyszłą koalicję. Z tymi, którzy wygrają.

Ale źródłem siły i wpływów partii Pawlaka było jeszcze i to, że dysponowała ona wiernym, twardym elektoratem. I tu tkwi właśnie drugi warunek politycznej skuteczności jakiejkolwiek „trzeciej drogi". PSL nigdy nie było partią „pasożytniczą", to znaczy taką, która musi żywić się wydzieraniem głosów jakieś innej, większej partii. Taki efekt dawało właśnie zakorzenienie w starej, prowincjonalnej nomenklaturze oraz późniejszy mechanizm rodzinnego dziedziczenia partyjnych wpływów, którego świetnym przykładem jest przecież także błyskawiczna partyjna kariera obecnego prezesa Władysława Kosiniaka-Kamysza – choć inteligenta krakowskiego, a nie chłopa, ale za to syna ZSL-owskiego aktywisty i ministra.

Co prawda, od wyborów 2015 r. na wieś gwałtowanie wtargnęło PiS. Ale z gruntu mylili się wszyscy ci, którzy w związku z tym wieszczyli starej i dobrze osadzonej na prowincji partii chłopskiej szybki uwiąd. Te odwieczne 8 proc. zawsze należało i tak do PSL nawet jeszcze wtedy, gdy Kosiniak-Kamysz rozpoczął ryzykowne manewry przebudowywania samej natury stronnictwa, w stronę jakiegoś mitycznego „nowego centrum", które rzekomo miało teraz zawojować polską źle spolaryzowaną politykę.

SERDECZNE POROZUMIENIE

Kwintesencją tej przebudowy, która na początku polegała na przygarnianiu przez Kosiniaka-Kamysza rozmaitych rozbitków z innych partii, stała się swoista przedwyborcza „entente cordiale" z grupą stworzoną przez Hołownię. Określenie owego aliansu mianem „serdecznego porozumienia" jest chyba o tyle trafne, że obu organizacji nie łączy w istocie nic poza manifestowaną niemal co dnia „chemią Władka z Szymonem", co obaj liderzy objawiają publiczności na niezliczonych fotografiach z uśmiechami i przytulankami.

eprasa.pl 6d12520532

Prawdę mówiąc, nie ma chyba mniej rozsądnej przyczyny aliansu politycznego od wzajemnej serdeczności okazywanej sobie przez liderów. Ale ważniejszy jest fakt, iż wraz z ową „ententą" z Hołownią PSL utraciło obie przewagi, którymi dysponowało w polskiej polityce dzięki partyjnej strategii Pawlaka. Zlało się bowiem z formacją, której istotą jest powtarzana każdego dnia niespełnialna, a dla wyborców kompletnie niewiarygodna obietnica wywrócenia całej sceny i uczynienia wszystkiego w polskiej polityce na nowo. I to z formacją, której natura na dodatek jest czysto „pasożytnicza", gdyż nie ma ona żadnego własnego twardego elektoratu, a by istnieć, musi każdego dnia żerować na elektoracie Platformy Obywatelskiej.

Hołownia miał już swój wielki medialny sukces mniej więcej dwa lata temu z hakiem. W 2020 r. był najpopularniejszą gwiazdą na polskiej scenie publicznej, a jego rodząca się dopiero naonczas partia realnie rywalizowała z PO. Jakościowe badania opinii pokazywały wtedy, że był zdecydowanym przywódcą dla wyborców najmłodszych (60 proc.), najbogatszych (66 proc.) i niereligijnych (60 proc.). Z jego zapowiedzi wynikało, że mądrze przystępuje do budowy własnych instytucji, rozumiejąc, iż wysokiej intensywności uczuć w skali masowej nie da się utrzymywać bez ustanku. Obok partii Hołowni miało więc być radio Hołowni, szkoła liderów Hołowni, nawet kursy psychologiczne Hołowni. Hołownia był gwiazdą Facebooka, Twittera, Instagrama, YouTube, a fani Hołowni pogrążali się w rozpaczy z powodu tego, iż przestał on pracować dla show-biznesu.

Ale to jest już przeszłość. A Kosiniak-Kamysz, który mógł zrobić szybką rządową karierę tylko dzięki rozumnej partyjnej strategii Pawlaka, wziął sobie na pokład pogrążającego się w kryzysie Hołownię, chyba tylko po to, by jeszcze raz wypróbować, jak w praktyce zadziała jego własna dziwaczna doktryna „nowego centrum". Wraz ze swoim nowym współliderem opowiada przy tym publicznie rzeczy, co do których wiejscy i małomiasteczkowi wyborcy PSL nie pojmują zapewne, o co w ogóle może mu chodzić. A to, że PSL i partia Hołowni mają „dobry vibe", a to znów, że teraz w stronnictwie „hipsterzy warszawscy mają się czuć tak samo dobrze jak chłopi spod Mławy". Ale najbardziej niemądre, gdyż niszczące całą partyjną doktrynę PSL jest to, iż po aliansie z Hołownią Kosiniak-Kamysz zaczął się zarzekać, iż sukcesem nie jest już dla niego dobry wynik wyborczy PSL, ale pozbawienie władzy Kaczyńskiego.

A wydawałoby się, że każde dziecko w Polsce rozumie, iż od odpiłowywania Kaczyńskiego od władzy jest inny wybitny fachowiec, który w opinii publicznej zagwarantował sobie monopol na tę robotę. Zresztą po to właśnie odważnie porzucił leniwe brukselskie życie, by teraz szarpać, gryźć i kopać Kaczyńskiego aż do skutku, czyli do pozbawienia go władzy. Pomysł, że taką samą misję w polityce ma teraz prezes PSL musi się już na pierwszy rzut oka wydać niedorzeczny, przede wszystkim jeśli patrzeć na niego z perspektywy wyborczego interesu stronnictwa. Po co komu głosować w wyborach na malutkiego i niezbyt walecznego giermka, skoro przecież może oddać głos na prawdziwego rycerza, z niekłamaną wściekłością i pasją szturmującego warowny zamek PiS. Można zrozumieć, że to Hołownia, niemający własnego elektoratu, jest zmuszony licytować się z Tuskiem o to, kto ma lepszy patent na zdobycie i zburzenie ponurego zamczyska. Ale szef partii chłopskiej? Chyba jednak nie do takiej misji wybrali go partyjni działacze z prowincji. Czyż owym działaczom nie chodzi przede wszystkim o powrót PSL do władzy, tak by mogli sobie znów przypomnieć tłuste lata pod przywództwem Pawlaka? Czyż nie marzy im się nowy i najprawdziwszy Mateusz Bigda?

> Źródłem siły i wpływów partii Pawlaka było jeszcze i to, że dysponowała ona wiernym, twardym elektoratem. I tu tkwi właśnie drugi warunek politycznej skuteczności jakiejkolwiek „trzeciej drogi"

POLITYCZNY REALIZM

Nie dziwota, że sondaże opinii zaczęły pokazywać, iż PSL z Hołownią na pokładzie nie ma nawet tych 8 proc., które w przeszłości dawały mu siłę i władzę. Kosiniak-Kamysz mówi (ostatnio w Polsacie), że to wynik zmasowanego ataku na nową formację o nazwie Trzecia Droga, a także że PSL był zawsze z natury, jako partia prowincji, niedowartościowany sondażowo. Rzecz jednak w tym, że Kosiniak-Kamysz właśnie zlikwidował stare i dobre PSL, tworząc coś, w czym (jak sam mówi) dobrze się mają czuć warszawscy hipsterzy. Więc teza o sondażowym naturalnym niedowartościowaniu jest już nieaktualna. A co do ataku...

Tak oczywiście, atak jest, a czegóż to innego prezes PSL mógł się spodziewać? Jego „ententa" z Hołownią wywołała przecież falę ekscytacji w szefostwie Platformy, gdzie szybko dostrzeżono niespodzianą szansę na jednoczesne pogrążenie znienawidzonej grupy Hołowni i wasalizację wobec PO partii chłopskiej. Wystarczy, żeby coraz gorsze perspektywy i coraz silniejsza świadomość popełnionego błędu skłoniła Kosiniaka-Kamysza w swoistym przedwyborczym akcie rozpaczy do zerwania „serdecznego porozumienia", zostawienia Hołowni w ostatniej chwili samego na lodzie i pomaszerowania działaczy chłopskich na sowicie im przydzielone miejsca na listach PO. W końcu spełniłby się sen Tuska o ostatecznym ubezwłasnowolnieniu PSL, rzecz, która nie udała mu się w okresie wspólnych koalicyjnych rządów. A prawdziwy wróg we własnym obozie, żerujący na elektoracie Platformy, mógłby zostać zepchnięty pod próg wyborczy. Czy tak się właśnie stanie na krótko przed wyborami? Za takim scenariuszem przemawia polityczny realizm. Ale przeciw – osobista przyzwoitość i poczucie honoru prezesa PSL.

Reklama | 29/0623/F

eprasa.pl 6d12520532

Efektywność energetyczna w firmie?
Zrób audyt z TAURONEM i oszczędzaj!

biznes.tauron.pl/audyty

eprasa.pl 6d12520532

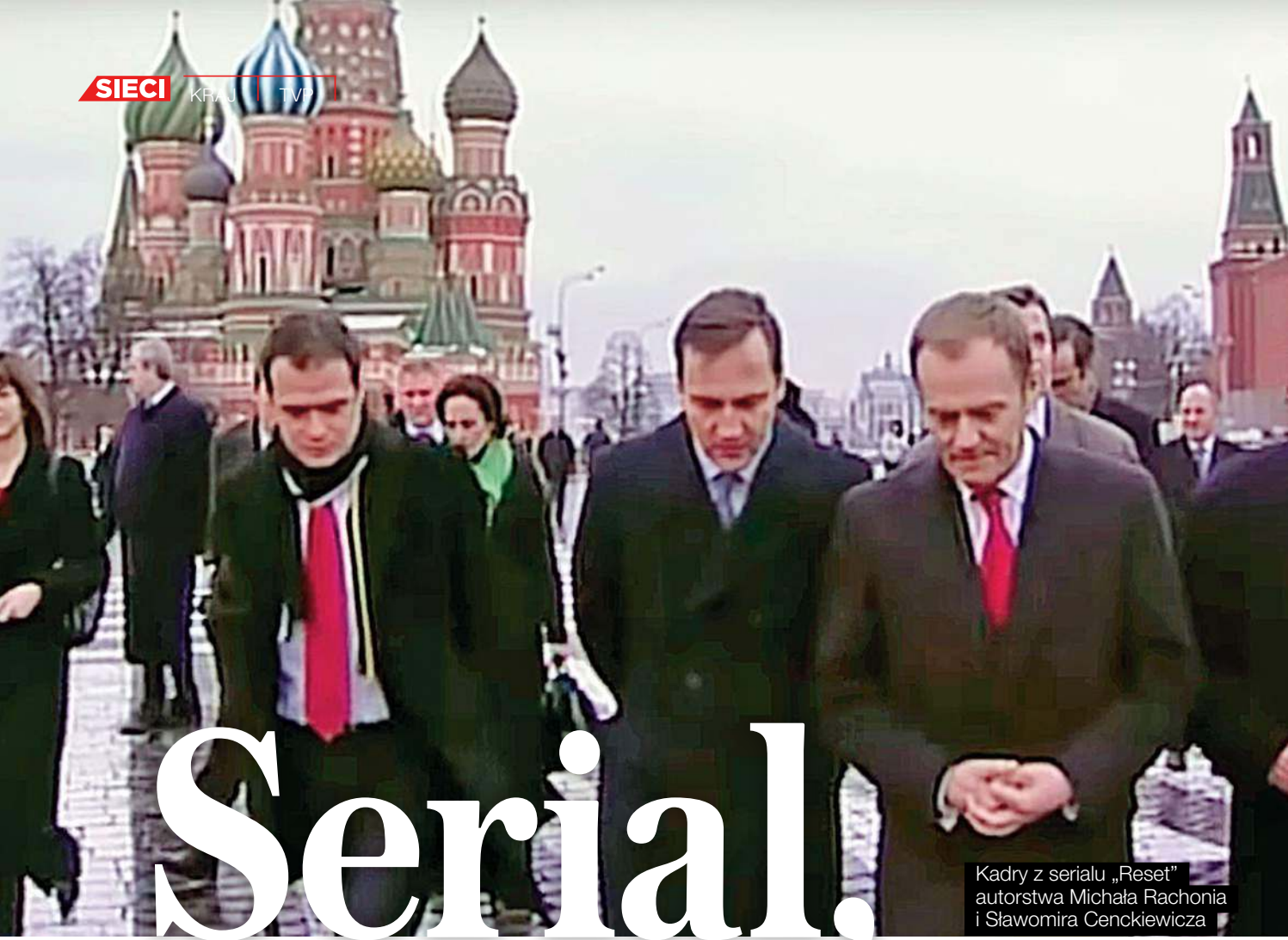

Kadry z serialu „Reset" autorstwa Michała Rachonia i Sławomira Cenckiewicza

Serial, który boli

Serial „Reset" to prawdziwy hit Telewizji Polskiej, który co tydzień przyciąga wielu widzów i wywołuje dyskusje nie tylko wśród polityków. Nikt wcześniej nie pokazał w sposób tak precyzyjny, analityczny i dobrze udokumentowany kulisów prorosyjskiej polityki prowadzonej przez ekipę Donalda Tuska. To potężny akt oskarżenia pod adresem polityki zagranicznej RP sprzed 15 lat

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Trudno stwierdzić, co w dotychczas wyemitowanych odcinkach serialu jest najbardziej zatrważające – czy uległość rządu Tuska wobec Rosji, której stanowisko było dla polskiego premiera ważniejsze od opinii Białego Domu, czy może sabotaż polityki Lecha Kaczyńskiego, pilnującego interesów NATO i próbującego ratować niepodległość Gruzji i Ukrainy, czy też lekceważenie i ukrywanie przed prezydentem oraz zachodnimi sojusznikami zbrodniczych planów Putina wobec Kijowa, które Kreml przedstawiał liderowi Platformy najzupełniej wprost.

eprasa.pl 6d12520532

Treść serialu „Reset” autorstwa Michała Rachonia i Sławomira Cenckiewicza jest merytorycznie skomplikowana, wymaga dużego skupienia, a jednak miliony widzów (emisja na antenach TVP oraz w serwisach internetowych) oraz ożywione dyskusje wskazują, że autorzy doskonale sobie poradzili z omawianą materią. Prowadząc naprawdę szeroką kwerendę w archiwach wielu instytucji, dogłębnie analizują źródła i sprawiają, że pamięć u odbiorców odświeża się, co może oznaczać jedno: wszystkie demony Tuska, Sikorskiego i spółki wracają.

Fot. TVP

PRZECIW POLSCE

Naprawdę trudno pogodzić się ze świadomością – a jednak trzeba to przypominać – że Polska przez lata miała władze, których centralnym punktem polityki nie było bezpieczeństwo ojczyzny. Bo jak inaczej nazwać naprawdę usilne zabiegi premiera Donalda Tuska i szefa MSZ w jego rządzie Radosława Sikorskiego, by nie doszło do zainstalowania w Polsce amerykańskiej tarczy antyrakietowej? Przedstawiona w serialu sekwencja wydarzeń pokazuje, jak wielki wpływ na polską politykę zagraniczną miały ambicje szefa rządu, który chciał zasłynąć w Europie tym, że to właśnie on obłaskawi rosyjskiego niedźwiedzia. Dla tej idei był w stanie poświęcić naprawdę sporo.

Lata 2007–2008 to nie był – delikatnie mówiąc – czas rozkwitu naszej armii. Owszem, Polska była już członkiem NATO, ale każde gwarancje wymagają choćby minimalnego zaangażowania własnej zdolności obronnej. Zwijane wówczas wojsko nie dawało takiej możliwości, dlatego propozycja amerykańskiego prezydenta George'a W. Busha, który chciał w Polsce i Czechach antyrakietowej instalacji obronnej, wydawała się zbawiennym pomysłem. Witold Waszczykowski, wiceszef MSZ, główny negocjator ze strony polskiej, do tego właśnie próbował przekonać swojego szefa Donalda Tuska, ale szybko zrozumiał, że rozmowy mają być prowadzone tak (dostawał bardzo szczegółowe instrukcje), by do dopięcia umowy w końcu nie doszło.

> Po obejrzeniu „Resetu” nikt zdrowo myślący nie może uwierzyć, że tandem Tusk-Sikorski działał na rzecz bezpieczeństwa Polski, Ukrainy czy Gruzji, a wbrew interesom Rosji. Było odwrotnie

Przedstawiciele amerykańskiego Departamentu Stanu musieli być zdumieni, że strona polska wysuwa coraz bardziej wygórowane żądania. Prezydent Bush zgodził się już na to, że to jego kraj poniesie całkowity koszt przygotowania terenu, budowy infrastruktury i instalacji elementów tarczy, a nawet dodatkowe koszty modernizacji polskiej armii – jednak wciąż było to za mało.

Tusk na spotkaniu z Bushem w Waszyngtonie mówił (wiemy to z odtajnionych dokumentów amerykańskich i... konferencji prasowej rosyjskiego prezydenta), że Putin postraszył go natychmiastowym przekierowaniem swoich rakiet na cele w Polsce, gdy tylko na naszej ziemi stanie taka instalacja.

I w tym miejscu należy poczynić dwie uwagi. Po pierwsze, w notatce z wizyty premiera w Moskwie, która trafiła także na biurko prezydenta Lecha Kaczyńskiego, nie ma śladu po tych groźbach Putina. Wytłumaczenie jest proste, Tusk musiałby przyznać, że jego polityka resetu nie sprawdza się, że Moskwa wciąż nie rozmawia z Warszawą po partnersku. Po drugie, Tusk usłyszał od Busha, że takie rosyjskie groźby to nic nowego, a obecność żołnierzy US Army na polskiej ziemi sprowadziłaby je tylko do pohukiwania. To wtedy w istocie szef polskiego rządu wybrał, że woli kontynuowanie kompletnie niepartnerskiej polityki z Moskwą niż gwarancje Waszyngtonu. A te były realne, bowiem gdy Tusk opowiadał publicznie, że amerykańska tarcza „powoduje także innego rodzaju ryzyka”, to Bush zadeklarował, że instalacji będzie broniło sześć baterii wyrzutni Patriot. Ale myśli polityków rządzących wówczas Polską były zupełnie gdzie indziej. Kwestią kluczową było to, jak nie dopuścić do umowy z USA. I się udało. Dokumenty podpisano, ale do ratyfikacji przez kontrolowany przez Tuska parlament nie doszło. A potem już zmienił się w USA prezydent, aż wreszcie demokrata Barack Obama sam odpuścił temat tarczy.

ZAWSZE Z ROSJĄ

Rządzący Polską przed 2007 r. PiS nigdy nie miał wątpliwości, że Rosja to dla Polski zagrożenie. Władimir Putin nigdy nie ukrywał mocarstwowych ambicji, publicznie opowiadał, że rozpad Związku Sowieckiego to największa tragedia, jaka mogła spotkać Moskwę. Relacje z takim sąsiadem nie mogły

Fot. TVP

eprasa.pl 6d12520532

być więc dobre, co jakiś czas obfitowały w napięcia i prowokacje. W serialu Rachonia i Cenckiewicza przypomniano, że Rosja z błahego powodu zdecydowała o nałożeniu embarga na import mięsa, a potem także produktów roślinnych z Polski. Warszawa mogła tylko odpowiedzieć wetem, które na forum europejskim oznaczało, że Moskwa nie stanie się członkiem OECD (Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju) i nie będzie mogła rozwijać gospodarczej współpracy na Starym Kontynencie.

Gdy jesienią 2007 r. władzę przejęła koalicja PO-PSL, ta postawa radykalnie się zmieniła, a premier Donald Tusk już w exposé zapowiedział dialog z Rosją „taką, jaka ona jest". Jaka wówczas była? O tym także można sobie przypomnieć z „Resetu". Zaledwie rok wcześniej, jesienią 2006 r., rosyjski dysydent Aleksander Litwinienko został otruty w Londynie radioaktywnym polonem dolanym do herbaty. Zamach został przeprowadzony demonstracyjnie. To było pokazanie przez Putina, że nie ma na świecie miejsca, gdzie jego wrogowie byliby bezpieczni.

A jednak jako cel jednej z pierwszych wizyt Donald Tusk obrał stolicę Rosji. Ale żeby tam się dostać, musiał najpierw coś obiecać. Zapowiedział więc koniec blokady na rozmowy Moskwy w kwestiach gospodarczych. Z ujawnionych w filmie notatek dyplomatycznych wiemy, że polski premier i jego współpracownicy zostali na Kremlu ograni jak dzieci. To rosyjski prezydent zrealizował swoją agendę, a naszej delegacji zostawił rolę przyklaskującej publiczności albo szkolnej wycieczki, która może co najwyżej z uśmiechem zwiedzić pl. Czerwony.

Tusk wrócił z Moskwy wystraszony (usłyszał zdecydowane „niet" dla amerykańskiej tarczy), choć pozował na zadowolonego. Gdy jednak przyglądamy się bliżej szczegółom, widać dyplomatyczną klęskę. Rosja dostała więcej, niż oczekiwała, a embargo na polskie produkty pozostało w mocy. Dodajmy jeszcze element upokorzenia, bo o tej decyzji poinformował polskiego premiera nie Władimir Putin, ale Dmitrij Miedwiediew, który wówczas pełnił funkcję zaledwie wicepremiera.

Czy z wyprawy Tuska do Moskwy można było wyciągnąć więcej? Wydaje się, że nie. Przede wszystkim dlatego, że nikt tego nie chciał, wektor polskiej polityki zagranicznej był już nastawiony na maksymalną współpracę z Rosją. Ale też nie można lekceważyć faktu, o którym w filmie mówią Michał Rachoń i Sławomir Cenckiewicz. Nie wiadomo, czyja to była decyzja, ale w miejsce ministra Cezarego Grabarczyka do delegacji został dołączony Zbigniew Rzońca, dyplomata, absolwent kontrolowanej przez Sowietów szkoły szpiegów w Kiejkutach. Rosjanie nie mogli o jego przeszłości nie wiedzieć, czy zatem mogli być zaskoczeni planem, z którym jechał do Moskwy Tusk?

> Polski premier – najprawdopodobniej jako pierwszy przywódca zachodni – usłyszał od Putina, że ten planuje zaatakować Ukrainę. Z „Resetu" dowiadujemy się, jak zareagował na te wieści Donald Tusk. Ukrył tę informację przed prezydentem i sojusznikami z NATO

SABOTAŻ WOBEC PREZYDENTA

Dobrze pamiętamy, jak brutalnie rząd Donalda Tuska próbował umniejszyć rolę w polskiej polityce (zwłaszcza zagranicznej) Lecha Kaczyńskiego. Jest już wiedzą powszechną, jak wypychano go z uroczystości w 70. rocznicę zbrodni katyńskiej, jak grano przeciwko niemu, by nie psuć resetowej układanki z Moskwą, a ostatecznie nawet rozdzielono wizyty, co okazało się gruntem do katastrofy smoleńskiej. Ale dopiero w produkcji Rachonia i Cenckiewicza zobaczyliśmy, po jak skandaliczne metody sięgano.

Opowieść z czwartego odcinka serialu o kulisach szczytu NATO w Bukareszcie w 2008 r. jest wstrząsająca. Poznajemy w niej dokument wysłany przez kancelarię głowy państwa do MSZ z prośbą o przekazanie go do przywódców państw NATO jeszcze przed szczytem w Rumunii. Prezydent apelował do sojuszników o przyjęcie do paktu Ukrainy i Gruzji. Tak się nie stało, bo szef resortu dyplomacji (wynika to z ujawnionej kartki doczepionej w MSZ do listu z KPRP) nakazał pismo schować. „Ten dokument ma leżeć w naszej szafie pancernej do poniedziałku i czekać na dalsze dyspozycje ministra Radosława Sikorskiego" – czytamy w odręcznej adnotacji jednego z urzędników.

Był to czas kluczowy dla przyszłości dwóch państw, raptem kilkanaście lat wcześniej oswobodzonych z żelaznego uścisku Moskwy. Szczyt w Bukareszcie mógł stać się kluczowym krokiem na drodze do zapewnienia bezpieczeństwa Tbilisi i Kijowowi. Jednak plany Berlina i Paryża były inne. Angela Merkel wraz z Nicolasem Sarkozym zwodzili w tej sprawie, unikali jasnych deklaracji wsparcia Gruzji i Ukrainy, by nie drażnić Rosji i robić z nią dalsze interesy. Nie chcieli słuchać przestróg o imperialnych apetytach Putina.

Lech Kaczyński widział je na długo, zanim rosyjskie czołgi zmierzały w kierunku gruzińskiej stolicy. Polski rząd albo wykazywał się naiwnością i to lekceważył, albo godził się na wysokie koszty swojej polityki resetu z Rosją – zagrożenie suwerenności Gruzji i Ukrainy.

18 kwietnia 2008 r. Anna Fotyga (wówczas szefowa kancelarii prezydenta) w imieniu Lecha Kaczyńskiego napisała do MSZ, by rząd wsparł stanowisko głowy państwa i głośno opowiedział się za otwartymi drzwiami do NATO dla dwóch wspomnianych państw. W odpowiedzi Sikorski obsztorcował prezydenta, że takie pisma powinien uprzednio konsultować z MSZ.

Trzy miesiące później Rosja wysłała swoje wojska na niepodległą Gruzję.

Fot. TVP

eprasa.pl 6d12520532

A przecież wcześniej (w lutym) była jeszcze wizyta Donalda Tuska w Moskwie. To tam polski premier – najprawdopodobniej jako pierwszy przywódca zachodni – usłyszał od Putina, że ten planuje zaatakować Ukrainę. Z „Resetu" dowiadujemy się, jak zareagował na te wieści premier RP. Ukrył tę informację przed prezydentem i sojusznikami z NATO. Rachoń z Cenckiewiczem poszli tropem schowanych głęboko dokumentów i dotarli m.in. do szyfrogramu wysłanego przez ambasadora w Moskwie Jerzego Bahra do centrali naszego MSZ, w którym opisał on groźby stawiane wobec Ukrainy przez wysokiego urzędnika rosyjskiej dyplomacji. Straszył on rozpołowieniem Ukrainy, a operacja ta miała się zacząć... od Krymu.

Krótko mówiąc, zrealizowane w 2014 r. plany Putina Tusk z Sikorskim poznali już sześć lat wcześniej. Zbagatelizowali je.

CICHO SZA!

To, że „Reset" będzie bolesnym dokumentem dla Platformy Obywatelskiej, mogliśmy podejrzewać jeszcze przed jego emisją. Na kilkanaście godzin przed pierwszym odcinkiem „Gazeta Wyborcza" opublikowała notatkę MSZ z 2010 r. (jako pierwsi pisaliśmy o niej w „Sieci" w 2016 r.), która miała wybielać Sikorskiego i pokazywać go jako polityka rzekomo twardego w rozmowach z Moskwą, sprzeciwiającego się dominacji Gazpromu w dostawach gazu do Europy. Tyle że z tego dokumentu to nie wynika. Przeciwnie – na siedmiu stronach znajdujemy liczne dowody uległości polskiego rządu wobec rosyjskich interesów – od energetyki, przez mały ruch graniczny na granicy z obwodem królewieckim, po unijne ułatwienia wizowe dla Rosjan itd.

Po kolejnych odcinkach serialu postawiono na inną formułę walki z nim – milczenie. Czytelnicy gazety Michnika czy Wirtualnej Polski, widzowie TVN czy Polsatu nie dowiedzą się o kolejnych zdumiewających odkryciach ujawnianych przez Rachonia i Cenckiewicza. I to nie dlatego, że podała je konkurencja z TVP. Nawet branżowy „Press" (czyli redakcja przyznająca nagrody uznawane w medialnym salonie za prestiżowe), zamiast docenić tytaniczną pracę autorów serialu, którzy tydzień w tydzień prezentują kolejne rewelacyjne newsy będące solą dziennikarstwa – bo odkrywają prawdę o poczynaniach władzy w najbardziej wrażliwych dla bezpieczeństwa obszarach – skupia się na węszeniu, ile kosztowała ta produkcja i jakie honorarium otrzymali jej autorzy.

A Sikorski jest tak bezradny wobec skali ujawnionych materiałów, że nawet nie zaprzecza ustaleniom twórców „Resetu". Bez cienia wstydu przyznał na Twitterze, że kazał schować pismo prezydenta Kaczyńskiego do sojuszników, w dodatku drwiąc, że jego rozesłanie do przywódców państw NATO nic by nie dało.

Panika polityków Platformy i wspierających je polskojęzycznych mediów jest zrozumiała. Po obejrzeniu „Resetu" nikt zdrowo myślący nie może uwierzyć, że tandem Tusk-Sikorski działał na rzecz bezpieczeństwa Polski, Ukrainy czy Gruzji, a wbrew interesom Rosji. Było odwrotnie. I z kolejnych odcinków zapewne jeszcze nieraz boleśnie się o tym przekonamy.

eprasa.pl 6d12520532

„Tuba Tuska” w interesie Brukseli

By atakować PiS, naśladowali już Łukaszenkę, dezinformowali w sprawie Smoleńska, szydzili z polskiego munduru. Gdy teraz manipulują w sprawie relokacji migrantów w Unii Europejskiej i usprawiedliwiają pogardę Tuska wobec migrantów z Azji i Afryki, nie powinno nas już zdziwić nic. Taka jest stacja TVN z przybudówkami

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Potężna stacja z Wiertniczej nieomal codziennie nazywa straszeniem próbę dyskusji na temat jakiegoś zjawiska. Nie można opowiedzieć o twórcach ruchu LGBT+, bo to „szczucie”, nie można mówić o politycznych aspiracjach Berlina, bo to „napuszczanie na Niemców”, teraz zaś sprzeciw wobec relokacji imigrantów ma być kolejnym szukaniem wroga.

4 lipca „Fakty” TVN pokazują z oburzeniem, że telewizja publiczna zestawia problem imigracyjny z zamieszkami we Francji. Choć dla nikogo nie jest tajemnicą, że w ulicznych walkach, gdzie ponad 800 mundurowych zostało rannych, biorą udział głównie przybysze spoza Europy, telewizja z Wiertniczej zdaje się zdziwiona łączeniem problemu imigracyjnego z bandytyzmem na ulicach Paryża. Dla „Faktów” wypowiadają się politycy opozycji, eksperci, dziennikarze – wszyscy potępiają łączenie francuskich burd z problemem imigracji.

Tymczasem dwa dni wcześniej Donald Tusk twierdzi dokładnie to samo co TVP i nikt z salonów III RP się o tym nie zająknie. W swoim spocie dla wyborców przewodniczący Platformy Obywatelskiej gniewnym głosem mówi do kamery: „Oglądamy wstrząśnięci sceny z brutalnych zamieszek we Francji i właśnie teraz Kaczyński przygotowuje dokument, dzięki któremu przyjedzie do Polski jeszcze więcej obywateli z państw takich jak, tu cytuję, Arabia Saudyjska, Indie, Islamska Republika Iranu, Katar, Emiraty Arabskie, Nigeria czy Islamska Republika Pakistanu”. Polityk łączy więc awantury w stolicy Francji z migracją. Czy liberalne media mu to wypominają? Przecież chwilę później serwisy informacyjne TVN grzmią na PiS za podobny komentarz, nazywają to rasizmem, ksenofobią i mową nienawiści. To już nie jest rzecz podwójnych standardów i różnego traktowania zmagających się z sobą partii politycznych – to zwyczajna, fanatyczna agitacja, gdzie jednemu wolno kłamać i nienawidzić, a drugi nie może nawet spróbować rozmawiać, bo zostanie zakrzyczany pełnymi emfazy komentarzami.

Tusk straszy dalej – tylko w tym jednym spocie mówi o 130 tys. obywateli innych krajów, którzy mają nawiedzić Polskę, że to 50 razy więcej niż w 2015 r., że podzieją się gdzieś, gdzie zdecydują tajemnicze „zewnętrzne firmy”. Liberalne media tego nie prostują. Nie 130 tys. ludzi, nie zamierzają tu zostawać na stałe, część z nich to prawdziwi uchodźcy z Ukrainy, wreszcie najważniejsze – to legalna migracja (zazwyczaj czasowa), która chce tu pracować, a nie żyć wygodnie na programach socjalnych. Jednak 2 mln widzów TVN dostało zupełnie odwrotny przekaz.

To kłamstwo jest jednak dużo bardziej bezczelne. Tusk nawołuje: „Polacy muszą odzyskać kontrolę nad swoim państwem i jego granicami”.

TUSK OBROŃCA GRANIC

Przypomnijmy, co Tusk mówił dwa lata temu, gdy polsko-białoruską granicę szturmowali imigranci nasyłani przez Łukaszenkę: „To są biedni ludzie, którzy szukają swojego miejsca na ziemi. I nie trzeba robić takiej obrzydliwej, ponurej propagandy wymierzonej w migrantów, bo to są ludzie, którzy potrzebują pomocy”. W październiku 2021 r. przewodniczący PO drwił z pomysłu postawienia na wschodniej granicy specjalnej instalacji ochronnej: „Ten mur nie powstanie ani w ciągu roku, ani w ciągu trzech lat, bo nie jest wcale intencją zbudowanie dobrych, skutecznych zapór. Ich intencją jest robienie emocjonalnych spektakli i wydanie blisko 2 mld zł bez żadnej kontroli”. Zapora na wschodniej granicy powstała i okazała się przydatna także z powodu możliwych prowokacji związanych z rosyjską inwazją na Ukrainę. Gdy na Białorusi ma się teraz znaleźć Grupa Wagnera pod dowódz-

eprasa.pl 6d12520532

twem fanatycznego Jewgienija Prigożyna, dodatkowe zabezpieczenia ułatwią pracę naszej Straży Granicznej.

Słowa Tuska padały jednak w czasie, gdy Piotr Kraśko w „Faktach" mówił, że na granicy umierają ludzie, a PiS ich krzywdzi. Migrantów ludzie PO chcieli wpuścić, już słynny stał się wpis posłanki Iwony Hartwich, która wówczas apelowała: „Wpuśćcie w końcu tych ludzi do Polski! Kim są, ustali się później! Od czego macie służby?". Czy dziś członkini KO oburza się na Donalda Tuska mówiącego, że przyjmowanie imigrantów z krajów arabskich to fundowanie sobie powtórki z Paryża? To oczywiście pytanie retoryczne.

DARMOWA REKLAMA

Po trzech dniach od pierwszego nagrania Tusk znów opublikował materiał na temat migracji. Przedstawił w nim zmanipulowany wykres, z którego miało wynikać, że PiS masowo przyjmuje imigrantów, a jednocześnie – znów wraca język TVN – ma szczuć na przybyszów.

Co ciekawe, TVN24 (np. 4 lipca) obszernie pokazuje całe, niepocięte materiały Donalda Tuska w czasie największej oglądalności – zatem oprócz np. 1 mln widzów na Twitterze (część to krytycy Tuska) dochodzi jeszcze 2 mln widzów „Faktów", którzy otrzymują bezkrytyczny i sprzeczny sam z sobą przekaz lidera Platformy. Nikt nie powinien się dziwić, że w telewizji publicznej stacja TVN24 jest nazywana tubą Tuska. Przecież to darmowa promocja i wzmocnienie przekazu konkretnego polityka, reklama jego działalności.

Podobnie było w czasie kampanii prezydenckiej Rafała Trzaskowskiego w 2020 r. W głównym wydaniu „Faktów" idealizowano prezydenta Warszawy, Katarzyna Kolenda-Zaleska relacjonowała nawet, że kandydat nie mówi do wyborców, ale snuje opowieść.

ZLECENIE NA REFERENDUM

Potężny koncern medialny może więc dowolnie kreować rzeczywistość i te same zjawiska raz nazywać słusznymi, a innym razem określać jako szczucie i straszenie.

> 4 lipca „Fakty" TVN pokazują z oburzeniem, że telewizja publiczna zestawia problem imigracyjny z zamieszkami we Francji. Tymczasem dwa dni wcześniej Tusk twierdzi dokładnie to samo co TVP i nikt z salonów III RP się o tym nie zająknie

Jednak TVN usilnie stara się wymazać z głów swoich widzów problem masowej, nielegalnej imigracji do Europy oraz pomysły Brukseli na relokację przybyszów. 29 czerwca „Fakty" pokazały fragmenty wywiadu z Ylvą Johansson, komisarz europejską odpowiedzialną m.in. za imigrację, która zapewniała, że żadnego przymusu przyjmowania imigrantów nie będzie. W tym samym materiale przyznała jednak, że nie ma jeszcze decyzji w tej sprawie. W mediach społecznościowych Johansson popełniła kolejne faux pas: „We wnioskach nie ma obowiązkowej relokacji – twierdziła – a biorąc pod uwagę fakt, że w Polsce przebywa ponad 1 mln uchodźców z Ukrainy, jest wysoce prawdopodobne, że zgodnie z negocjowanymi przepisami Polska sama kwalifikowałaby się do solidarności ze strony innych państw członkowskich". W grę wchodzi przydzielanie ludzi nielegalnie przekraczających granicę, chodzi o bezpieczeństwo państwa, a wysoka urzędniczka z Brukseli mówi, że coś jest co najwyżej wysoce prawdopodobne. Eurokraci zupełnie plączą się w swoich opiniach. I tu dochodzimy do sedna całej akcji z wielkim pozwoleniem dla Tuska na oburzenie wobec muzułmańskiej imigracji. Unia Europejska naprawdę chce za wszelką cenę powstrzymać polskie referendum, a zagraniczne media w Polsce jej w tym pomagają za wszelką cenę.

Andrew Tetenborn, profesor prawa z Wielkiej Brytanii, na łamach prestiżowej gazety „The Spectator" przyznał ostatnio, że referendum to wielkie wyzwanie dla samej Brukseli. „Unii zależy, by Morawiewcki przegrał zarówno wybory, jak i referendum" – czytamy w tekście z 5 lipca. Jeśli PiS wygra, zdaniem Totenborna „trudno sobie wyobrazić, by Unia Europejska uniknęła poważnego uszczerbku na swojej reputacji". Polska bowiem najsilniej sprzeciwia się nie tylko relokacji, lecz także stworzeniu mechanizmu, gdy o przenoszeniu migrantów decyduje się nie jednogłośnie, ale większością głosów.

Batalia o przybyszów z krajów muzułmańskich to więc kolejna przygrywka do scentralizowania UE. Nic dziwnego, że Tuskowi wolno kłamać, zaprzeczać samemu sobie, a nawet używać tego, co sam by nazwał mową nienawiści, a wielkie media mu w tym tylko przyklasną. Padło zlecenie na referendum, na wybory i na Polskę. Zleceniobiorcy zabrali się więc do pracy, by wola zachodnich mocodawców była spełniona szybko i dokładnie.

eprasa.pl 6d12520532

Dziedzictwo Benedykta XVI

Twórcze mniejszości mogą ocalić cywilizacją europejską

Prof. Marcello Pera to nie tylko polityk (w latach 2001–2006 przewodniczący włoskiego Senatu), lecz także wybitny myśliciel i filozof. Choć sam deklaruje się jako osoba niewierząca w Boga, to jednak przez wiele lat pozostawał w bliskim relacjach z Benedyktem XVI, prowadząc z nim ożywiony dialog intelektualny. Jest zaliczany do grona „pobożnych ateistów", czyli takich, którzy uznają ochronę tradycji chrześcijańskiej za nieusuwalny składnik naszej cywilizacji oraz gwaranta swobód obywatelskich i demokracji. W 2004 r. Marcello Pera wspólnie z ówczesnym prefektem Kongregacji Nauki Wiary kard. Josephem Ratzingerem przeprowadzili dwie konferencje (na Papieskim Uniwersytecie Laterańskim i w Senacie). Później miała miejsce wymiana listów między nimi, które zostały opublikowane w tym samym roku w tomie zatytułowanym „Bez korzeni. Europa, relatywizm, chrześcijaństwo, islam". Następnie niemiecki purpurat poprosił przewodniczącego Senatu o napisanie wstępu do swojej książki „Europa Benedykta w kryzysie kultur". Praca została opublikowana w maju 2005 r. – zaraz po wyborze kard. Ratzingera na Stolicę Piotrową. W książce przyszły papież zachęcał swoich niewierzących przyjaciół, by żyli i postępowali „tak, jakby Bóg istniał" (*veluti si Deus daretur*). 15 października 2005 r. z okazji kongresu Fundacji Magna Carta, któremu przewodniczył Marcello Pera, Benedykt XVI napisał ważny list, w którym zachęcał do realizacji zdrowej i pozytywnej laickości. Kiedy w 2009 r. ukazała się książka włoskiego myśliciela „Dlaczego musimy nazywać się chrześcijanami. Liberalizm, Europa, etyka", została poprzedzona wstępem papieża w formie listu do autora. Pera pozostał w stałym kontakcie z Benedyktem XVI również po jego rezygnacji z urzędu. Śmierć papieża emeryta była dla niego wielkim ciosem, gdyż – jak powtarza – wraz z odejściem Josepha Ratzingera zgasło światło dla zachodniego świata intelektualnego. Dziś włoski polityk jest senatorem.

Fot. Fripptaun/Shutterstock.com

eprasa.pl 6d12520532

Z włoskim senatorem, byłym przewodniczącym Senatu, profesorem filozofii Marcello Perą rozmawia Włodzimierz Rędzioch

Panie senatorze, Benedykt XVI rozpoczął swój pontyfikat od dwóch wezwań skierowanych do ludzi niewierzących, zawartych m.in. w jego książce „Europa Benedykta w kryzysie kultur": by żyć i postępować tak, jakby Bóg istniał oraz by realizować zdrową i pozytywną laickość, czyli nie antyreligijną, antychrześcijańską. Chyba jednak apele te nie dotarły do adresatów. A może się mylę?

Marcello Pera: Niestety, nie myli się pan. Nawet jeśli był, zwłaszcza we Włoszech, moment pozytywnej reakcji na słowa papieża, a niektórzy świeccy intelektualiści zrozumieli, że mamy do czynienia ze szczególnym papieżem, który rzucił niewierzącym dwa wspomniane wyzwania. Na dłuższą metę ten apel Benedykta XVI, głównie ze względu na kryzys wiary na Zachodzie, został zignorowany. A szkoda, bo był to bardzo ważny apel – po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z „papieżem świeckim", który chciał rozmawiać z niewierzącymi, stawiając się na równi z nimi i wzywając świeckich do bycia naprawdę świeckimi. To było coś nowego.

Jakie pytania zadawał papież osobom niewierzącym?

Zadawał wiele pytań: jak wy, którzy deklarujecie się jako niewierzący, postrzegacie podstawy waszego sekularyzmu? Na czym opiera się wasz sekularyzm? Czy sądzicie, że sam rozum wystarczy, by dać współczesnemu człowiekowi odpowiedzi na pytanie o sens życia? A może jest coś, czego świecki rozum nie może zaspokoić? Papież nie powiedział: nie wolno być niewierzącym, nie powiedział: trzeba być wierzącym. Ale rzucił nam wyzwanie, pytając: na czym opieracie swój sekularyzm, swój laicyzm?

To samo dotyczy innego wezwania – by żyć tak, jakby Bóg istniał. To również jest nie tylko apelem kościelnym, wezwaniem do nawrócenia. Współczesny niewierzący myśli, że Boga nie ma albo uważa, że bez Boga można się obejść – wówczas wszystko zależy od jego zdolności racjonalnych i nie potrzebuje objawienia. Rozum jest sam w sobie wystarczający, dlatego na każde pytanie dotyczące poznania, znaczenia lub wartości – rozum oferuje odpowiedź. Z kolei papież pytał nas: czy ty, osoba niewierząca, masz poczucie ograniczeń? Czy masz poczucie tego, co zabronione? Czy masz poczucie tego, czego nie możesz i nigdy nie powinieneś robić? A może myślisz, że wszystko jest dozwolone? Skoro zaś nie sądzisz, że wszystko jest dozwolone, lecz istnieją jakieś granice, to pojawia się pytanie: w imię czego istnieją granice i kto je wyznacza? Jeśli istnieje granica, to nie rozum ją wyznacza – rozum może ją tylko odkryć. A co za tym idzie: granicą staje się Bóg. Od tego spostrzeżenia zaczęła się prośba Benedykta XVI: żyjcie tak, jakby Bóg istniał. Jeśli zaś chcesz żyć tak, jakby Boga nie było, to musisz mi powiedzieć, jak odkryć sens granicy samego rozumu.

Jakie jest najważniejsze dziedzictwo magisterium Benedykta XVI? Czy zasługuje on na miano doktora Kościoła?

Benedykt XVI miał bardzo wielką kulturę teologiczną, był jednym z największych teologów XX w. Ale uczyniłbym go kimś więcej niż doktorem Kościoła. Nazwałbym go doktorem ludzkości. Bo on też nauczył mnie, niewierzącego, jak być świeckim i jak przedefiniować swój sekularyzm.

Ale nie wszyscy niewierzący byli tak chętni do dyskusji i konfrontacji z Benedyktem XVI. Wystarczy przypomnieć znamienny fakt, gdy odmówiono mu możliwości wizyty na rzymskim uniwersytecie La Sapienza...

To fakt, który wciąż mnie niepokoi, bo uważam to za skandal. Profesorowie, którzy go zaprosili, odmówili przyjęcia go w imię ideologicznego sekularyzmu: nie chcemy papieża na uniwersytecie! A on chciał się udać na uniwersytet z przemówieniem, które było czysto świeckie – cytował świeckich myślicieli i stawiał pytania, o których mówiliśmy.

Niektórzy zachowali się tak, jakby papież nie mógł być wielkim myślicielem.

Właśnie. Na uniwersytecie postać papieża została zredukowana do kaznodziei, który idzie nawracać i szukać prozelitów.

Jak przeżył pan rezygnację Benedykta XVI? Jego życie w zamknięciu jako papieża emeryta?

Byłem zszokowany i rozgoryczony. I powiem szczerze: czułem się zagubiony. Z prostego powodu – zabrakło ważnego głosu, bo Benedykt XVI z szacunku dla swojego następcy już nigdy miał się nie wypowiadać. Zabrakło mi „latarni morskiej" wskazującej drogę. Tamtego dnia na Zachodzie zgasło ważne światło. I to nie była tylko moja osobista sprawa.

Fot. Gloria Imbrogno/East News

eprasa.pl 6d12520532

Ale widywaliście się już po jego rezygnacji z urzędu...

Tak, na pierwszym spotkaniu po jego rezygnacji powiedziałem mu: „Wasza Świątobliwość, zostawiłeś nas samych i teraz czujemy się opuszczeni". Dodałem: „Szanuję tę decyzję, ale muszę wyznać, że jej nie podzielam". Benedykt zamknął się w milczeniu, prosił mnie tylko, żebym nie był zbyt pesymistyczny.

Amerykański myśliciel Rod Dreher powiedział, że wraz z Ratzingerem kończy się chrześcijański Zachód. Czy zgadza się pan z tym stwierdzeniem?

Czy się skończy? Nie wiem, to tylko przepowiednia Drehera. Ale powtórzę, że zgasło ważne światło chrześcijańskiego Zachodu. Już po fakcie zrozumieliśmy, że Benedykt XVI był punktem odniesienia dla wielu sumień, również dla prostych ludzi, którzy widzieli w nim człowieka wiary, niemal mistyka. Ale światło zgasło też dla zachodniego świata intelektualnego, który nie znalazł już punktu odniesienia, z którym mógłby się skonfrontować. Jego nauczanie było ważne dla nas wszystkich.

Chciałbym zacytować to, co powiedziałem panu w naszej rozmowie ponad 10 lat temu: „Europa w przeciwieństwie do Ameryki zapomniała o swoich chrześcijańskich korzeniach i w ten sposób osłabiła swoją tożsamość. Szerzą się relatywizm i laicyzm, które starają się zepchnąć do getta elementy religijne, co jest błędem, gdyż religia chrześcijańska dała pewne podstawowe fundamenty naszej cywilizacji, dzięki którym powstały demokracje liberalne. To nie przypadek, że gdy wykluczono z życia społeczeństwa religię – jak to uczyniły nazizm i komunizm – ze świata uczyniono piekło. Raj na ziemi jest ideałem, którego nie da się w pełni osiągnąć, ale w okresach, gdy nasze społeczeństwa stawały się pogańskie, zamieniały ziemię w piekło. Jan Paweł II doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jest to ryzyko, które zagraża teraz Europie, ale nie udało mu się wygrać bitwy o Europę". Czy ta diagnoza jest nadal aktualna, czy coś się może zmieniło?

Obawiam się, że sytuacja pogorszyła się nie tylko w Europie. Kiedy wypowiadałem te słowa, nadal wierzyłem w Amerykę ojców założycieli, gdzie religia wciąż odgrywała ważną rolę, chrześcijaństwo było nadal żywe, uczestniczyło w życiu publicznym. Teraz widzę, że ten sam kryzys, który obserwujemy w Europie, ma miejsce również tam. Mam jednak nadzieję, że prędzej czy później Ameryka znów odnajdzie swoją tradycyjną rolę, podczas gdy Europa wydaje się coraz bardziej dechrystianizować i ten proces jeszcze się nie zakończył. Całe prawodawstwo etyczne, które jest wprowadzane w Europie – zwłaszcza dotyczące małżeństwa, płci, seksualności – jest celowo antychrześcijańskie. Tak jakby Europejczycy byli mocno zdeterminowani, by wymazać własną historię, jakby chcieli popełnić samobójstwo. A nie są świadomi, że idąc tą drogą, cywilizacja europejska zginie.

Przypomina mi się gest francuskiego historyka i intelektualisty Dominique'a Vennera, notabene ateisty, który 10 lat temu popełnił samobójstwo przed katedrą Notre Dame w proteście przeciwko dekadencji Europy. Czy pana zdaniem istnieją jeszcze siły intelektualne, kulturowe i polityczne, które mogłyby powstrzymać antropologiczny upadek naszego kontynentu?

Pamiętam przemówienie Benedykta XVI we włoskim Senacie, kiedy zaapelował do twórczych mniejszości. Mówił, że chrześcijaństwo było już w Europie mniejszością i że tylko twórcze mniejszości, nowe ogniska tak jak w średniowieczu klasztory mogą je na nowo wydźwignąć. To był apel, który bardzo nami wstrząsnął, bo widzieliśmy cierpiącego papieża, który był świadomy losu Europy. Miał tylko możliwość odwołania się do niektórych środowisk, do tej czy innej osobistości, by wstrząsnąć kulturą europejską. Widzieliśmy tam „świeckiego", znającego historię papieża, który zwracał się do świeckich, mówiąc: wy, którzy jesteście klasą intelektualną, powinniście być liderami tych mniejszości, by wydźwignąć Europę z kryzysu.

Uważam, że sytuacja w Europie jest tragiczna, to nie jest już mój świat. Jedynym elementem pocieszenia jest obserwowanie wielu młodych ludzi, którzy zaczynają rozwijać nowe idee i style życia. Mają trudne życie, bo style życia młodzieży są już mocno antyreligijne, ale w ten sposób wypełniają oni wezwanie Benedykta XVI, by tu i ówdzie zapalać nowe ogniska.

Na koniec naszej rozmowy chciałbym zapytać o ataki na Jana Pawła II, które miały miejsce ostatnio w Polsce i we Włoszech.

Atakuje się zarówno Jana Pawła II, jak i Benedykta XVI. Ten proces nie jest zakończony, nawet jeśli atakowane osoby nie żyją. Niepokojące jest to, że te napaści wychodzą także z pewnych kręgów Kościoła. Próbuje się zszargać pamięć o św. Janie Pawle II, a niektóre środowiska kościelne mniej lub bardziej otwarcie podsycają te ataki. Czasem mam wrażenie, że stoimy u progu kolejnej schizmy – choć prawdę mówiąc, to schizma już trwa. Błoto, którym obrzuca się Jana Pawła II, wywołuje we mnie zgorszenie. Buntuję się przeciwko tym atakom. Ci, którzy to czynią, chcą zniszczyć rozdział w historii nie tylko Kościoła, lecz także Europy i świata.

Dlaczego Jan Paweł II nawet po swojej śmierci przeszkadza tak wielu? Dlaczego chce się stworzyć wokół niego czarną legendę?

Wśród tych środowisk na pewno jest Bruksela, czyli Unia Europejska, która chce narzucić „rządy prawa", określane tylko przez niektóre państwa i definiowane *ad hoc*, by wykluczyć inne państwa, takie jak Polska. Jeśli ktoś wierzy w świętość życia i jest przeciwny tzw. małżeństwom homoseksualnym, to musi zostać wykluczony z europejskich „rządów prawa". To jest ideologiczny imperializm i przemoc polityczna. Ze względów politycznych Europa instrumentalizuje prawo i prowadzi brzydką grę z krajami, które nadal utrzymują silną tradycję katolicką.

Autopromocja

eprasa.pl 6d12520532

GORĄCE POLITYCZNE WAKACJE Z PUBLICYSTAMI SIECI

CZYTAJ **50% TANIEJ**

Korzystaj z e-prenumeraty SIECI i wSIECI HISTORII
oraz dostępu do **Premium** + wPolityce.pl

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 6d12520532

Wojna w stanie hibernacji?

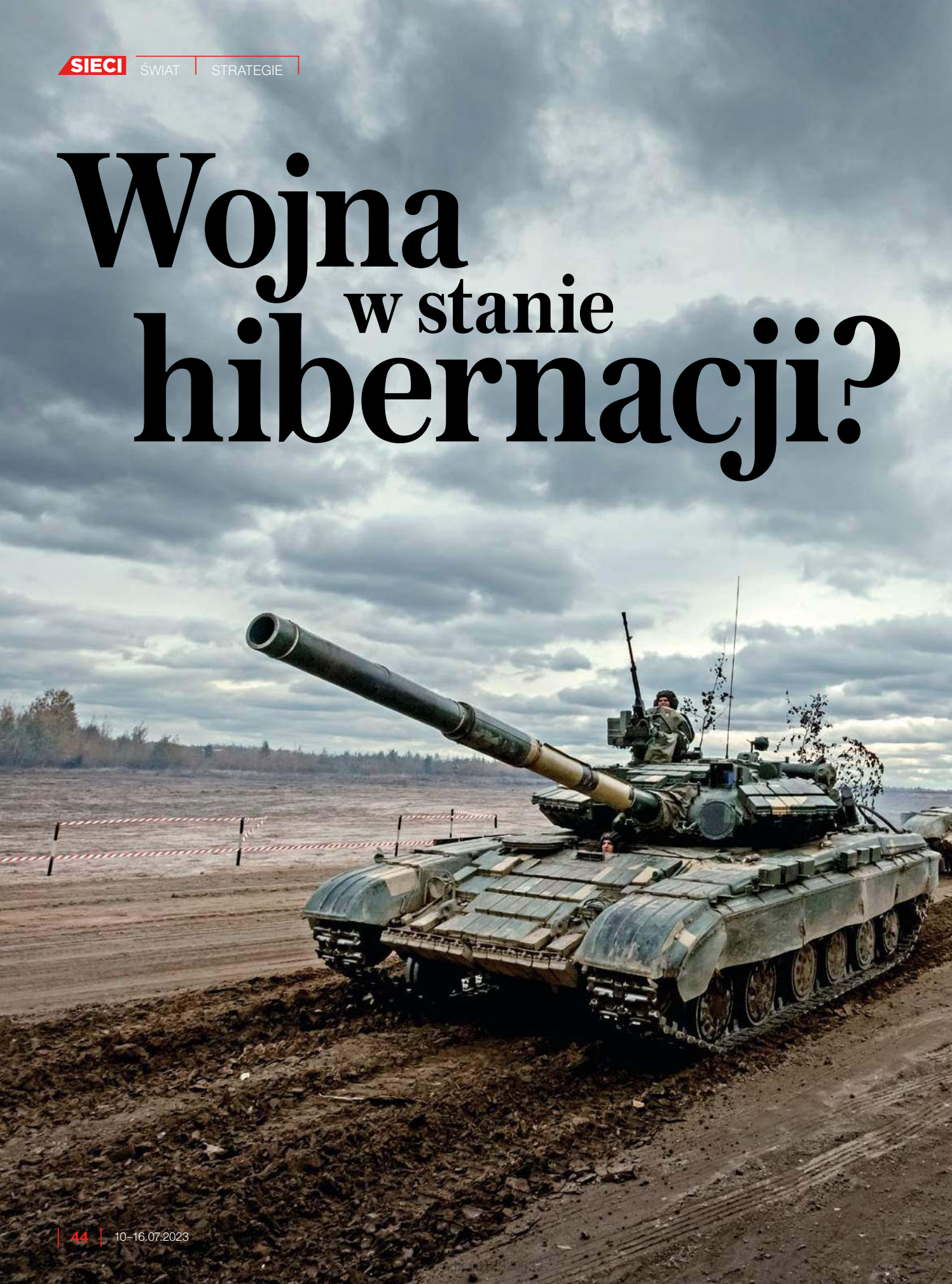

„Obecna trajektoria konfliktu nie wróży dobrze Ukrainie i jej zachodnim partnerom" – czytamy w raporcie The Potomac Foundation, napisanym przez Phillipa Karbera i gen. Trevora Cadieu

Fot. Drop of Light/Shutterstock

MAREK BUDZISZ

Prezydent Wołodymyr Zełenski potwierdził w swoim ubiegłotygodniowym, publicznym wystąpieniu, że Rosjanie mogą zdecydować się na wysadzenie dwóch bloków w Zaporoskiej Elektrowni Jądrowej. W ten sposób – jak się uważa – mogą chcieć wymusić groźbą katastrofy zakończenie wojny. Wcześniej o zagrożeniu informował ukraiński wywiad, donosząc, że na dachach dostrzeżono najprawdopodobniej materiały wybuchowe. Informacje te oficjalnie potwierdziło też dowództwo Sił Zbrojnych Ukrainy, którego przedstawiciele informowali, że przeprowadzając dywersję, Moskwa mogłaby oskarżyć ukraińską armię o nieodpowiedzialny atak rakietowy na instalacje atomowe. Z tego też powodu Jurij Ignat, rzecznik Dowództwa Sił Powietrznych Ukrainy, deklarował, że nie ma planów ataku z powietrza na elektrownię.

PLANY EWAKUACJI

Sytuacja jest jednak poważna, bo Jurij Orłow, mer Enerhodaru, w którym znajduje się Zaporoska Elektrownia Jądrowa, będąca największym tego typu obiektem w Europie, informował na początku czerwca, że Rosjanie ewakuowali ponad 100 pracowników Rosatomu, którzy wrócili do domu, a wcześniej zostali przysłani po to, by kontrolować reaktory. W czterech ukraińskich obwodach na południu kraju – jak poinformowała Hanna Malar, ukraińska wiceminister obrony – służby są już od pewnego czasu szkolone, co robić w razie katastrofy, a w całym kraju media instruują ludzi, jak należy się zachować, jeśli wydarzy się najgorsze. Z najbardziej narażonej na skażenie strefy o promieniu 30 km należałoby ewakuować ponad 500 tys. ludzi zamieszkujących 146 wsi i miejscowości, ale są zagrożeni nawet

ci, którzy mieszkają w odległości do 100 km od elektrowni w Zaporożu. Władze w Kijowie szacują, że w najgorszym scenariuszu należałoby wywieźć z zagrożonej strefy nawet 2,7 mln mieszkańców. Jak napisała mieszkająca w Kijowie Julia Mendel, w przeszłości rzeczniczka prasowa Zełenskiego, ukraińska stolica poważnie dyskutuje, czy promieniowanie radioaktywne w wyniku ewentualnego wybuchu w elektrowni jądrowej Zaporoże będzie inne niż w przypadku elektrowni atomowej w Czarnobylu w 1986 r. Atmosferę zaostrzają też częste, nawet przekazywane kilkakrotnie w ciągu godziny, komunikaty w radiu o tym, jak należy zachować się, jeśli nastąpi wybuch.

POUFNE NEGOCJACJE?

Joe Biden kilka dni temu, w trakcie spotkania ze sponsorami swojej kampanii wyborczej w Kalifornii, powiedział, że ryzyko użycia przez Putina broni atomowej na Ukrainie jest realnym zagrożeniem i ten pogląd – jak się wydaje – jest silnie zakorzeniony w amerykańskiej administracji, wpływając na jej ostrożną politykę w kwestii wojskowego wsparcia dla Ukrainy. Stany Zjednoczone są nadal największym dostawcą sprzętu i amunicji, nie mówiąc już o zastrzykach finansowych, ale zdaniem wielu ekspertów amerykańska pomoc jest zbyt ograniczona, jeśli chodzi o jej skalę, oraz dociera za późno, by móc mówić o zwycięstwie Ukrainy w wojnie.

Bruno Maçães, w przeszłości portugalski wiceminister odpowiadający za sprawy europejskie, a obecnie ceniony komentator, napisał nawet: „Wszyscy, których opinię szanuję, uważają, że USA nie chcą, by Ukraina wygrała wojnę. To niepokojący wniosek, ale trudny do uniknięcia". W jego opinii ostrożne podejście Waszyngtonu do kwestii zaopatrzenia Ukrainy w potrzebną jej broń jest wywołane zarówno chęcią skoncentrowania się Ameryki na przygotowaniach do rozgrywki z Chinami, jak i obawą przed eskalacją ze strony Rosji przy użyciu atomu lub prowokacją, w której w grę wchodzi potencjał nuklearny. Nowa fala spekulacji na temat tego, że Biały Dom może wywierać presją na Kijów, by usiąść do stołu rokowań z Moskwą, zaczęła się po ujawnieniu przez media faktu tajemniczej podróży szefa CIA Williama Burnsa do Kijowa. Spotkał się on tam z prezydentem Zełenskim, ale dziennikarze – po tym jak „The Wall Street Journal" ujawnił fakt, iż w tym samym czasie kontaktował się on z Siergiejem Naryszkinem, szefem służby wywiadu wojskowego Federacji Rosyjskiej – są przekonani, że w istocie Waszyngton zainicjował poufne negocjacje, w których dyskutuje się kwestię zakończenia wojny.

> Na kilka dni przed wileńskim szczytem NATO grupa 47 przedstawicieli amerykańskiego establishmentu strategicznego zwróciła się z apelem do Joe Bidena o zorganizowanie dostaw broni dla Ukrainy oraz sformułowania „mapy drogowej" przyjęcia Kijowa do paktu północnoatlantyckiego

Tym bardziej że niedawne wypowiedzi zarówno Joe Bidena, jak i Marka Milleya, szefa Kolegium Połączonych Sztabów, wskazują na to, że Amerykanie spodziewali się szybszych postępów ukraińskiej kontrofensywy. „Będzie ona długa, trudna i bardzo krwawa" – powiedział Milley, dodając: „Rozwija się ona wolniej, niż przewidywaliśmy".

TO NIE SPACEREK

Do tej kwestii odniósł się w rozmowie z „The Washington Post" gen. Załużny, dowodzący ukraińską armią, mówiąc, że zachodni sojusznicy Ukrainy nigdy nie rozpoczęliby ofensywy bez osiągnięcia przewagi w powietrzu, a to oznacza, że jeśli chcemy mieć wymierne efekty kontruderzenia, to należałoby już teraz dostarczyć więcej broni, i to wszystkich rodzajów. Ukraińcy coraz głośniej mówią też o myśliwcach F-16, których pozyskanie pozwoliłoby im uzyskać przewagę w powietrzu, a ta jest niezbędna, by skuteczniej prowadzić ofensywę na lądzie zwłaszcza przeciw dobrze okopanemu przeciwnikowi, który jak Rosjanie miał 10 miesięcy na budowę barier i kładzenie pól minowych.

Jak powiedział Załużny, każdego dnia przestrzeń powietrzną NATO u granic Ukrainy patroluje więcej samolotów bojowych, niż ona by potrzebowała, żeby skutecznie wyprzeć Rosjan. Ale mimo że ukraiński dowódca utrzymuje codzienny, 24-godzinny kontakt z Milleyem, to nie on decyduje, co ma dostać Kijów. Kluczowe decyzje są podejmowane w Białym Domu. A ten się waha i nadal jest bardzo ostrożny.

Jak poinformował brytyjski „The Telegraph", niemal pewna kandydatura Bena Wallace'a, urzędującego ministra obrony na następcę Jensa Stoltenberga na stanowisku sekretarza generalnego NATO, została zablokowana przez Bidena, bo Waszyngton był bardzo niezadowolony z faktu, że Londyn samodzielnie zaczął tworzyć międzypaństwową koalicję na rzecz przekazania Ukrainie myśliwców F-16 i rozpoczął szkolenie pilotów.

Źle to wróży, jeśli chodzi o perspektywy skokowego wzrostu amerykańskich dostaw broni dla Kijowa, a trzeba pamiętać, że to przede wszystkim ze względu na braki w uzbrojeniu i amunicji ukraińskie siły zbrojne muszą działać rozważniej. Załużny powiedział w rozmowie, że nieraz musiał dzwonić do swojego amerykańskiego odpowiednika z dramatycznym komunikatem, mówiąc: „Jeśli nie dostanę 100 tys. pocisków w ciągu tygodnia, to umrze 1 tys. osób. Wejdź w moje buty". Ukraiński dowódca, który każdego dnia musi podejmować decyzję o wysłaniu setek mężczyzn na śmierć, nie mogąc dać im niezbędnego wyposażenia, z goryczą zauważył: „To

eprasa.pl 6d12520532

nie jest show, który cały świat ogląda i w którym obstawia jedną lub drugą stronę. Każdego dnia każdy metr jest zdobywany krwią".

Admirał Rob Bauer, szef komitetu wojskowego NATO, podkreśla, że strategia obrana przez stronę ukraińską przyniesie niedługo efekty. „Ludzie nigdy nie powinni myśleć, że jest to spacerek. Nigdy nie będzie" – powiedział dziennikarzom Agencji Reutera i przypomniał, że w Normandii alianci potrzebowali od siedmiu do dziewięciu tygodni w zależności od kierunku, by przełamać niemieckie umocnienia i linie obrony. Ołeksij Daniłow, szef ukraińskiej Rady Bezpieczeństwa i Obrony, wypowiadając się na temat postępów ofensywy, stwierdził, że jego zdaniem idzie ona zgodnie z planem i obecnie siły ukraińskie koncentrują się na szukaniu asymetrii, niszczeniu sił Moskali i ich systemów zaopatrzenia, po to by po osłabieniu obrony móc przejść do fazy przełamania. Nikt nie może jednak z pewnością określić, kiedy taki moment nastąpi i czy w ogóle „ścieranie" sił rosyjskich doprowadzi do sytuacji, kiedy nie będą się one w stanie bronić. To zaś rzutuje na kwestię zasadniczą. A mianowicie dziś nie można powiedzieć, kiedy nastąpi koniec wojny. Gen. Ołeksandr Syrski, dowodzący ukraińskimi siłami lądowymi, pytany o to przez dziennikarzy ABC News, odpowiedział po prostu, że nie wie, kiedy wojna się skończy, i obecnie koncentruje się na celach, które można osiągnąć w krótszej perspektywie, takich jak odbicie Bachmutu.

CZEGO POTRZEBA UKRAINIE?

Pytaniem, które trzeba postawić, jest kwestia, czego Ukraina potrzebuje, by wyprzeć Rosjan ze swojego terytorium i czy Zachód jest w stanie i chce dostarczyć tego rodzaju pomoc. W zrozumieniu sytuacji pomoże nam raport The Potomac Foundation napisany przez Phillipa Karbera, wykładowcę Georgetown University, i gen. Trevora Cadieu, w przeszłości szefa Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Kanady. Warto też pamiętać, że Karber za administracji Reagana był jednym z autorów gry wojennej Proud Prophet, której wyniki doprowadziły do zmiany amerykańskiej polityki wobec ZSRS i przyczyniły się – jak się uważa – do zwycięstwa Stanów Zjednoczonych w zimnej wojnie. Obydwu autorów, którzy spędzili dużo czasu na Ukrainie, gdzie rozmawiali z żołnierzami i oficerami, interesowało to, jakiego rodzaje broni i w jakich ilościach Ukraina powinna otrzymać, by wygrać wojnę. Każdy inny scenariusz zakończenia konfliktu działa ich zdaniem na korzyść Rosji i oznacza wzrost ryzyka wielkiej wojny, w którą zostanie wciągnięte NATO i która może wybuchnąć nawet w perspektywie kilku najbliższych lat. Jak obliczyli Karber i Cadieu, Rosja przy obecnych zasobach może jeszcze przez dwa lata toczyć wojnę o takiej intensywności jak obecnie, a to oznacza, że zarówno zamrożenie konfliktu, jak i jego przedłużanie będzie działać na korzyść Moskwy.

Co więcej, przesunięcie na Białoruś dowództwa 1. Gwardyjskiej Armii Pancernej, decyzja o dyslokacji broni jądrowej oraz wysłanie tam wagnerowców mogą wiązać się z planami zagrożenia w nieodległej przyszłości państwom flankowym NATO, zarówno Bałtom, jak i Finlandii, a niewykluczone, że i Polsce. Jeśli wojna zostanie zamrożona, to Rosja – jak niedawno napisali w specjalnym raporcie analitycy think tanku strategicznego IISS – będzie potrzebowała pięciu lat na odbudowę potencjału swoich sił lądowych i jest kwestią nieodległego czasu, kiedy wybuchnie kolejna wojna. Tym bardziej że Ukraina nie będzie w stanie zbudować samodzielnie sił zdolnych odstraszać 1,5-mln armię Federacji Rosyjskiej, której jednostki mogą zostać rozmieszczone wzdłuż liczącej dziś 3,1 tys. km „linii rozgraniczenia", bo tyle wynosi łączna długość linii frontu i na razie spokojnych granic Ukrainy z Rosją i Białorusią.

A to oznacza, że – jak argumentują Karber i Cadieu – jedyną rozsądną, również z punktu widzenia interesów NATO, opcją jest wygranie wojny. Tylko wówczas Rosja może być na tyle osłabiona i skłócona wewnętrznie, że dziś deklarowane przez Putina i Szojgu plany dotyczące rozbudowy sił zbrojnych mogłyby zostać zarzucone. Żeby Ukraina była w stanie wygrać, musi dostać – jak obliczyli eksperci Potomac Fundation – w tym i przyszłym roku 1322 czołgi, 3,2 tys. transporterów opancerzonych, niemal 60 myśliwców, 44 myśliwce szturmowe, ponad 50 śmigłowców bojowych oraz niemal 200 armat kalibru 155 mm. Ten ogromny potencjał jest niezbędny, by względnie spokojnie, przy obecnym wysokim morale, myśleć o ukraińskim zwycięstwie. Jeśli dostawy będą mniejsze i nie dotrą na czas, to być może podwładnym gen. Załużnego nie uda się odbić terenów okupowanych albo straty atakujących będą większe. Jak napisali w konkluzji swojego raportu Karber i Cadieu, a warto potraktować to jako memento: „Obecna trajektoria konfliktu nie wróży dobrze Ukrainie i jej zachodnim partnerom. Bez prawdziwie zdecydowanego i trwałego zaangażowania na rzecz Ukrainy Rosja będzie w coraz większym stopniu zdolna do wytrawienia »brzydkiego zwycięstwa« lub – co bardziej prawdopodobne – do zamrożenia tego konfliktu".

Na kilka dni przed wileńskim szczytem NATO grupa 47 przedstawicieli amerykańskiego establishmentu strategicznego, w tym wielu emerytowanych generałów, byłych ambasadorów i wysokich rangą urzędników Departamentu Stanu i Pentagonu, zwróciła się z apelem do Joe Bidena. Wzywają w nim do zorganizowania dostaw broni, tak by Ukraina była w stanie szybko odbić terytoria okupowane przez Rosję, a także apelują o sformułowanie „mapy drogowej", po to by na przyszłorocznym, jubileuszowym szczycie NATO w Waszyngtonie uruchomić proces przyjęcia Kijowa do paktu północnoatlantyckiego. Jeśli do tego czasu wojna nie zostanie wygrana, to wówczas – jak piszą – Ukraina pozostanie w szarej strefie bezpieczeństwa, a będzie to bardzo zła sytuacja również dla jej sąsiadów.

Wszystkie rosyjskie działania – zarówno nuklearny szantaż, jak i deklaracje Putina o gotowości do prowadzenie wojny przez lata – mają jeden cel. Chodzi o zamrożenie wojny, pozostawienie części ukraińskich terytoriów w rękach Moskali. Ten dziś niestety najbardziej prawdopodobny scenariusz nie oznacza, że wojna kończy się „remisem", ale raczej świadczy o tym, iż możemy mieć do czynienia z przerwą, antraktem, który nie wiadomo, jak długo potrwa.

eprasa.pl 6d12520532

Jak Sąd Najwyższy zmienia prawo w USA

eprasa.pl 6d12520532

Fot. PAP/EPA

Przykład Ameryki pokazuje, że kształt wykładni konstytucyjnej i orzecznictwa sądowego zależy nie tylko od czynników prawnych, lecz także światopoglądowych i politycznych

GRZEGORZ GÓRNY

W ostatnim czasie szerokim echem nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz także na całym świecie odbiły się trzy wyroki wydane przez Sąd Najwyższy USA. 29 czerwca najwyższy organ władzy sądowniczej w USA zakończył trwającą od dziesięcioleci akcję afirmatywną, która preferowała w przyjmowaniu na studia mniejszości rasowe i etniczne, zwłaszcza osoby o czarnym kolorze skóry. W tym systemie byli dyskryminowani nie tylko biali, lecz także Latynosi, a zwłaszcza Azjaci, którzy mieli mniejsze od pozostałych szanse, by rozpocząć naukę na uniwersytecie. Sędziowie uznali, że wspomniany program stanowi jawną dyskryminację z powodów rasowych, zaprzeczając konstytucyjnej zasadzie równości obywateli wobec prawa. Tym samym – co zastanawiające – zaprzeczyli oni orzeczeniom swoich poprzedników, których wyroki podtrzymywały akcję afirmatywną.

Następnego dnia SN zablokował plan Joe Bidena mający na celu darowanie pożyczek studenckich. Umorzenie miało dotyczyć 10 tys. dol. długu w przypadku każdego obywatela zarabiającego mniej niż 120 tys. dol. rocznie. Sędziowie orzekli, że administracja prezydenta nie miała prawa zmieniać warunków pożyczek studenckich bez uprzedniej zgody Kongresu.

30 czerwca SN wydał kolejny głośny wyrok, tym razem podważający prawo stanu Kolorado zabraniające dyskryminacji z powodu orientacji seksualnej. Sprawa dotyczyła właścicielki firmy komputerowej Lorie Smith, która odmówiła świadczenia usług zwolennikom tzw. małżeństw homoseksualnych, powołując się na swoją wiarę. Kobieta, która jest ewangelikalną protestantką, oświadczyła, że nie będzie projektować witryn komputerowych parom jednopłciowym, ponieważ jest to niezgodne z wyznawanymi przez nią zasadami chrześcijańskimi. Sąd stanął po stronie Lorie Smith, odchodząc tym samym od trwającego niemal dwie dekady orzecznictwa, które stale rozszerzało przywileje osób LGBT+. Argumentując powyższy wyrok, sędzia Neil Gorsuch powołał się na pierwszą poprawkę do konstytucji USA, która zapewnia wolność wyznawania wiary i zawiera „wizję Stanów Zjednoczonych jako bogatego duchowo i złożonego kulturowo miejsca, w którym ludzie są wolni w wyrażaniu tego, co chcą, a nie tego, czego wymagałby od nich rząd".

Wszystkie trzy wyroki z jednej strony spotkały się z krytyką prezydenta Bidena, Partii Demokratycznej oraz mediów liberalnych, z drugiej zaś z pochwałami ze strony republikanów i konserwatystów. Żeby zrozumieć naturę tych sporów, warto cofnąć się w czasie i przypomnieć zdarzenia sprzed trzech lat.

ZMIANA O 180 STOPNI

W 2020 r. protestancki zbór Calvary Chapel złożył skargę na dyskryminację religijną ze strony władz Nevady. Podczas epidemii COVID-19 gubernator tego stanu wydał bowiem rozporządzenie, że

eprasa.pl 6d12520532

w tamtejszych świątyniach – niezależnie od wielkości budynku – może przebywać z powodów sanitarnych maksymalnie 50 osób. Jednocześnie obowiązywało tam prawo zezwalające innym obiektom, np. restauracjom, barom, salom gimnastycznym czy kasynom gry, na wpuszczenie do środka – bez względu na wielkość gmachu – 50 proc. dopuszczalnej liczby osób. Dochodziło więc do sytuacji, gdy z jednej strony w olbrzymiej katedrze katolickiej mogło przebywać zaledwie 50 wiernych, a z drugiej do znajdującego się obok kasyna wpuszczano nawet kilka tysięcy osób.

W tej sytuacji protestanci z Calvary Chapel zażądali od władz stanowych równego traktowania z innymi podmiotami i rozciągnięcia 50-proc. limitu osób na nabożeństwa. Otrzymali jednak negatywną odpowiedź, więc złożyli skargę do Sądu Najwyższego Nevady. Przegrali, więc postanowili odwołać się do Sądu Najwyższego USA, który jednak 24 lipca 2020 r. (stosunkiem głosów 5:4) odmówił zajęcia się sprawą. Podzielił przy tym argumentację sądu w Nevadzie, że co prawda doszło do dyskryminacji religijnej, jednak była ona uzasadniona ze względu na zdrowie publiczne oraz interesy gospodarcze. W ten sposób prawo do uprawiania hazardu okazało się dla najwyższej władzy sądowniczej w Ameryce ważniejsze niż prawo do swobodnego wyznawania własnej religii.

Cztery miesiące później, 25 listopada 2020 r., SN USA orzekał w analogicznej sprawie, jednak podjął wówczas odmienną decyzję. Chodziło o skargę na decyzję gubernatora stanu Nowy Jork Andrewa Cuomo, wniesioną przeciwko niemu przez katolickiego biskupa diecezji Brooklyn oraz grupę ortodoksyjnych rabinów. Wspomniany gubernator z powodu pandemii nakazał bowiem zamknąć wszystkie kościoły, synagogi i domy modlitwy, a pozostawił otwarte supermarkety, sklepy zoologiczne czy biura maklerskie. Sędziowie (znów stosunkiem głosów 5:4) orzekli, że decyzja gubernatora była bezprawna, ponieważ naruszała pierwszą poprawkę do konstytucji.

W związku z obu wspomnianymi wyrokami rodzi się pytanie: dlaczego SN w tak krótkim odstępie czasu wydał dwa zupełnie odmienne werdykty? Co zmieniło się w amerykańskim prawie między 24 lipca a 25 listopada 2020 r.? Otóż w amerykańskim prawie nic się w tym względzie nie zmieniło, zmienił się za to skład SN. 18 września zmarła bowiem znana ze swoich liberalnych poglądów sędzia Ruth Bader Ginsburg, a na jej miejsce prezydent Donald Trump mianował młodą konserwatystkę Amy Coney Barrett. Pierwszą sprawą, którą rozpatrzył sąd w nowym składzie, była właśnie skarga na decyzję gubernatora Cuomo.

CZYNNIK ŚWIATOPOGLĄDOWY

Powyższy przykład pokazuje, że decydujące dla wykładni obowiązującego prawa okazuje się nie to, co zapisano w konstytucji, ustawach, dekretach, rozporządzeniach czy innych oficjalnych dokumentach, lecz to, kto zasiada w Sądzie Najwyższym i jakie reprezentuje poglądy. W tej sytuacji nie sposób traktować prawa stanowionego, nawet konstytucyjnego, niczym świętego tekstu odlanego w spiżu lub wyrytego na kamiennych tablicach. Kluczowym elementem interpretacji prawa staje się bowiem światopogląd sędziów, którzy w bardzo krótkim czasie mogą wydawać sprzeczne z sobą wyroki, powołując się na te same teksty.

> Nie sposób traktować prawa stanowionego, nawet konstytucyjnego, niczym świętego tekstu odlanego w spiżu lub wyrytego na kamiennych tablicach

Jednym z członków SN USA, który w lipcu 2020 r. głosował przeciw stanowi Nevada i wygłosił wówczas zdanie odrębne, był Samuel Alito. Pół roku później wygłosił wykład w Towarzystwie Federalistów, w którym uzasadniał swoje stanowisko. Powiedział, że największym zagrożeniem dla wolności religijnej w USA są ograniczenia kultu publicznego związane z antycovidowymi przepisami sanitarnymi. Przez takie decyzje – jak stwierdził – wolność religijna staje się prawem drugiej kategorii. Ostrzegł zebranych, że po ustąpieniu pandemii tego rodzaju przekonanie może utrwalić się w świadomości elit sędziowskich i owocować w przyszłym orzecznictwie.

Wydaje się, że Alito dotknął kluczowego wątku, którego jednak nie rozwinął w swojej mowie. Otóż lekceważenie wolności religijnej w orzecznictwie sądowym wynika często z braku doświadczenia religijnego w życiu osobistym sędziów. Jeżeli dla kogoś wiara jest czymś nieistotnym, to trudno wymagać, by uważał ją za istotną dla innych. Jeżeli ważniejsze pozostają dla niego inne sfery życia, to raczej opowie się on za nimi w sytuacji, gdy dojdzie do ich zderzenia z wiarą. Wtedy może okazać się – tak jak w przypadku skargi Calvary Chapel – że interesy gospodarcze, czyli dochody z hazardu, a więc użyteczność finansowa dla państwa, są znacznie ważniejsze niż prawo do praktykowania kultu religijnego, które nie przynosi wpływów do budżetu stanowego lub federalnego.

Kadencja Trumpa przyniosła trzy znaczące nominacje do Sądu Najwyższego USA: Neila Gorsucha, Bretta Kavanaugha i Amy Coney Barrett. Cała trójka to osoby o konserwatywnych zasadach i chrześcijańskim światopoglądzie. To właśnie ich głosy zadecydowały o tym, że SN ogłosił w czerwcu br. wspomniane trzy wyroki stosunkiem głosów 6:3. Wydając owe orzeczenia, zaprezentowali się oni jako przeciwnicy nieuprawnionego uzurpowania kompetencji przez władzę wykonawczą oraz jako obrońcy wolności religijnej i równości obywateli wobec prawa.

Lekcja, którą można wynieść z powyższej historii, pokazuje kluczową rolę dwóch czynników w kształtowaniu wykładni konstytucyjnej oraz orzecznictwa sądowego. Po pierwsze: elementu światopoglądowego sędziów, po drugie: siły politycznej. Nie byłoby bowiem ostatnich wyroków Sądu Najwyższego USA bez decyzji Donalda Trumpa. Powyższe wnioski dotyczą nie tylko Stanów Zjednoczonych, lecz także są regułą w innych krajach, Polski nie wyłączając.

Artykuł sponsorowany | 7/0623/F

eprasa.pl 6d12520532

Nie daj się cyberprzestępcom! Stosuj te zasady

Cel działania cyberprzestępców jest prosty – chcą nas okraść i wykorzystać. Dlatego próbują dotrzeć wszędzie tam, gdzie znajdują się nasze dane, wrażliwe informacje, a przede wszystkim zgromadzone oszczędności

Metod kradzieży jest przy tym wiele, dlatego warto znać i stosować podstawowe zasady, które pomagają się przed nimi uchronić. Przede wszystkim powinniśmy zadbać o bezpieczne hasła do poufnych danych i usług. Gdy dbamy o cyberhigienę – nie podajemy nikomu swoich danych uwierzytelniających, ustawiamy silne i unikatowe hasła do serwisów – dbamy o swoje bezpieczeństwo w sieci.

JAK ZADBAĆ O BEZPIECZNE HASŁA? ZAPAMIĘTAJ TE TRZY PROSTE ZASADY

Po pierwsze – długość: **stosuj minimum 14 dużych i małych znaków**. CERT Polska, działający w strukturach NASK, rekomenduje wykorzystanie łatwiejszych do zapamiętania pełnych zdań, składających się co najmniej z pięciu słów. Dobry przykład to: *NaKolacjeZjem4ZielonePomidory!*

Po drugie – unikatowość: **używaj różnych haseł do różnych usług**. Dbaj o to, żeby mieć unikatowe hasła do każdej usługi, a w szczególności do najważniejszych kont, takich jak: poczta, bank czy social media.

Po trzecie – 2FA: **włącz weryfikację dwuetapową**. To nie jest wcale trudne. Weryfikacja dwuetapowa to proces uwierzytelniania użytkownika podczas logowania, który składa się z dwóch etapów, np. hasła oraz jednorazowego kodu SMS, przesłanego na nasz telefon komórkowy. Dzięki rozbiciu uwierzytelniania na dwa etapy nawet strata hasła nie umożliwi cyberprzestępcom przejęcia naszego konta pocztowego, konta w mediach społecznościowych lub zalogowania się do naszej bankowości internetowej. Nadal będziemy bezpieczni.

Stosując te trzy zasady, możemy uchronić się przed bardzo przykrymi konsekwencjami, dlatego warto stosować dobre praktyki dotyczące tworzenia i wykorzystywania silnych haseł i... wmontować solidny zamek w drzwi, które chronią naszą cyfrową tożsamość w internecie. Więcej przydatnych informacji o hasłach i weryfikacji dwuetapowej znaleźć można na stronie **cert.pl**.

MW

CERT.PL NASK · Fundusze Europejskie Polska Cyfrowa · Ministerstwo Cyfryzacji · NASK · Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

więcej na **cert.pl**

eprasa.pl 6d12520532

Droższa, ale nadal piękna

Polskie media piszą o dużych podwyżkach cen w Chorwacji. Czy Polacy powinni się martwić, że kraj – będący jednym z ich ulubionych miejsc letniego wypoczynku – stanie się dla nich zbyt drogi?

GORAN ANDRIJANIĆ

„Szokujące ceny w Chorwacji!", „Chorwacja coraz droższa!", „Drożyzna wygoni Polaków z Chorwacji?" – to tylko kilka z wielu nagłówków, które pojawiły się w ostatnich dniach w polskich gazetach i na portalach.

Chorwacja – kierunek turystyczny, który od kilku lat jest coraz bardziej atrakcyjny dla polskich turystów – podobno stała się tak droga, że większość Polaków pomyśli, czy wracać tam za rok.

Nie tak dawno Polacy uratowali sezon turystyczny w Chorwacji. Wciąż pamiętamy lato 2020 r. podczas pandemii, kiedy to polscy turyści pomogli uchronić chorwacką branżę turystyczną przed finansową zapaścią. „Polacy, moje ukłony. Uratowaliście nam ten sezon turystyczny" – to tytuł felietonu Zvonimira Despota, który ukazał się wówczas na łamach „Večernjego listu", największego dziennika w Chorwacji.

A teraz podwyżki cen – z daniem wielu będące nie tylko konsekwencją inflacji, lecz także wprowadzenia w Chorwacji euro – grożą odepchnięciem polskich turystów lub skierowaniem ich w inne miejsca wypoczynku.

TANIEJ W SPLICIE, DROŻEJ W DUBROWNIKU

Czy tak jest naprawdę? Do jakiego stopnia ceny w Chorwacji wzrosły? Trudno udzielić precyzyjnej odpowiedzi na to pytanie. Oferta turystyczna w Chorwacji podobnie jak w innych krajach jest kształtowana przez prawa rynkowe.

Właściciele apartamentów w Dubrowniku będą żądali wyższych cen niż ci w Splicie, ponieważ liczą na takich turystów, którzy będą w stanie za to zapłacić. W tej chwili nie ma dokładnych statystyk, o ile tak naprawdę wzrosły ceny usług turystycznych, ponieważ jest początek sezonu. Media jak zawsze w takich przypadkach eksponują jeden obraz, indywidualne doświadczenia, z których wyciąga się błędne wnioski ogólne.

Np. w Makarskiej, małym miasteczku w południowej Dalmacji, dość popularnym wśród Polaków, ceny przeciętnego apartamentu wynoszą obecnie od 45 do 55 euro za noc. Jeśli chodzi o jedzenie, dwie porcje kurczaka z frytkami kosztują tutaj ok. 25 euro. Cena espresso zależy od lokalizacji. W mniej atrakcyjnym miejscu można znaleźć kawę za 1,15 euro. W tych z widokiem na Adriatyk musimy za nią zapłacić już 2 euro, a nawet więcej. Cena parkowania w centrum miasta to 4 euro za godzinę, a gałkę lodów kupimy za 2 euro.

Można powiedzieć, że to wszystko jest droższe niż przed rokiem, ale to jeszcze nie jest radykalny wzrost cen.

SKĄD TE PODWYŻKI?

Chorwacki ekonomista i były minister gospodarski Ljubo Jurčić uważa, że na-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 6d12520532

stąpił pewien wzrost cen. – Możliwe, że Chorwacja jest w tym roku dla niektórych turystów za droga. Inflacja ogólnie podniosła ceny wszystkich towarów i usług, a dochody turystów nie nadążały za tym wzrostem. W tym samym czasie rząd Republiki Chorwacji ogłosił, że będzie to najlepszy jak dotąd sezon turystyczny. Więc wynajmujący, spodziewając się większego popytu, za bardzo podnieśli ceny noclegów w celu zarobienia dodatkowych pieniędzy – mówi Jurčić w rozmowie z tygodnikiem „Sieci".

Jego zdaniem rynek może to jednak skorygować w nadchodzących tygodniach. – Dzięki internetowi informacje przepływają szybko. Ponieważ apartamenty zapełniają się wolniej, ceny noclegów będą szybko spadać. Dotyczy to przede wszystkim apartamentów prywatnych, które przede wszystkim przyciągają gości cenami – uważa ekonomista.

Podobnego zdania jest chorwacki niezależny analityk ekonomiczny Ivica Brkljača. – Wzrost cen w sektorze turystycznym to efekt dużego popytu na wakacje w Chorwacji. W br. również weszliśmy do strefy Schengen, dzięki czemu przyjazd do nas stał się jeszcze prostszy i szybszy. Oprócz tego oferta turystyczna, zwłaszcza zakwaterowania, rośnie tak, że wciąż można znaleźć wysokiej jakości i niedrogie miejscówki. Wystarczy poświęcić trochę czasu na poszukiwanie i nie rezerwować od razu pierwszego oferowanego mieszkania lub pokoju – radzi.

Brkljača również zwraca uwagę na to, że branża turystyczna w Chorwacji podlega zasadom wolnego rynku. – Konkurencja w chorwackiej turystyce jest dość silna, więc na wzrost cen nie ma wpływu kilku dominujących graczy, ponieważ ich nie ma. Tym samym w niektórych segmentach ceny spadają, np. ceny wynajmu pojazdów są w br. znacznie niższe niż w ub.r., co pokazuje, że kwoty te są dyktowane również przez światowe trendy po stronie podażowej. W ub.r. ze względu na ograniczoną produkcję samochodów ceny wynajmu wzrosły, a w tym roku sytuacja się unormowała i ceny spadły – mówi analityk.

Obaj eksperci twierdzą, że inflacja odegrała kluczową rolę we wzroście cen, a wpływ wprowadzenia euro nie był na nie zbyt duży. – Bezpośredni wpływ euro na wzrost cen jest niewielki. Inflacja i pandemia to główne przyczyny – uważa Jurčić.

Zdaniem ekonomisty euro wpływało na wzrost cen w inny sposób. – Euro ułatwiło porównywanie cen, więc pracownicy turystyki zobaczyli średnie ceny we Włoszech, w Grecji i Hiszpanii i doszli do wniosku, że mają miejsce na podwyżki. Problem w tym, że nie porównali struktur produktów turystycznych. W tych krajach obiekty hotelowe mają największy udział w zakwaterowaniu, podczas gdy w Chorwacji największy udział mają kwatery prywatne i kempingi. Ceny tych dwóch różnych struktur produktu turystycznego nie są porównywalne. Tak więc wprowadzenie euro i porównanie cen różnych produktów w euro doprowadziło do wyciągnięcia błędnego wniosku i niewłaściwej polityki cenowej – tłumaczy były minister gospodarki, który w swoim czasie był bardzo sceptyczny wobec ewentualnych korzyści Chorwacji z euro.

Również Brkljača twierdzi, że większe ceny nad Adriatykiem nie są mocno związane z euro. – Ogólny wzrost cen na pewno nastąpił, ale nie z powodu wprowadzenia euro. Ceny rosną wszędzie: występowanie wysokiej inflacji jest powszechnym problemem i Chorwacja nie jest w zasadzie wyjątkiem. Kraje Unii Europejskiej, które nie są członkami strefy euro, mają wyższą inflację niż Chorwacja.

DLA KLASY ŚREDNIEJ

Czy to wszystko oznacza, że Chorwacja staje się miejscem wypoczynku, którego ceny i oferty będą kierowane do turystów z krajów zachodnich? Ci mają wyższe dochody i obecny poziom cen nie będzie stanowił dla nich problemu.

Brkljača jest pewny, że tak się nie stanie. – Chorwacja nadal będzie kierunkiem dla zróżnicowanego grona gości – mówi nam. – Istnieją pewne miejsca, które rozwijają się w kierunku turystyki elitarnej, dla gości z głębszą kieszenią. Jednak Chorwacja pozostanie przystępna cenowo dla europejskiej klasy średniej, a ci, którzy chcą niższych cen, zawsze mogą przyjechać poza szczytem sezonu turystycznego (lipiec i sierpień), kiedy jest znacznie taniej. Turystyka chorwacka jest wyjątkowo sezonowa: około dwie trzecie gości przyjeżdża w lipcu i sierpniu (szczególnie duże obłożenie nastepuje w okresie od 15 lipca do 15 sierpnia), co z pewnością stwarza presję na wzrost cen. Jednak w okresie przedsezonowym i posezonowym, gdy nie ma dużego napływu turystów, ceny są znacznie niższe. Tak więc jeśli ktoś chce spędzić tańsze wakacje w Chorwacji, może wybrać maj–czerwiec lub wrzesień–październik: pogoda jest nadal ładna, nie ma tłumów, a ceny są przystępne.

W każdym razie Chorwacja pozostaje tak piękna jak zawsze – ze wspaniałą i zachowaną przyrodą oraz otwartymi i gościnnymi mieszkańcami. Jest tylko trochę droższa.

Jest jedna piękna historia, którą słyszałem od chorwackiego dziennikarza Zvonimira Despota, a którą on usłyszał od swojego przyjaciela, pracownika branży turystycznej. Historia ta doskonale opisuje sposób, w jaki Polacy podchodzą do swoich chorwackich wakacji.

„Gdziekolwiek wybierzesz się w sezonie, spotkasz Polaków – czy na małym skrzyżowaniu, czy w wiejskim zaułku. Wydaje ci się, że się zgubili i że są tam przypadkowo. Ale nie, oni się wcale nie zgubili. Oni te wszystkie miejsca odwiedzają. Wiesz dlaczego? Bo w Chorwacji czują się jak w domu, jakby byli w Polsce".

eprasa.pl 6d12520532

Od bramkarza Realu po piosenkarza milionera

Hiszpańska lewica nigdy nie mogła wybaczyć Julio Iglesiasowi ani jego prawicowych, konserwatywnych poglądów, ani jego talentu do pomnażania kapitału

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Kiedy premier Mateusz Morawiecki wystąpił na spotkaniu światowej prawicy Viva 22 w Madrycie w 2022 r., zadziwił tysiące Hiszpanów swoim wyznaniem. Przemycił na początku swojej mowy uwagę o słabości jego żony do piosenek Julio Iglesiasa. Trzeba przyznać, że to był podwójnie sprytny manewr, bo – po pierwsze – był to festiwal w nieco piknikowym, nieformalnym stylu, więc dobrze było puścić oko do publiczności, a po drugie, było w tym znać wiedzę (lub intuicję!), że sam Don Julio sympatyzuje od zawsze z prawą stroną sceny politycznej.

TEN BRZYDKI IGLESIAS

Polakom, a zwłaszcza Polkom pamiętającym jeszcze zgrzebne czasy komunizmu głos Julio Iglesiasa w polskim radiu i w audycjach „Lata z radiem" pozwalał wydostać się na chwilę za żelazną kurtynę i dać się unieść romantycznym westchnieniom, od których wibrował jego niepodrabialny głos. Muzyka niosła w sobie od razu jakieś ciepło tamtejszego klimatu, a przynajmniej na tle sowieckiej pieśni wojskowej czy niezbyt dobrze nastrojonych gitar domowej roboty w Opolu mogła wydawać się wokalnym, romantycznym prezentem z innej planety.

Gdy pytam swoją przyjaciółkę Hiszpankę, jak wspomina wizyty Julia w ich domu, robi się sentymentalna.

Fot. East News

eprasa.pl 6d12520532

– Wśród grona przyjaciół mojego brata był też Julio Iglesias (ur. 1943), ale wówczas to był dwudziestoparoletni chłopak. Wolał się bawić, niż uczyć, a przede wszystkim flirtować z dziewczynami i rozmawiać o polityce. Był synem ginekologa z Madrytu i wtedy ledwie wyszedł z poważnego wypadku samochodowego, który przerwał jego karierę pierwszego bramkarza w składzie Realu Madryt. Po powrocie do zdrowia pojechał do Murcji, by ukończyć studia prawnicze. Był równie kiepskim studentem i kobieciarzem jak mój brat, ale lubili się, bo obaj byli prawicowcami i falangistami, więc Julio przychodził do naszego domu. Falangiści nie mieli wtedy łatwo, bo ich radykalizm nie cieszył się sympatią ówczesnych technokratycznych rządów i Opus Dei – opowiada Cristina.

– Szczerze mówiąc, pamiętam tyle, że był wysokim chłopakiem, szczupłym i brzydkim. W 1968 r. wystąpił na znanym festiwalu w Benidormie, który spopularyzował jego piosenki, a te zawładnęły letnią muzyką. Piosenka „La vida sigue igual" stała się bardzo popularna i wywindowała go od razu wysoko. Na początku było widać, że nie czuł się dobrze w roli piosenkarza i właściwie nie wiedział, jak się poruszać na scenie, kiedy śpiewał, a jednocześnie jego urokliwa nieśmiałość, delikatność i brzmienie głosu od razu uczyniły go bożyszczem kobiet. Nie ukończył studiów prawniczych, choć w jego biografii przez wiele lat mówiło się, że ma wykształcenie prawnicze, co jednak nie było prawdą, bo sukces w muzyce uniemożliwił mu naukę. Po latach próbowano nakłonić uniwersytet w Murcji do zatwierdzenia przedmiotu, którego nie zdał, ale ten odmówił. Nie wiadomo więc, jakim cudem w 2001 r. Uniwersytet Complutense w Madrycie przyznał mu stopień naukowy magistra prawa... – kończy przyjaciółka. A ja nieco rozgoryczona mówię jej, że epitet „brzydki" w odniesieniu do obiektu westchnień milionów Polek podkopuje wiarygodność jej wyznań i mojego tekstu o ulubionym piosenkarzu pani Morawieckiej i milionów pań na całym świecie. – Zrób więc przypis, że był brzydki jak na standardy męskiej urody w Hiszpanii – poradziła mi Cristina.

Z PUŁAPKI ŚMIERCI W NOWE ŻYCIE

Życie Julio Iglesiasa to rzeczywiście gejzer niespodzianek. Bramkarz młodzieżówki Królewskich uległ wypadkowi drogowemu w wieku 19 lat, co zmusiło go do rezygnacji z gry oraz walkę o zdrowie i zdolność chodzenia.

Rekonwalescencja była bardzo ciężka, przez półtrora roku był częściowo sparaliżowany, a lekarze wątpili, czy Julio zdoła jeszcze kiedykolwiek normalnie chodzić. Siłą woli i ogromną pracą pokonał skutki obrażeń, a nawet nauczył się wtedy grać na podarowanej mu gitarze i brzdąkać swoje pierwsze kompozycje. Paradoksalnie to więc wypadek, który przerwał jego obiecującą karierę bramkarza Realu, dał początek jednej z najbardziej udanych karier w historii muzyki – uczynił go najbardziej znanym piosenkarzem na świecie i jednym z najbardziej wpływowych Hiszpanów na planecie.

Same początki były – jak już wiemy z relacji świadka – dość nieśmiałe. Pewnego dnia Iglesias poszedł do wytwórni płytowej i zaoferował do wykorzystania jedną ze swoich piosenek. Obecny tam łowca talentów, słysząc kompozycję na gitarze, spytał młodzika: „A czemu tego nie zaśpiewasz?". „Bo nie jestem piosenkarzem" – odpowiedział skromnie Julio. Szybko przekonano go jednak do tego, że ma walory głosowe, więc zebrał się na odwagę i pojawił jako debiutant na słynnym wówczas Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Benidormie w 1968 r. Od razu wygrał konkurs piosenką „La vida sigue igual", którą skomponował podczas ciężkiej rekonwalescencji. Sukces sprawił, że bardzo szybko podpisał kontrakt z Columbia Records, nagrał swój pierwszy singiel i znalazł się na pierwszym miejscu hiszpańskich list przebojów.

Od 1972 r. trwa nieprzerwany sukces Iglesiasa i podbój rynków muzycznych na całym świecie. Śpiewa już nie tylko po hiszpańsku, lecz także angielsku, japońsku, niemiecku, włosku, portugalsku. Student, któremu nie chciało uczyć się kodeksu karnego, zdaje się umieć przerobić w złoto oraz platynę swoje kompozycje i podpisuje wciąż nowe wielomilionowe kontrakty z wytwórniami płytowymi. W 1978 r. kupuje rezydencję w Miami, a do tego podróżuje podczas niekończących się tras koncertowych, odwiedzając przy okazji dwory królewskie, śpiewając dla sułtanów, prezydentów, premierów i odcinając kupony od sławy oraz uwielbienia tłumów.

Sielankę życia przerywa to, co zwykle trapi Hiszpanię, czyli terrorystyczna działalność lewicy, a konkretnie grupy ETA, która w 1982 r. porwała ojca piosenkarza. Policja zdołała zmobilizować swoje siły, by uwolnić zakładnika po trzech tygodniach. Wydarzenie wstrząsnęło piosenkarzem na tyle, że troje swoich małych dzieci przenosi za ocean i wychowuje w rezydencji w Miami Beach. Były to trzy owoce miłości z pierwszą żoną – Isabel Preysler, z którą połączyło go parę lat wcześniej gorące uczucie i która urodziła mu: Chábeli Iglesias (1971), niegdyś znaną hiszpańską prezenterkę telewizyjną i celebrytkę, Julio Iglesiasa Juniora (1973), wciąż usiłującego zrobić karierę muzyczną, by choć w małej części dorównać młodszemu bratu – Enrique Iglesiasowi (1975), który poszedł w ślady ojca, choć uczciwie trzeba dodać, że jednak z mniejszymi niż on sukcesami.

Wystarczy dziś nawet wstukać nazwisko Julio Iglesiasa w serwis YouTube, a wyskakują w milionowych odsłonach składanki o dość czytelnym przekazie „mix romanticas". Czasem nawet w tytule znać dodatkową zachętę, którą można przetłumaczyć jako „stare, ale jare szlagiery o miłości".

POTOMSTWO GWIAZDORA

Gdy gwiazda Julio Iglesiasa przygasła wspaniałomyślnie na rzecz jego syna Enrique, to mimo wszystko fama kobieciarza pozostała na okładkach gazet, choć Julio dobiega już 80. wiosny swojego życia. W kraju, w którym samemu królowi emerytowi Juanowi Carlosowi z niejakim trudem przychodziło doliczenie się własnych dzieci, podobny problem notuje też romantyczny uwodziciel Julio.

Jak podaje oficjalnie prasa, Julio jest ojcem ośmiorga dzieci. Z pierwszą żoną Isabel Preysler, która była matką pierwszej trójki potomstwa, rozwiódł się po paru latach. Zresztą piękna Isabele szybko pocieszała się w następnych

eprasa.pl 6d12520532

głośnych małżeństwach: a to z pewnym arystokratą, a to z ministrem gospodarki, ostatnio zaś z wielkim hukiem skończyła wieloletnią relację z noblistą Mario Vargasem Llosą, której brudy prały się miesiącami na oczach całej chyba Iberoameryki. Wracając jednak do muzycznego artysty, ze swoją obecną żoną Mirandą Rijnsburger, holenderską modelką, którą poślubił w 2010 r., ma pozostałych pięcioro dzieci: Miguela Alejandra, Rodriga, Victorię, Cristinę i Guillerma. Ostatnio głośno było co prawda o tym, że 47-letni Javier Sánchez domagał się uznania domniemanego ojcostwa piosenkarza przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka, ale przegrał, choć od 1991 r. próbuje udowodnić, że to Julio Iglesias jest jego biologicznym ojcem. Podobno matka Sáncheza dobrze pamięta płomienny krótki romans podczas koncertu piosenkarza, na którym pracowała jako tancerka, i tenże miał być ojcem jej syna. Sądy wielu instancji nie podzieliły jej opinii. Z całej puli dzieci (tych pochodzących z prawowitego łoża) tylko Enrique i Julio Junior poświęcili się karierze muzycznej. Pierwszego zna raczej cały świat, drugi śpiewa głównie na imprezach typu „Sylwester z Dwójką".

UŚMIECH FORTUNY

Co do ewentualnego potomstwa z nieprawego łoża – nie wiemy nic oprócz domysłów kolorowej prasy i szacowanej liczby 3 tys. kobiet, które przewinęły się nie tyle przez życie piosenkarza, ile przez jego alkowę. Parę lat temu Julio publicznie skomentował ten fakt takimi słowami: „Miałem więcej kobiet, niż na to zasłużyłem, i mam mniej milionów na koncie, niż sądzicie". A jednak według magazynu „Forbes" Julio Iglesias był jednym z najbogatszych piosenkarzy w 2022 r. Jego majątek jest wyceniany na 700 mln euro. Od 2007 r. to jego druga żona Miranda zarządza całym majątkiem, który piosenkarz zmultiplikował, inwestując w sektor nieruchomości w Hiszpanii. Ale wielkie dziedzictwo Iglesiasa znajduje się głównie po drugiej stronie Atlantyku, głównie w USA i Republice Dominikany. Wraz ze swoim przyjacielem zainwestował w karaibski skrawek Punta Cana, by zamienić go w turystyczny raj dla bogaczy. Jego firma stworzyła tam apartamenty, hotele i całą infrastrukturę łącznie z lotniskiem. Zbudował tam swoją rezydencję, gdzie mieszka na stałe, choć właściwie żyje na dwa domy, bo w Miami mieszkają wciąż jego żona i dzieci.

Julio Iglesias od dłuższego czasu nie pojawia się na okładkach gazet. Gdy jednak niektórzy zasugerowali miesiąc temu, że to wycofanie jest spowodowane złym stanem zdrowia, piosenkarz w miłych słowach podziękował sympatykom za troskę, zapewnił, że szuka tylko spokoju i nigdy nie miał jaśniejszego umysłu niż teraz. Tym zaś, którzy śmią wątpić w jego zdrowie i wyszukują mu schorzenia, odpowiedział w swoim stylu: „Odpowiem wam niegrzecznie i zmartwię was, bo naprawdę czuję się kurewsko wyśmienicie".

> Gdy pytam swoją przyjaciółkę Hiszpankę, jak wspomina wizyty Iglesiasa w ich domu, robi się sentymentalna i opowiada: – Wśród grona przyjaciół mojego brata był też Julio, ale wówczas to był dwudziestoparoletni chłopak. Wolał się bawić, niż uczyć, a przede wszystkim flirtować z dziewczynami i rozmawiać o polityce

Podobno spisuje teraz swoje wspomnienia, na które rzucą się nie tylko jego rodacy, wszak złośliwi mówią, że sprzedał miliony płyt nawet w Kambodży. Do wielu sukcesów zapewne dorzuci więc autorstwo bestsellera. Inna rzecz, że może wiele dzieci z hiszpańskiego baby boomu odnajdzie na kartach książki opis własnej matki, a wtedy znów do sądu będą się zgłaszać potencjalni spadkobiercy do jego fortuny.

PIEŚNIARZ PRAWICY

Wracając jednak do słów naszego premiera, strzelił w dziesiątkę, sięgając po wspomnienie Julio Iglesiasa, tym bardziej że piosenkarz do dziś dnia – jak pokazały badania – jest najchętniej słuchany w Hiszpanii wśród wyborców prawej strony, zarówno „prawicy bezobjawowej" reprezentowanej przez Partię Ludową, jak i przez konserwatywny Vox. Parę dni temu, gdy kampania przedwyborcza osiągnęła swój punkt kulminacyjny, lider ludowców Alberto Núñez Feijóo pochwalił się w popularnym programie, że bardzo lubi piosenki Iglesiasa i że jest z nim w stałym kontakcie. Piosenkarz ponoć jest szczególnie zaniepokojony dwoma problemami Hiszpanii. „Ma obsesję na punkcie jedności terytorialnej i suszy" – skomentował lider Partii Ludowej. W 1996 r. Julio osobiście wspierał kandydata na premiera – José María Aznara – nawet na wiecu wyborczym, wygłaszając pochwały pod jego adresem i wymieniając serdeczne uściski. Dziś jest więc wykorzystywany przez sukcesorów Aznara, by zyskać dodatkowe punkty u tych, którzy z melancholią wspominają dobre czasy nie tylko piosenki hiszpańskiej, lecz także całego kraju, który pod rządami prawicy zawsze dobrze prosperował.

Lewica nigdy nie mogła wybaczyć Iglesiasowi ani jego prawicowych, konserwatywnych poglądów, ani jego talentu do pomnażania kapitału. Dziś komuniści i socjaliści lubią więc powtarzać, że Iglesias jest też królem memów w hiszpańskim internecie, choć – dodajmy od razu – w całej ich masie trudno spotkać memy obrażające artystę. Nawiązują zwykle do jego podbojów, pewności siebie, męskiego uroku, płodności czy imienia (Julio to Juliusz, a także miesiąc lipiec). Niekwestionowany król muzyki umie rozbroić dobrym żartem złośliwości lewicy, sugerując, że w ten sposób nawet jeśli nie jego muzyka, to on sam jako bohater sympatycznych memów przetrwa w pamięci i w świadomości następnych pokoleń.

eprasa.pl 6d12520532

Polska Fundacja Narodowa partnerem głównym Dnia Polskiego podczas III Igrzysk Europejskich Kraków-Małopolska 2023

W niedzielę 25 czerwca w Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie odbył się Dzień Polski – wydarzenie kulturalne, towarzyszące III Igrzyskom Europejskim Kraków-Małopolska 2023

Organizatorami uroczystości, objętej honorowym patronatem pary prezydenckiej, byli m.in. Polski Komitet Olimpijski, Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena i województwo małopolskie. Głównym partnerem imprezy została Polska Fundacja Narodowa.

To właśnie w PFN w 2017 r. powstał pomysł wsparcia olimpijczyków i paraolimpijczyków w ramach programu Team100, a później PFNteam100, przygotowujących się do igrzysk olimpijskich. To pierwszy tego typu program w Polsce, którego celem było uruchomienie stypendiów dla utalentowanych polskich sportowców – członków kadry narodowej, pozwalających na łączenie kariery sportowej z nauką, podnoszenie kwalifikacji oraz godne reprezentowanie Polski na świecie. Unikatowość projektu polega na uczeniu stypendystów odpowiedzialności za podejmowane decyzje sportowe, życiowe i ekonomiczne.

– Dzień Polski łączy się z celami statutowymi Polskiej Fundacji Narodowej. Jesteśmy organizacją trzeciego sektora, podmiotem społeczeństwa obywatelskiego. Naszą misją jest promowanie polskiej kultury, historii i polskiego dziedzictwa narodowego oraz polskiej gospodarki. Prowadzimy unikatowy i przynoszący mnóstwo sukcesów program regatowo-szkoleniowy I Love Poland oraz realizujemy program PFNteam100, który objął swoją opieką prawie 500 polskich sportowców, zdobywców 574 medali w rywalizacji sportowej na poziomie mistrzostw Europy i świata. Wspieramy polskich mistrzów. Igrzyska europejskie traktujemy jako sposobność do pięknego opowiadania światu o Polsce – powiedział dr Marcin Zarzecki, prezes zarządu PFN.

Geneza Dni Polskich sięga korzeniami XXX Letnich Igrzysk Olimpijskich w Londynie w 2012 r. i koncertu w Cadogan Hall. Od tego czasu Dni Polskie towarzyszą wszystkim imprezom o randze igrzysk olimpijskich oraz igrzysk europejskich.

– Polska Fundacja Narodowa zaangażowała się w organizację Dnia Polskiego podczas III Igrzysk Europejskich Kraków-Małopolska 2023, bo to doskonała okazja do zaprezentowania polskiego dorobku kulturalnego i ponadprzeciętnych wyników sportowych na arenie międzynarodowej. Ideą przyświecającą temu wydarzeniu jest ukazanie stojącej ponad podziałami, harmonicznej więzi sportu ze sztuką, nawiązującej do antycznych olimpiad, a także konkursów literatury i sztuki, które towarzyszyły igrzyskom olimpijskim – powiedział Michał Góras, wiceprezes PFN.

Niedzielne wydarzenie w Krakowie zainaugurowały „Taniec góralski" i „Marsz zbójnicki" z baletu „Harnasie" Karola Szymanowskiego z udziałem tenora Tomasza Świerczka. Po tym krótkim wstępie przyszedł czas na oficjalne powitanie przybyłych na uroczystość gości na czele z prezydentem RP Andrzejem Dudą i pierwszą damą Agatą Kornhauser-Dudą. Polską Fundację Narodową reprezentował prezes zarządu dr Marcin Zarzecki. Główną część wydarzenia stanowił koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie pod batutą Alexandra Humali oraz pianisty Jakuba Kuszlika, laureata czwartego miejsca w XVIII Konkursie Chopinowskim w 2021 r. Filharmonicy krakowscy zaprezentowali utwór „Chaconne" z „Polskiego Requiem" Krzysztofa Pendereckiego, a całość zwieńczyło wykonanie I koncertu fortepianowego e-moll op. 11 Fryderyka Chopina.

Artykuł sponsorowany | 16/0223/F

eprasa.pl 6d12520532

Retuszowanie z życia

DARIUSZ MATUSZAK

Banki odmawiające świadczenia usług klientom ze względu na ich publicznie prezentowane poglądy polityczne, blokujące konta nieposłusznym obywatelom? To nie jest dystopijna opowieść. To się dzieje. W Wielkiej Brytanii, USA, Kanadzie, Brazylii...

Na naszych oczach, pomalutku, bez zbędnej ostentacji, tak by nikt się nie wypłoszył, gotowana żaba nie wyskoczyła z wody, sprawdzają się teorie spiskowe, wypełniają czarne scenariusze mówiące, iż lewica, jaśnie oświecona awangarda postępowej ludzkości, prowadzi nas ku koszmarowi „Nowego wspaniałego świata" Aldousa Huxleya i tego, który opisywał w „1984" George Orwell.

Pięć lat po tym, jak angielski pisarz i wizjoner Huxley opublikował swoją proroczą powieść, w kwietniu 1937 r. towarzysz Stalin wraz z szefem NKWD Nikołajem Jeżowem odwiedzili budowę kanału Moskwa-Wołga. Obecność szefa bezpieki była jak najbardziej wskazana, bo kopali go ówcześni niewolnicy – więźniowie polityczni komunistycznego reżimu. Wtedy właśnie powstało słynne zdjęcie, na którym obok Stalina na tle szemrzącej wody stoi „krwawy karzeł" – liczący ledwie 150 cm wzrostu Jeżow. W takiej też wersji fotografia była powielana w sowieckiej prasie do lipca 1939 r., kiedy to została wyretuszowana – Jeżow z niej znikł. Aresztowany, osadzony przestał dla świata istnieć. Jego historię dopełnił strzał w potylicę w lutym 1940 r. Skończył tak jak 700 tys. jego ofiar. Plujemy na pamięć o zbrodniarzu, ale zdjęcie w dwóch wersjach z nami pozostaje, nie tylko jako symbol reżimu unicestwiającego ludzi, lecz także samo ich bytowanie. Ludzkość od dawna uprawiała zwykłe mordowanie, ale dopiero Sowieci potrafili odebrać człowiekowi zarówno życie, jak i jego los, sprawić, jakby nigdy nie istniał.

NIEOSOBA NIGEL FARAGE

Dziś sprawianie, że niektórzy jako obywatele są „retuszowani" – oczywiście bez odbierania im życia czy nawet pozornej wolności, w znacznie łagodniejszej, wręcz cywilizowanej i uśmiechniętej formie

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 6d12520532

– zaczynają praktykować siły postępu: państwa, ich instytucje i pozostające z nimi w sojuszu wielkie korporacje. Właśnie przekonał się o tym jeden z architektów i liderów brexitu, były europoseł Nigel Farage. Bank, z którego usług korzystał od 40 lat, bez słowa wyjaśnienia pozamykał jemu i jego rodzinie konta, a siedem innych odmówiło otwarcia. Polityk oświadczył, że po pozbawieniu go dostępu do najbardziej podstawowych usług, stał się nikim, „nieosobą" – „non-person".

„W zasadzie stałeś się »nieosobą«. To trochę, jak życie w Niemczech czy Rosji 80 lat temu. A może nawet w dzisiejszych komunistycznych Chinach" – mówił Farage w programie telewizji GB News.

Oczywiście zbrodnie komunistycznej tyranii były nieskończenie gorsze, niż są teraz praktyki dzisiejszych napędzanych ideologicznym pobudzeniem (woke) liberalnych reżimów. Nie porównujemy ich ani nie temu służyło wspomnienie o zdjęciu z „krwawym karłem" Jeżowem, ale w dramatycznym oświadczeniu Farage'a, że człowiek w takiej sytuacji jak on staje się „nieosobą", nie ma cienia przesady. Przedstawmy sobie to dobrze – oto ktoś przestaje mieć dostęp do usług bankowych. Wypłacono mu z likwidowanych kont pieniądze, więc poupychał je po kieszeniach, w bieliźniarce, ale co dalej? Jak zapłaci czynsz, za wodę, gaz, prąd? Do jakiej kasy pójdzie z pieniędzmi za telefon, internet? Jak wynajmie pokój w hotelu, samochód, która linia lotnicza przyjmie od niego gotówkę za bilet? Jak dokona jakiejkolwiek większej transakcji? Jak odbierze swoje wynagrodzenie albo emeryturę? Taki człowiek przestaje istnieć dla świata – nie ma go jako obywatela, funkcjonującego członka społeczeństwa. Jeden prosty ruch – odcięcie od banków – odcina go od życia we wspólnocie, całkowicie wyrzuca na jej margines. Można teoretyzować, że poradzi sobie dzięki pomocy rodziny i znajomych, ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że życie staje się koszmarem.

Podobne represje od miesięcy spotykają już byłych europosłów Christinę Jordan i Henrika Overgaarda-Nielsena, działaczy dawnej Partii Brexit, którzy ośmielili się doprowadzić do wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Podobne szykany spotykają organizacje chrześcijańskie. Banki zaczynają odmawiać transferowania pieniędzy za bilety na imprezy organizacji konserwatywnych. W 2021 r. zostały zamknięte konta bankowe następczyni Partii Brexit – Partii Reform. To przypomina historię Marine Le Pen, której wszystkie francuskie banki odmawiały kredytu na kampanię wyborczą. Dostała go dopiero od niewielkiego, głównie obsługującego mieszkających we Francji rodaków rosyjskiego banku. To wystarczy, by np. opozycyjni polscy politycy, a za nimi tępe media, powtarzali, że Le Pen była finansowana przez Kreml.

Najczęściej wszystko obywa się wedle zasad znanych z „Procesu" Franza Kafki. System mieli oskarżonego o coś Józefa K., a on nawet nie wie dlaczego. Ot konta są zamykane – masz, człeku, przyjść po pieniądze, karty kredytowe nie działają i nikt niczego nie wyjaśnia.

REKLAMA

Rośnie liczba zawodów deficytowych

Przedsiębiorcy bez wsparcia kadrowego

Mechanicy, dekarze czy budowlańcy – w Polsce fachowcy są na wagę złota. Mimo niskiego bezrobocia utrzymującego się na poziomie 5,4 proc. w firmach brakuje rąk do pracy. To efekt m.in. wieloletnich zaniedbań, których doświadczyło szkolnictwo zawodowe.

– W Polsce powrócił rynek pracownika, jednak znalezienie dobrego specjalisty często graniczy z cudem. W erze Przemysłu 4.0 niedobór wykwalifikowanej kadry stanowi barierę nie tylko w dalszym rozwoju, lecz w ogóle w funkcjonowaniu lokalnych marek. Ich kondycja zaś w dużym stopniu warunkuje wzrost gospodarczy kraju – mówi Dawid Solak, zastępca dyrektora generalnego Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji.

UCZNIOWIE WRACAJĄ DO ZAWODÓWEK

Na początku lat 90. szkoły branżowe wypuszczały na rynek pracy ok. 240 tys. absolwentów rocznie. Następne lata to pogłębiający się spadek zainteresowania edukacją techniczną na rzecz liceów ogólnokształcących i uczelni wyższych.

– Po transformacji ustrojowej panowało przeświadczenie, że główną rolę w gospodarce przyszłości będzie odgrywać sektor usług. Placówki stawiające na kształcenie kierunkowe straciły zainteresowanie młodzieży, a liczba szkół zawodowych spadła o 60 proc. Receptą na kryzys okazała się reforma. Już 58,8 proc. uczniów szkół ponadpodstawowych realizuje kształcenie branżowe i techniczne – zauważa Marzena Machałek, wiceminister edukacji i nauki.

Dodatkową inicjatywą mającą wzmocnić popularność praktycznej nauki zawodu są międzynarodowe konkursy organizowane dla uczniów i absolwentów szkół branżowych.

– EuroSkills to największy konkurs umiejętności zawodowych. Już za trzy miesiące cały zawodowy świat spotka się w Gdańsku, by obserwować ponad 600 najlepszych młodych zawodników z 32 krajów rywalizujących o tytuły mistrza Europy w kilkudziesięciu kategoriach, takich jak budownictwo cyfrowe, instalacje elektryczne i grzewcze, integracja robotów przemysłowych czy meblarstwo – dodaje Marzena Machałek.

frse Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji
Dofinansowane przez Unię Europejską
worldskills Poland
KRAJOWY PLAN ODBUDOWY
Rzeczpospolita Polska
Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU

Artykuł sponsorowany | 57/0623/F

eprasa.pl 6d12520532

Nieco lepiej został potraktowany pastor Kościoła anglikańskiego, którego bank poinformował, że likwiduje mu konta za jego transfobiczne komentarze na Facebooku i Twitterze.

Podobnie jest po drugiej stronie Atlantyku. Wykasowanie dostępu do usług – rozszerzona wersja owej „cancel culture", która usuwa ze świata dzieła nieprawidłowych artystów – obejmuje nie tylko bankowe, ale wręcz wszystkie oferowane online serwisy. Doświadczył tego szef organizacji Dumni Chłopcy (Proud Boys), czarnoskóry, pochodzący z kubańskiej rodziny Enrique Tarrio. Republikańskiego działacza zablokowały sklepy internetowe, Facebook, Twitter, Instagram, Airbnb, Firstdata, PayPal, Square i wiele innych.

To, co wolno prywatnym korporacjom, tym bardziej mogą zrobić państwa. Te pierwsze i tak działają w zmowie z rządami czy za ich pełnym przyzwoleniem. Sojusz tych bytów jest oczywisty. Im więcej regulacji, kontroli nad obywatelami, tym większa bariera wejścia na rynek, a więc mniejsza konkurencja. Po co tysiące niezależnych restauracji, jak można mieć trzy wielkie sieci. I państwo zadowolone, i korpo się tuczy. W zamian za opiekę państwa i urzędników wielkie firmy muszą tylko mu wyświadczać przysługę na żądanie.

UŚMIECHNIĘTY REŻIM TRUDEAU

Jak to działa, przekonali się mieszkańcy Kanady, jednego z najbardziej ponurych, ale zawsze uśmiechniętych totalitaryzmów Zachodu. W lutym 2022 r., w odpowiedzi na wielkie protesty społeczne, które wybuchły w związku z covidowymi restrykcjami, reżim Justina Trudeau pierwszy raz w historii kraju zaprowadził porządki stanu wyjątkowego. To wtedy z całej Kanady tysiące ciężarówek jechało do stolicy kraju Ottawy w Konwoju Wolności. Rząd, korzystając z ustawy o stanie wyjątkowym (Emergencies Act), ogłosił, że banki, dostawcy usług finansowych będą na żądanie administracji – bez wyroku sądu – blokować każde konto. Dziesiątki tysięcy obywateli, a także firm zidentyfikowanych nie tylko jako uczestnicy protestów, lecz także pomagający jadącym w konwoju kierowcom pozbawiono dostępu do własnych pieniędzy. Nikt nie jest anonimowy w sieci i ci Kanadyjczycy, którzy chcieli przesłać datki na rzecz protestujących, przekonali się o tym, gdy z sekundy na sekundę zostali bez środków do życia. Anonimowy farmer mówił w rozmowie z „Western Standard": „Nie mogłem zrobić żadnych przelewów elektronicznych, nie mogłem zapłacić rachunków przez internet". Gdy próbował wyjaśnić, co się stało, mówiono mu, że wszystko jest dyktowane z Toronto. Wszystko przez to, że ośmielił się przesłać pieniądze na paliwo dla kierowców. Datki oczywiście zostały zarekwirowane i dopiero potem zwrócone tym, którzy je wysłali.

> Bank, z którego usług korzystał od 40 lat Nigel Farage, jeden z architektów i liderów brexitu, bez słowa wyjaśnienia pozamykał jemu i jego rodzinie konta, a siedem innych odmówiło otwarcia. Polityk oświadczył, że po pozbawieniu go dostępu do najbardziej podstawowych usług stał się nikim, „nieosobą" – „non-person"

W cyfrowym świecie reżim może decydować o tym, na co obywatele wydają pieniądze. Działania kanadyjskiego reżimu spodobały się też bardzo w Brazylii. Za przykładem Trudeau poszła administracja nowego prezydenta Luli. Zablokowano konta osobom i firmom wpierającym Jaira Bolsonaro. „Przestępcy" mieli sfinansować wynajem autokarów na zwiezienie na demonstracje do stolicy kraju Brasilii zwolenników byłego prezydenta.

Po aferze z bankowym wykasowaniem Nigela Farage'a brytyjski – z nazwy konserwatywny – rząd zorientował się, że sprawy mogą iść zbyt daleko. Że wprowadzenie kryteriów ideologicznych do świata codziennych usług nie tylko godzi w podstawowe prawa obywatelskie, uniemożliwia ludziom funkcjonowanie w społeczeństwie, lecz także stanowi poważne zagrożenie dla samej gospodarki. Być może pod uwagę wzięto to, co wydarzyło się w Kanadzie po tym, jak banki na polecenie rządu zablokowały konta nieposłusznym obywatelom. Amerykanie zaczęli więc masowo wycofywać z nich pieniądze. W Zjednoczonym Królestwie interwencję podjął więc Departament Skarbu, który oznajmił, że opracuje regulacje zabraniające bankom odmowy świadczenia usług klientom ze względu na ich poglądy polityczne prezentowane publicznie. Uznano, że wolność słowa jest wartością, którą państwo musi chronić, i która nie może być niszczona w obrocie gospodarczym, komercyjnym. Na razie, póki nie rządzą labourzyści.

To, co się wydarzyło i dzieje w Wielkiej Brytanii, USA, Kanadzie, Brazylii, niektórzy traktują jak wypadki przy pracy liberalnych demokracji. Tymczasem zorganizowanie się państw do kontrolowania obywateli, wymuszania całkowitego posłuszeństwa, jak Chiny, już nie jest incydentem. Rozwój technologii, świat cyfrowy sprawił, że mamy dziś do czynienia z nowymi zagrożeniami dla wolności obywatelskich. Mają one charakter totalny. W ponurych czasach reżimów, jak np. w PRL, nieposłuszna jednostka nie mogła zrobić kariery, ale udawało jej się jakoś funkcjonować we wspólnocie. Teraz słowo „sieć" oznacza nie tylko niemające granic powiązania, dostęp globalny, lecz także siatki, pęta. Świat cyfrowy dał tyranom do ręki czarodziejską różdżkę. Po wciśnięciu guziczków jak za jej dotknięciem mogą oni pozbawiać dowolnych ludzi zdolności funkcjonowania w społeczeństwie. Sprawić, że staną się „nieosobami".

eprasa.pl 6d12520532

To była dla mnie bardzo ważna scena. Moment przemowy przed bitwą. Zwracając się do rycerzy, czułem silne napięcie. Miałem też myśl, jak wielu wspaniałych aktorów zagrało świetnie taką scenę, chociażby Mel Gibson w „Braveheart. Waleczne serce" – mówi Sebastian Skoczeń, grający Jagiełłę w serialu „Korona królów. Jagiellonowie"

Strategia Jagiełły

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 6d12520532

Fot. Materiały prasowe

Z aktorem Sebastianem Skoczeniem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Za chwilę 15 lipca. To będzie ważny dla pana dzień?

Sebastian Skoczeń: Ostatnimi czasy ta data stała się dla mnie szczególnie znacząca. Za przyczyną wielkich przeżyć, przede wszystkim zawodowych. Przypominam sobie, jak kręciliśmy sceny bitwy pod Grunwaldem. To był sierpień ub.r. Straszny upał...

Gdyby dodać do niego poranne burze i błoto, wszystko zgadzałoby się z historycznym przekazem?

Błota nie było, ale upał i rozmach przedsięwzięcia robiły wrażenie. Pamiętam, jak pierwszy raz przyjechałem na plan. Przeżyłem szok, widząc ogrom działań. Poczułem się trochę jak w hollywoodzkiej megaprodukcji. Stały tam ogromne przenośne stajnie dla setek koni, wielkie namioty garderobiane, pomieszczenia charakteryzacji. W scenach uczestniczyło wielu aktorów, do tego kilkuset statystów. Robiło to wrażenie.

Gdzie były kręcone zdjęcia, bo nie pod Grunwaldem?

Przy takiej ilości sprzętu, ludzi i koni dojazdy generowałyby zbyt wielkie koszty, więc ekipa trafiła na bitewne pole niedaleko Warszawy, między Górą Kalwarią a Konstancinem. Przestrzenie były rozległe, piękne, pagórkowate i częściowo zadrzewione.

Wojska Korony i Litwy mogły skorzystać ze strategicznego cienia, gdy przeciwnik prażył się w pełnym słońcu?

Tu się przejawił spryt Jagiełły, zaprawionego w bojach jeszcze za czasów, kiedy był wielkim księciem, gdy zdobywał władzę. Wtedy Litwa była krajem toczącym wiele wojen, a jej kultura walki, wojowania była inna od tej zachodniej.

Tymczasem Jagiełło postawił nie tylko na zwarte szyki, lecz także umiejętność wykorzystywania sytuacji, elementu zaskoczenia?

Dotyczyło to zarówno specyfiki terenu czy wspomnianej pogody, jak i manewrów typu pozorowana ucieczka i nagły atak, które na zachodzie Europy były rycerzom nieznane, bo dla nich starcie oznaczało stanięcie naprzeciwko siebie na wielkim polu i bitwę, w której wygrywał lepszy, silniejszy. A tutaj przeważyła szalę litewska strategia Jagiełły.

Również to, co działo się między przeciwnikami bezpośrednio przed starciem? Jak pan wspomina słynną (dzięki Sienkiewiczowi i Fordowi) scenę poselstwa?

Kiedy wycieńczeni całonocnym marszem, a potem upałem Krzyżacy dążyli do jak najszybszej konfrontacji i wysłali królowi dwa nagie miecze... Ostatnio czytałem, że to nie musiała być prowokacja, ale nawiązanie do rycerskiego zwyczaju. Niezależnie jednak od intencji zostało to odebrane przez stronę polską jednoznacznie.

Przyjmując miecze, czuł pan presję (z powodu skojarzeń z powieścią i filmem sprzed 63 lat), a może podniosłość chwili?

Muszę tu wspomnieć o kulisach planu. I kręceniu ujęć nie zawsze symultanicznie i w jednym momencie. Przy tej scenie najpierw byli grani Jagiełło i rycerze, potem posłowie, więc widzieliśmy się, ale nie w tym samym momencie byliśmy rejestrowani. Trudno w takiej sytuacji o prywatne odczuwanie emocji czy podniosłości chwili. Ale oczywiście na ekranie będzie widać i napięcie, i dynamikę, i skrywane uczucia.

Czyli przede wszystkim liczy się zawodowy profesjonalizm. Chociaż miał pan niecodzienną okazję przeniesienia się w czasie, doświadczenia bitewnej adrenaliny.

Cała filmowa sytuacja, która była bardzo uprawdopodobniona fizycznie – mówię tutaj o kostiumach, które nie były butaforią [teatralnym rekwizytem – przyp. red.] czy plastikiem, lecz prawdziwymi ciężkimi zbrojami, całe oporządzenie koni, broń... To wszystko pozwoliło wejść nam, aktorom, w odtwarzane zdarzenia. Poczuć się tu i teraz, ale w XV w., jednocześnie

eprasa.pl 6d12520532

mając świadomość innych historycznych produkcji. Mieliśmy m.in. scenę, która była dla mnie bardzo ważna. Podobne ujęcia pojawiają się w wielu filmach historycznych – to moment przemowy przed bitwą. Zwracając się do rycerzy, czułem silne napięcie. Miałem też myśl, jak wielu wspaniałych aktorów świetnie taką scenę zagrało, chociażby Mel Gibson w „Braveheart. Waleczne serce".

Jakimi słowami polski król zwrócił się do wojska?

„Rycerze, waleczni mężowie. Pomnijcie na gwałty, zbrodnie i uciemiężenia, których dopuścili się Krzyżacy, odkąd bezkarnie wzięli we władanie nasze ziemie...". Mam w pamięci tę kwestię do dzisiaj. I jej nie zapomnę.

A jak wybrzmiała w bitewnym polu „Bogurodzica"? Słyszeliście ją z głośnika?

Nagranie w tle było tylko po to, żebyśmy śpiewali w jednym rytmie, by zgadzał się ruch ust, żeby było nas wielu. Doskonale słychać ten donośny śpiew na żywo. Myślę, że na niejednym zrobi on wrażenie.

Wspomniał pan o królewskim bitewnym stroju. Proszę opowiedzieć o nim trochę więcej.

Miałem na sobie pełną zbroję: napierśnik, naramienniki, dłonie osłonięte rękawicami, bardzo ciężkimi, z twardej, kutej stali, hełm z koroną... Byłem w szoku, jak zaczęto to na mnie wkładać. Okazało się, że ubranie władcy zajmuje ponad pół godziny. Wraz z kolejnymi elementami robiło się coraz ciężej.

Ile panu przybyło królewskiej masy?

Dokładnie, ile ważył strój (plus miecze i sztylet), nie potrafię powiedzieć – na pewno sporo – za to wiem, że przez dwa tygodnie kręcenia scen grunwaldzkich ubyło mi 5 kg. Był też aktorski aspekt tego fizycznego dociążenia (przypomnijmy – w doskwierającym upale): w pewnym momencie przestałem się stresować tym, jak zagram, czy dobrze to wypadnie, czy podołam. Fizyczność zaczęła odgrywać główną rolę. W 36-st. spiekocie, w pełnej zbroi włączył się tryb przetrwania. I – jak sądzę – dodatkowo uwiarygodnił przedstawiane zdarzenia. Muszę też tu wspomnieć o niezwykle ważnej roli rekonstruktorów i kaskaderów. Należą się im ogromne podziękowania. Byłem poruszony, widząc na żywo i na nagraniach, jak walczą, jak w bitewnym ferworze prowadzą konie, jak z nich (na potrzeby dramaturgii) spadają, a potem wstają do kolejnego dubla. Pełny profesjonalizm.

W niedzielę, 16 lipca, o godz. 20.20 w TVP1 rozpocznie się premierowa emisja dwóch odcinków serialu „Korona królów. Jagiellonowie", w których zostanie pokazana bitwa pod Grunwaldem. Dzień wcześniej, 15 lipca, o godz. 21.30 też w TVP1 zostanie wyemitowany film dokumentalny „Grunwald 1410", w którym wykorzystano sceny bitwy nagrane do serialu.

Oglądał pan nagrane fragmenty, a całość?

Bardzo jestem ciekaw efektu końcowego. Choćby z tego powodu, że – jak wiadomo – Aleksander Ford, kręcąc w 1960 r. „Krzyżaków", a w nich bitwę pod Grunwaldem, miał do dyspozycji tysiące statystów i koni. My taką liczbą nie byliśmy w stanie dysponować, ale mamy technologię, która – na to liczę – pomoże zmultiplikować rycerskie zastępy, dając spektakularny efekt.

Aktor nawet w ramach jednego projektu doświadcza często różnych przestrzeni czasowych. W jakiej pan się teraz znajduje?

Jesteśmy w trakcie realizacji kolejnego sezonu „Korony królów. Jagiellonów". Mój bohater jest już w podeszłym wieku. Zbliżają się sceny śmierci Jagiełły. Mam nadzieję, że zdarzy się to jak najpóźniej, bo bardzo zbliżyłem się do postaci króla Władysława. Ciężko będzie mi się z nim pożegnać.

Zaczęliśmy rozmowę od refleksji, która będzie panu towarzyszyć 15 lipca. Zakończmy odniesieniem do najsłynniejszego obrazu bitwy. Jak dziś odbiera pan wizję Jana Matejki? Co lub kogo przede wszystkim pan w niej widzi?

Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem tego obrazu na żywo. Tylko reprodukcje. A na nich najmocniejsze wrażenie wciąż robi na mnie przerażona twarz Ulricha von Jungingena otoczonego przez Litwinów. Sam obraz – nawet mocniej od tego, co dzieje się na nim – porusza mnie swoją historią i tym, jak wpływa na Polaków, ale nie tylko na nich. Podczas II wojny światowej Niemcy wyznaczyli ogromną nagrodę za wskazanie miejsca, w którym został ukryty, a tym, którzy go strzegli, groziła kara śmierci. Sześć wieków od bitwy pamięć o niej wywoływała tak wielkie emocje także u najeźdźców. To też o czymś świadczy.

3 MIŁOŚCI

Pedofilia romantyczna i seryjny samobójca

ROBERT TEKIELI

W świecie urojonym pedofilia jest formą miłości. Holenderski psycholog i seksuolog Frits Bernard już w latach 50. postulował obniżenie wieku uprawniającego do współżycia seksualnego. Amerykański seksuolog John Money, człowiek, który wpłynął w zasadniczy sposób na kształt współczesnej humanistyki, twórca pojęcia „gender", uważał, że pedofilia romantyczna, oparta na pozytywnym uczuciu do najmłodszych, nie powinna być karana.

W USA od 1978 r. działa Północnoamerykańskie Stowarzyszenie na rzecz Miłości Męsko-Chłopięcej (NAMBLA), które głosi: „Tradycyjna rodzina jest środowiskiem wrogim dla wolności dziecka, ponieważ nie pozwala mu na samostanowienie".

Vereniging Martijn, holenderskie stowarzyszenie dążące do obniżenia wieku uprawniającego do współżycia seksualnego oraz do zmiany społecznego postrzegania pedofilii, zostało założone w 1982 r. Martijn usunięto z Międzynarodowego Stowarzyszenia Lesbijek i Gejów dopiero w 1994 r., w chwili, w której pojawiła się szansa na rozpropagowanie ideologii LGBT+ w całym społeczeństwie, w czym hasła legalizacji pedofilii mogły wtedy przeszkodzić.

W 2013 r. Amerykańskie Stowarzyszenie Psychiatryczne (APA) wykreśliło pedofilię z listy zaburzeń. Ze zmiany się wycofano.

W 2018 r. w trakcie konferencji naukowej TEDx na Uniwersytecie w Würzburgu Mirjam Heine przekonywała, że pedofilia jest normalną orientacją seksualną. Również w polskim środowisku akademickim pojawiają się podobne głosy. Prof. Andrzej Jaczewski w książce „Seksualność dzieci i młodzieży. Pół wieku badań i refleksji" pisał: „Jeżeli rozważamy zjawisko zachowań seksualnych wobec nieletnich, to wydaje się, że należy dokonać istotnych zróżnicowań. Podzieliłbym okres rozwoju na trzy grupy: grupa I – małe dzieci do lat trzech, grupa II – średnia od 3 do 8 lat, grupa III – młodzież od 9 lat do pełnoletniości". „Kontakty dobrowolne i świadome nie powinny być karane przynajmniej w najstarszej grupie".

„Pedofile to też ludzie, bo miłość to miłość" – plakaty takiej treści pojawiły się w 2016 r. wokół szkoły podstawowej Willamette w Portland, w amerykańskim stanie Oregon. Postacie dorosłego mężczyzny z czerwonym serduszkiem i trzymanego przez niego za rękę dziecka z takim samym serduszkiem widniały na tęczowym tle. Tyle ideologii.

Na świecie jest ok. 40 mln niewolników, a liczba ofiar z polskim paszportem wynosi mniej więcej 120 tys. osób. Dane pochodzą od Agaty Witkowskiej z Fundacji Czas Wolności.

Za doprowadzenie do adopcji niemowlaka handlarz pracujący na rzecz zachodnioeuropejskich burdeli z dziećmi dostaje 15 tys. euro. Matka kilkakrotnie mniej. Usługa „VIP satisfaction" w takim burdelu oznacza 0,5 mln euro za seks z przemocą tak potworną, że dziecko nadaje się już tylko do sprzedania na organy. Wątroba czy serce kosztują na czarnym rynku ok. 70 tys. euro. Nad powiązanymi z sobą zjawiskami pedofilii i handlu dziećmi rozciągnięto gigantyczny parasol ochronny. O jego sile może dać wyobrażenie sprawa Marka Dutroux, belgijskiego seryjnego mordercy i pedofila. W 1989 r. za porwanie i zgwałcenie pięciu młodych dziewcząt został on skazany na 13 lat więzienia. W zakładzie karnym spędził trzy lata. Po wyjściu przyznano mu rentę państwową, a lekarze przepisywali mu kilka rodzajów środków nasennych i uspokajających, które wykorzystywał podczas kolejnych porwań. W połowie lat 90., w związku z pojawiającymi się dowodami jego przestępstw, był kilkakrotnie zatrzymywany i wypuszczany z aresztu. Ostatecznie zatrzymano Dutroux po nagłośnieniu śmierci z głodu dwóch ośmiolatek uwięzionych przez niego w jego domu w skrytce, której nie znalazła dokonująca przeszukania policja.

W śledztwie w sprawie Marka Dutroux wypłynęły nazwiska wielu wpływowych ludzi, polityków, sędziów, członków ówczesnego rządu Królestwa Belgii, policjantów i urzędników Unii Europejskiej. Podczas rozpraw dochodziło do mataczenia. Gdy w 1997 r. belgijski Sąd Najwyższy odsunął od sprawy Dutroux sędziego, który w trakcie procesu ujawnił ważne dowody na istnienie siatki pedofilskiej, Belgią wstrząsnęły protesty społeczne. Blisko 300-tys. tłum na ulicach Brukseli domagał się zmian w policji, prokuraturze i sądownictwie.

Od 1968 r. na Zachodzie mieliśmy trzy próby legalizacji pedofilii. Mniej więcej co dwie dekady testowano kolejne pokolenie. Elit i społeczeństwa. Za każdym razem ośrodki przywódcze środowisk rewolucji obyczajowej wycofywały się. Wojna cywilizacji trwa. Trwa też faktyczny sojusz między głosicielami rewolucyjnej ideologii a światem przestępczym. W Polsce cztery lata temu gwałtowną śmiercią zmarła Ewa Żarska, dziennikarka śledcza, autorka reportażu „Mała prosiła, by jej nie zabijać".

eprasa.pl 6d12520532

Warte Film Mariusza Zielkego „Bagno" o tuszowaniu pedofilii w Polsce po pięciu dniach od premiery ma 165 tys. wyświetleń. To dużo i bardzo mało.

Z filmu wynika, iż muzyk jazzowy i producent programów telewizyjnych Krzysztof Sadowski od 50 lat wykorzystywał dzieci. Gwałcił 12-letnie dziewczynki, molestował je i dokonywał innych czynów seksualnych. Po premierze prokuratura wydała oświadczenie, w którym czytamy: „tylko jeden z kilku czynów zarzucanych muzykowi nie uległ przedawnieniu", „postępowanie jest na końcowym etapie".

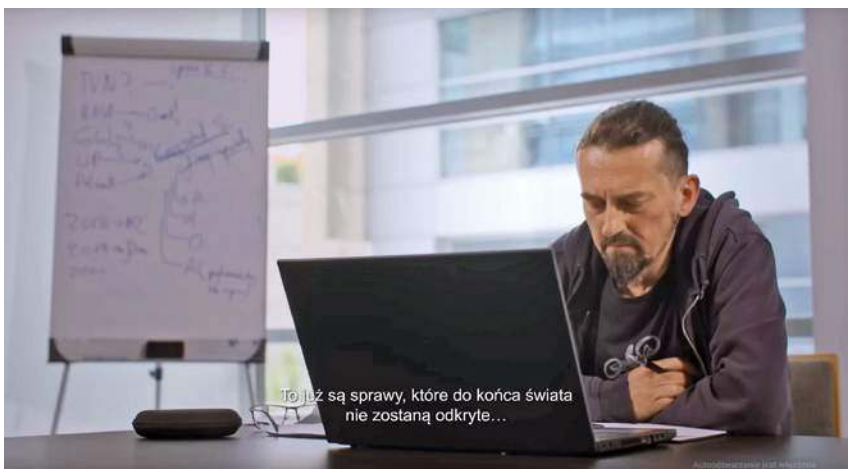

Sprawę seryjnego pedofila ujawnioną przez Zielkego w 2019 r. od samego początku próbowano zatuszować, w prokuraturze zmierzała ona do umorzenia, nie zrobiono np. żadnego przeszukania w domu oskarżonego, mimo iż z zeznań wynikało, że robił zdjęcia swoim ofiarom. Był też kilkunastomiesięczny sądowy zakaz pisania o pedofilskich czynach muzyka. Sprawa Sadowskiego znikła na kilka lat z mediów głównego nurtu i przestrzeni publicznej, potem ją umorzono. Ostatecznie w grudniu 2022 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie postawiła Sadowskiemu zarzut popełnienia przestępstwa o charakterze pedofilskim. Dziś za sprawą filmu „Bagno" sprawa powróciła.

Ilona: „Byłam posłuszna, kiedy mówił: »Przejdź do tyłu i się rozbierz...«. Potem zabierał mnie do Horteksu na Świętokrzyską, zamawiał lody Ambrozja i mówił: »Ty jesteś moją ambrozją i uwielbiam, jak oblizujesz łyżeczkę...«. Nigdy mi do głowy nie przyszło, że on to robił też innym dzieciom...". Ania: „Miałam 12 lat...". Ewa Gajda o molestowaniu: „Bardzo dużo osób wiedziało...". „Przychodził do klubów z tymi dziećmi poprzebieranymi za dorosłe kobiety. Środowisko traktowało to jako folklor...".

Jedna z ofiar mówi, że w identycznej sytuacji jak ona było kilka znanych dziś w całej Polsce wokalistek. „Wszyscy uznali, że on jest nie do sięgnięcia, że tam jest za duży syf, za dużo osób zamieszanych i umoczonych. Osób, które wiedziały, nic nie zrobiły, zaniechały. I że musieliby się narazić bardzo wielu osobom niebezpiecznym może... Wpływowym na pewno".

Oprócz Krzysztofa Sadowskiego i środowiska muzycznego w tej sprawie jest jeszcze kilku oskarżonych. Po pierwsze: liberalno-lewicowe media. Wielu dziennikarzy i redaktorów wiedziało, że w środowisku artystów jest pedofil, który krzywdzi dzieci. Czytam na jednym z portali: „Tropiciele pedofilii w Kościele odmówili udziału w reportażu o pedofilii wśród artystów". „Tylko nie mów nikomu"? Wpisuję w przeglądarkę: „pedofilia w Kościele", w czołówce wyszukiwani: rp.pl, oko.press, wikipedia.pl, wyborcza.pl, tvn24.pl, tygodnikpowszechny.pl, newsweek.pl, charaktery.pl, gazeta.pl, mapkakoscielnejpedofilii.pl, polsatnews.pl, tok.fm, polityka.pl. Wpisuję: „Zielke, »Bagno«, pedofilia", żadnego z tych mediów nie ma w pierwszej 40 wyszukanych odniesień. Również „Fakt" i „Super Express" nie chciały gorącego tematu. O pedofilię ma być oskarżony jedynie Kościół katolicki.

Kolejny wątek filmu: „mecenas od Sekielskich", czyli adwokat Artur Nowak, który z atakowania Kościoła katolickiego zrobił sobie, jak mówi jeden z rozmówców Mariusza Zielkego, źródło stałych dochodów.

Artur Nowak o Kościele: „Uważam, że ta instytucja jest po prostu szkodliwa", „Kościół to organizacja przestępcza", „Jan Paweł II jest dzisiaj postacią groteskową". „Kościół będzie jeszcze czas jakiś takim hot tematem i dlatego trzeba korzystać, i dlatego piszemy".

Z zeznań świadków wynika, że Krzysztof Sadowski zniszczył życie dziesiątkom dzieciaków. Niektóre ofiary nigdy nie podjęły ani nie podejmą normalnego życia, nie są bowiem zdolne do zdrowych relacji.

W 2003 r. ujawniono podobną sprawę. Wojciechowi Kroloppowi, dyrygentowi chłopięcego chóru z Poznania, udowodniono wykorzystywanie seksualne trzech małoletnich chłopców – wielokrotny seks oralny, analny i molestowanie. Informacje o krzywdzeniu chórzystów przez Kroloppa pojawiały się już od lat 60. Ponad 40 lat później sąd w uzasadnieniu do wyroku stwierdził, że działanie Kroloppa cechowała: „determinacja w zaspokojeniu popędu, premedytacja oraz niewyobrażalna i niedająca się zmierzyć żadnymi środkami krzywda, jaką wyrządził przestępczymi działaniami wobec swoich małoletnich podopiecznych, którzy zamiast znaleźć opiekę i ochronę w osobie oskarżonego, padli ofiarą przestępczych działań". „Sąd zwrócił też uwagę na dbałość Kroloppa o budowanie swojego nieskazitelnego wizerunku w środowisku artystycznym i politycznym Poznania".

Mariusz Zielke: Krzysztof Sadowski przez 57 lat polował na ofiary, korzystając ze statusu gwiazdy, wsparcia establishmentu i mediów. „Dlaczego Pan jest na wolności? Dlaczego Pan nie odpowiada na zarzuty?".

W filmie pada postulat, by przestępstwo pedofilii uznać za nieprzedawniającą się zbrodnię. Ratujmy dzieci. Kropla drąży skałę.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 6d12520532

Adamski

Neapolitańska dusza

„Zobaczyć Neapol i umrzeć" – cytat z Goethego został przewałkowany na wszystkie możliwe sposoby, odrywając się od swojego źródła. Leżący u podnóża Wezuwiusza Neapol od zawsze przyciągał pięknem. Przyciągał i pochłaniał, bowiem jako portowe miasto bywał siedliskiem chorób i epidemii. Wystarczy poczytać Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który znakomicie opisał wszystkie sprzeczności stolicy Kampanii. Neapol fascynuje i odpycha. Można go kochać albo nienawidzić. Bogactwo i przepych mieszają się ze skrajną biedą. Brud ulic z pięknem architektury. Błękitne morze z przytłaczającą betonową dżunglą Scampii, sportretowaną tak przenikliwie i przerażająco w „Gomorze". „Neapol to nie miasto, tylko cały świat mieniący się w tysiącach barw" – głosi stare neapolitańskie przysłowie.

„Nostalgia" Mario Martone jest na wskroś neapolitańską opowieścią, gdzie słodycz ma posmak wyjątkowo cierpkiej goryczy. Martone to jeden z najważniejszych przedstawicieli powstałej we włoskim kinie w latach 90. szkoły neapolitańskiej. Jak pisze urodzona w Neapolu znawczyni włoskiego kina Diana Dąbrowska, u przedstawicieli tego nurtu Neapol funkcjonuje w oderwaniu od Półwyspu Apenińskiego, żyje własnym czasem i wierzeniami jako autonomiczny mikroświat. „Nostalgia" jest właśnie taką opowieścią. O świecie ze swoimi własnymi regułami i zasadami. Odrębnymi i wpisanymi w DNA neapolitańczyków.

Martone idzie jeszcze dalej w ukazaniu odrębności tego świata, umieszczając akcję w oddalonej od morza i głównych arterii Neapolu dzielnicy Rione Sanità. Opanowana przez camorrę strefa jest obchodzona szerokim łukiem nawet przez mieszkańców miasta. Do dzielnicy po 40 latach nieobecności powraca Felica (Pierfrancesco Favino, znany m.in. ze „Zdrajcy" Marco Bellocchio). Felice wyjechał z Neapolu i ułożył sobie życie w Egipcie. Jest muzułmaninem, nie zapomniał jednak o mieście, które go ukształtowało. Teraz wraca do starej i schorowanej matki (przejmująca rola Aurory Quattrocchi), którą niespodziewanie musiał kiedyś opuścić. Dzielnica się nie zmieniła, co jest szokiem dla Felice. A może właśnie tego się nostalgicznie spodziewał? Ulice są rządzone przez mafię, której potrafi się postawić tylko niezłomny proboszcz lokalnej parafii (Francesco Di Leva), symbolizujący coraz mocniejszy sprzeciw włoskich duchownych wobec macek wszechobecnej mafijnej ośmiornicy. Felice chce z kolei odnaleźć przyjaciela z dzieciństwa Oreste (Tommaso Ragno). Mężczyzna stał się częścią mrocznego labiryntu bandyckiego Neapolu.

Klimatycznie sfotografowana przez Paolo Carnerę „Nostalgia" nie jest kolejną opowieścią o mafii, choć ten film wpisuje się w kalejdoskop świata rządzonego przez camorrę. Martone nakręcił neapolitańską przypowieść o utraconych marzeniach, synowskiej miłości i złudnej sile nostalgii. Favino tworzy wielowymiarową postać człowieka wydającego się mieć wszystko. Ma gotową podążać za nim egipską miłość życia, czuje budującą jego wewnętrzny balans religię (odmawia nawet szklaneczki wina, co dla Włocha jest przecież świętokradztwem) i przed śmiercią matki odkupuje winy syna, który ją porzucił. A jednak nie potrafi oprzeć się mrocznemu magnetyzmowi Neapolu. Miasta skażonego wirusem przemocy, praw ulicy i wszechobecnej wendety. Miasta, z którego objęć nie wyrwał się mimo czterech dekad spędzonych na innym kontynencie. Miasta, które najpierw olśniewa, a potem zabija przybysza. No, ale on nie jest przybyszem. On jest neapolitańczykiem wierzącym w to, że oswoi bestię. Czy jednak da się oswoić miasto żyjące w cieniu wulkanu, który wciąż go nie zabił?

„NOSTALGIA" FILM W KINACH

Fot. Gutek Film

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Zapnij pasy

Nie jestem wielkim fanem binge-watchingu (oglądania za jednym razem kilku albo kilkunastu odcinków serialu), ale chciałbym chyba doświadczyć w taki sposób seansu „W powietrzu". Serial ma siedem odcinków. Tyle, ile trwa lot z Dubaju do Londynu, który zostaje porwany przez terrorystów. Apple TV+ na razie dał nam trzy odcinki pokazujące, że klimat pierwszych sezonów „24 godziny" z Kieferem Sutherlandem jeszcze gdzieś żyje i ma się dobrze. Czy Idris Elba jest nowym wcieleniem Jacka Bauera?

Nie, choć charyzmę ma nie mniejszą, co przecież udowodnił nie tylko kultową już rolą inspektora Luthera w mrocznym klasyku BBC. Tym razem Brytyjczyk, który był przymierzany do pierwszego czarnoskórego Bonda, wciela się w Sama Nelsona – negocjatora wielkich korporacji, który znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie. A może właśnie jest to najbardziej odpowiednia pora dla człowieka o jego profesji? Zaczyna się z nutą politycznej poprawności – na szczęście nie przeszkadza ona na tyle, by odrzucać ten naprawdę świetnie skonstruowany thriller. Brytyjczycy porywający samolot lecący z arabskiego kraju to raczej nie jest rzeczywistość, do której świat po zamachu 11 września 2001 r. nas przyzwyczaił, nieprawdaż? Nie wiemy w pierwszych trzech odcinkach, dlaczego grupa białych (no prawie, bo jest wśród nich jeden czarnoskóry i kobieta) Europejczyków porywa samolot. Nie jest to typowe porwanie, bowiem terroryści robią wszystko, by nikt za wcześnie nie dowiedział się, że maszyna wpadła w ich ręce. Jedynym, który w ostatniej chwili przed wyłączeniem na pokładzie wi-fi zdążył wysłać wiadomość o sytuacji, jest Sam Nelson. Jest zdeterminowany, by wrócić do domu, gdzie chce naprawić swoje rozpadające się małżeństwo i spotkać się z dorastającym synem. Dlatego podejmuje z porywaczami skomplikowaną psychologiczną grę, którą nieraz stosował w wielkim biznesie.

Fot. Apple TV

Cała akcja serialu utrzymuje się na barkach charyzmy Idrisa Elby, który musi nas przekonać, że potrafi zmanipulować i nakłonić do swoich racji każdego. Od irytującego pasażera, który przed startem głośno gra na telefonie, aż po wyjątkowo zdeterminowanych porywaczy samolotu w erze po 11 września. Elba jest w tej roli znakomity. Łączy twardzielstwo ikon kina akcji lat 80. z bohaterem nowego typu, który zamiast mięśni używa umysłu i jest wrażliwym ojcem. Ciekawie są też zarysowane postacie innych pasażerów. Mamy pastora i jego przerażoną żonę, uczennice, które odkrywając w łazience łuskę od pistoletu, przyspieszają plany porywaczy na wyjęcie broni, wielodzietną rodzinę i pilotów, którzy również mają solidnie nakreślony portret psychologiczny. Jest dwóch mężczyzn, chcących jak pasażerowie słynnego lotu 93, którzy ocalili 11 września Biały Dom, stawić czoła porywaczom. Nelson spokojnie im tłumaczy, jak w przypadku tego porwania bohaterski czyn Amerykanów lecących tamtym lotem jest szkodliwy.

Niejednoznaczna i tajemnicza postać grana przez Elbę czyni „W powietrzu" czymś oryginalnym w bardzo przecież popularnym podgatunku filmowym, jakim jest kino o podniebnym terroryzmie. Jest to też dobrze napisany i wyreżyserowany serial, którego autorzy (m.in. współtwórcy netflixowego „Lupina") znają prawidła takiego rodzaju kina i odpowiednio ich używają. Serial ma swoją rytmikę, tempo i odpowiednio dawkowane emocje. Nie jest przeładowany pobocznymi wątkami, drugoplanowe postacie nie przytłaczają głównej gwiazdy spektaklu (przypominam, że oceniam po trzech odcinkach), a twisty akcji nie są odklejone od realizmu, który nawet w kinie akcji ma swoje ramy.

Dla fanów charyzmatycznego Idrisa Elby jest to pozycja obowiązkowa. A dla reszty? Ja na kolejne odcinki czekam z niecierpliwością, ale można też spróbować przeżyć ten dramatyczny siedmiogodzinny lot w skali niemal 1:1, po tym jak Apple wrzuci na platformę wszystkie siedem epizodów. Tak czy siak zapnijcie mocno pasy. Nie tylko przez (nie)spodziewane turbulencje. To nie taki rodzaj show.

„W POWIETRZU"
SERIAL DOSTĘPNY NA APPLE TV+

eprasa.pl 6d12520532

Inwestycje w budownictwie infrastruktural

Jak zapewnić rozwój sektora budowlanego w czasach zawirowań gospodarczych spowodowanych wojną na Ukrainie? Wyzwań jest bardzo dużo, jednak mimo pandemii, a teraz konfliktu zbrojnego Polsce do tej pory udaje się zachować w miarę stabilną sytuację w budownictwie. Jak co roku w ramach Forum wGospodarce.pl redakcja ekonomiczna Grupy Medialnej Fratria przeprowadziła debatę między liderami firm i administracji rządowej na temat najważniejszych wyzwań i priorytetów w jednym z kluczowych sektorów polskiej gospodarki – w branży budowlanej

Wiceminister infrastruktury Rafał Weber na wstępie przedstawił działania rządu w ostatnich latach. Kluczowe programy, jak Rządowy Program Budowy Dróg Krajowych, Program Wzmocnienia Krajowej Sieci Drogowej, Program Budowy 100 Obwodnic czy Krajowy Program Kolejowy oraz inne, mniejsze programy, jak Program Bezpiecznej Infrastruktury Drogowej czy Program Inwestycji Dworcowych, przekładają się na konkretne liczby, które robią wrażenie.

Między 2015 a 2022 r. zakończono 157 inwestycji z Rządowego Programu Budowy Dróg Krajowych. To przełożyło się na 2041 km nowych odcinków, głównie tras szybkiego ruchu, o wartości 75 mld zł. W realizacji jest 78 zadań o wartości 62 mld zł, a 10 kolejnych zadań jest na etapie przetargów. Jeśli chodzi o wartość Krajowego Programu Kolejowego, to wzrosła ona z 67,5 do 99 mld zł. Na etapie realizacji są projekty o wartości 40 mld zł. 40 proc. inwestycji z całego programu zostało zakończone. Zostało zmodernizowanych lub zbudowanych 7600 km torów.

Jak zaznaczył minister Weber, polski rząd nie ustaje w walce z wykluczeniem komunikacyjnym małych miast. Krajowy Program Kolejowy jest dokumentem, w którym zawarto ponad 240 kolejowych projektów inwestycyjnych. Ostatnie lata to nowe połączenia kolejowe dla wielu mniejszych miast, jak np. Lubin, Kozienice, Milicz czy Mielec. Również z tego powodu 2022 r. był rekordowy dla kolei pod względem liczby przewiezionych pasażerów.

– W ostatnich latach mieliśmy do czynienia z dwoma zjawiskami, które mogły wpłynąć na prowadzone inwestycje.

Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6d12520532

nym – najważniejsze wyzwania i priorytety

Mowa zarówno o pandemii koronawirusa, jak i trwającym nadal bezpardonowym ataku Rosji na Ukrainę. Na szczęście te zjawiska nie przysporzyły długofalowych problemów Polsce, choć oczywiście były wyzwaniami. Nie zastopowały kluczowych inwestycji. Pragnę też podkreślić, że nie będziemy modyfikować naszych programów inwestycyjnych. Oznacza to, że obecny rząd nie zamierza zmniejszać czy rezygnować z programów, które już zostały przyjęte. Mamy na nie zapewnione odpowiednie środki finansowe. Chcę to potwierdzić, patrząc prosto w oczy przedstawicielom branży – zapewniał.

Minister odniósł się także do tego, jaki wpływ na rozwój sektora budowlanego będzie mieć nowa perspektywa finansowa Unii Europejskiej i koncentracja na koncepcji Zielonego Ładu. W jego ocenie wiemy, jak nie zaprzepaścić tej szansy, lecz podkreślił też, że nie wszystko złoto, co się świeci, i nie na każdy obszar transformacji należy patrzeć z huraoptymizmem. – Koncepcja Zielonego Ładu jest pewną zagadką. Są tam kwestie, które można ocenić pozytywnie. Mowa m.in. o planowanych środkach na czysty transport. Takich rozwiązań nikt nie będzie kwestionował, ale są też pomysły oderwane od rzeczywistości, związane z pakietem Fit for 55 – czyli choćby zakazu sprzedaży aut spalinowych od 2035 r. Nie po to obecnie inwestujemy w rozwój infrastruktury w Polsce, by takimi ortodoksyjnymi działaniami tworzyć deficyty, jeżeli chodzi o rynek pojazdów osobowych. W zasadzie doprowadziłoby to mniej zamożne społeczeństwo do wykluczenia i ubóstwa komunikacyjnego. Mam nadzieję, że ta część pakietu zostanie wyeliminowana. Rozumiemy ambitne cele klimatyczne, ale nie mogą być one realizowane kosztem podstawowej zasobności europejskiego społeczeństwa – skomentował Weber.

RZĄD ZDAŁ EGZAMIN

Przedstawiciele branży budowlanej, obecni podczas debaty, podkreślali, że w momencie kryzysowym – gdy w czasie pandemii i na początku wojny nastąpiły szok, problemy z łańcuchami dostaw oraz cenami energii i materiałów budowlanych – państwo polskie i obecny rząd wyśmienicie zdały egzamin, intensywnie rozmawiając z rynkiem, znajdując rozwiązania dla nagłych i palących niedogodności, dzięki czemu budowy w Polsce oraz branża budowlana nie upadły. – Wydarzenia z 24 lutego 2022 r. były dla nas wszystkich szokiem, sytuację na rynku budowlanym udało się, przynajmniej w tym pierwszym okresie, częściowo opanować. Inwestycje były dalej realizowane, a niektóre ulokowane na Ukrainie zamówienia, takie jak np. konstrukcje stalowe, udało się przekierować w inne miejsca. Dużo było niepewności dotyczących

eprasa.pl 6d12520532

przerwania łańcucha dostaw czy powrotu pracowników na Ukrainę. Długofalowym efektem wojny jest bardzo wysoka inflacja, której nikt się nie spodziewał – ani strona publiczna, ani prywatna. Jak patrzymy na prognozy, które były przed wybuchem wojny, to kompletnie odbiegają one od obecnych odczytów – przyznał ***prezes Strabagu Wojciech Trojanowski***.

W tym miejscu zwrócił uwagę na warunki i wskaźniki waloryzacyjne dotyczące realizacji kontraktów. – Bardzo doceniamy podniesienie limitu waloryzacyjnego z 5 do 10 proc. Był to krok w dobrym kierunku, jednak obecnie już niewystarczający. Dlatego ponownie należy usiąść do stołu, by kontynuować rozmowy w tak ważnym dla branży temacie. Uważamy, że wskaźnik waloryzacyjny powinien wynosić obecnie 20 proc. To, że inflacja została ograniczona, nie oznacza, że ceny przestały rosnąć. Ona bardzo nas dotyka – wszystkich naszych dostawców, podwykonawców czy pracowników. Inaczej patrzę na kontrakty zawierane już po gwałtownych podwyżkach cen. Przed wojną kontrakty były podpisywane w zupełnie innych realiach, w całkowicie odmiennych warunkach ekonomicznych – stwierdził Wojciech Trojanowski.

– Obecnie zaczynają się pojawiać nowe problemy, jak np. długie terminy wydawania decyzji ZRID oraz związane z tym opóźnienia w realizacjach inwestycji. Z wyliczeń Strabagu wynika, że przy każdym dużym przetargu czas potrzebny na załatwienie tej kwestii wynosi średnio ok. 200 dni. W tym czasie ceny materiałów także ulegają zmianom. Inflacja zapewne będzie wysoka jeszcze parę lat i musimy z tym żyć. Powinniśmy więc także znaleźć formułę, która na to odpowie, bo to nie jest nasza wina. Poradziliśmy sobie z tematami bezpośrednio związanymi z wojną, ale temat inflacji będzie trwać w gospodarce kilka lat, a wiemy, że stabilności nie ma. Kolejnych rozwiązań nie unikniemy. Nie mówimy, że te kontrakty są kompletnie nie do zrealizowania. Jednak przy tych warunkach nie są dla nas rentowne. Nie czujemy się w żaden sposób odpowiedzialni za taką sytuację i nie winimy inwestora. Wojna zmieniła wiele aspektów życia, także te. Potrzebujemy wsparcia, najprostsze to podniesienie limitów waloryzacyjnych – podkreślił Wojciech Trojanowski.

Jak ocenił prezes Strabagu, w ostatnich latach przy realizacji kontraktów udało się przejść z modelu „buduj" do modelu „projektuj i buduj". I choć na świecie jest rzadziej spotykany, to w Polsce zaczął działać dobrze i przyspieszył najważniejsze inwestycje infrastrukturalne. Pozwala to na skuteczniejsze zagospodarowywanie środków unijnych, ale przenosi część ryzyk inwestorskich na wykonawców. Odpowiedzią na to powinny być chociażby zwiększone limity waloryzacji. – Jednocześnie borykamy się z coraz większym problemem związanym z dostępnością kadry. Branża ma coraz większe problemy z pracownikami i zachęcaniem ludzi do pracy. Musimy odejść od wizerunku prostego budowlańca, stanie się to także wtedy, kiedy będziemy płacić pracownikom przynajmniej tyle, co w przemyśle. Będzie to możliwe, gdy pozwolą nam na to warunki kontraktowe. Musimy być w stanie zapłacić za pracę ludzką, szczególnie osobom wchodzącym na rynek pracy, by ich zmotywować. Problem demograficzny szybko narasta. Mamy coraz mniej ludzi do pracy. W interesie inwestorów jest to, by to zmienić. Odpowiadamy za 10 proc. PKB, podczas pandemii to była jedna z niewielu branż, które ciągle pracowała. Dodam, że branża budowlana jest ważnym elementem gospodarki i ciekawym miejscem do pracy – zwrócił uwagę Wojciech Trojanowski.

BĄDŹMY PRZYTOMNI

Podobnie ***prezes PORR Piotr Kledzik*** zauważył, że branża budowlana zmaga się z bardzo wysokimi kosztami, a jednocześnie z niskim poziomem interesujących ofert na rynku. Rozpisane w przetargach publicznych koszty nie uwzględniają obecnych cen, a te nadal rosną. Jak ocenia branża, brak zmiany poziomu kosztów w przetargach publicznych to gra na czas, wymierzona na uspokojenie się sytuacji oraz spadek cen, gdy wojna na Ukrainie się już skończy. Jak oceniono, już się przeliczono z tym dostatecznie. A widać to nie po liczbie ogłaszanych przetargów, ale po coraz mniejszej liczbie ich rozstrzygnięć.

– Cieszę się, że pan minister zadeklarował dzisiaj gotowość do dalszej współpracy, ponieważ mamy wiele do zrobienia. Firmy straciły cierpliwość i odbywają się „skoki do pustego basenu". W niektórych przetargach ci mniejsi gracze zostają np. 30 proc. za liderami. Wszystkim wtedy muszą zacząć zapalać się czerwone światła. Takie sytuacje powinny być dla nas sygnałem ostrzegawczym przed potencjalnymi problemami, które za pewien czas się wygenerują i które będziemy musieli rozwiązywać. Zgadzam się także, że musimy wrócić do stołu, ale jednocześnie nie w takim tempie, jak to miało miejsce ostatnio. Teraz jest czas, by spokojnie dyskutować nad systemem, który nie odpowiada obecnej sytuacji. OK, jest lepszy niż poprzednio, ale dalej powinniśmy o nim rozmawiać – podkreślił Kledzik. – Obecnym problemem jest zachwianie w podaży projektów. Kontraktów – szczególnie kolejowych – jest za mało. System aukcyjny, który wciąż jest stosowany na kolei, jest nie fair wobec dużych, normalnie działających przedsiębiorstw – dodał.

Kledzik odniósł się jeszcze do planów ekologicznych Unii Europejskiej, na które zwrócił uwagę minister Weber na początku dyskusji. – Świetnie dostosowujemy się do różnych warunków. Mamy pełny potencjał do tego, by realizować

eprasa.pl 6d12520532

unijne inwestycje w bardzo dobry sposób. Kilka razy już słyszałem, że jesteśmy nieprzygotowani, tymczasem te inwestycje są w świetnej kondycji, podczas gdy w wielu innych krajach są zatrzymane. Nie ma odwrotu od Zielonego Ładu, uważam, że powinniśmy podążać w jego kierunku. Ale jednocześnie zgadzam się, gdy słyszę głos „bądźmy przytomni". Zgadzam się również z tym, że powinniśmy walczyć o ważne dla nas kwestie. Koniec końców pieniądze to pieniądze, jak będzie trzeba, to zbudujemy zielone drogi – stwierdził.

CORAZ WIĘCEJ… KOREI

Na jeszcze inny problem wskazywał ***prezes firmy Unibep Dariusz Blocher***. Jak ocenia, polskie firmy coraz większy problem widzą w tym, że do przetargów startuje coraz więcej zagranicznych firm budowlanych, nawet pochodzących z krajów takich jak Korea czy Chiny. – Powinniśmy mocno ograniczyć polski rynek dla firm zewnętrznych, które nie dają nam ekwiwalentnych możliwości inwestycyjnych na ich własnych rynkach – ocenił Dariusz Blocher. – Ogólnie jako branża zazwyczaj widzimy szklankę do połowy pustą. Stąd w naszych wypowiedziach jest sporo pesymizmu. Z takimi zjawiskami jak koronawirus czy wojna nie możemy za wiele zrobić oprócz dostosowania się. Ale szczególnie istotne są warunki, o których rozmawiamy. Waloryzacja cen, optymalność terminu wykonania zamówienia, przewidywalność – przyznaję, że w tej kwestii bardzo dużo się nauczyliśmy. Ale świat się tak szybko zmienia, że musimy iść do przodu, a nie myśleć nad tym, co już się wydarzyło. Boimy się dostępności do rynku finansowego. Firmy ze *stricte* polskim kapitałem mają relatywnie małe doświadczenie w zarządzaniu biznesem budowlanym. Przy nawet drobnych pomyłkach powstają gigantyczne wpadki. Te firmy powinny mieć łatwiejszy dostęp do gwarancji bankowych, z którymi także powoli mamy problem. Finansowanie kontraktów będzie wyzwaniem – podkreślił.

Jak przyznają przedstawiciele branży, w momencie gdy rozpocznie się odbudowa Ukrainy, w Polsce faktycznie mogą stanąć budowy. – Zakładając scenariusz pozytywny – Polska musi znaleźć rozwiązanie, by nasze firmy znalazły się w łańcuchu dostaw i miały istotne przewagi konkurencyjne w porównaniu z przedsiębiorstwami z innych państw. Jeżeli zostanie to dobrze rozegrane przez Ukrainę, to polskie budownictwo będzie miało duży problem. Nie będziemy mieli wystarczająco dużo pracowników, materiałów, gdyż firmy pójdą na Ukrainę Ważne jest, byśmy o tym nie zapominali – podkreślił Blocher.

Stwierdził też, że temat demografii już teraz jest bolesny i będzie tylko narastał. W jego ocenie już teraz powinniśmy dopracować rozwiązanie – kogo i z jakich krajów chcemy sprowadzać. – Jeśli tego nie zrobimy, to albo w ogóle nie będziemy mieli dostatecznej liczy pracowników w branży budowlanej, albo będą się oni pojawiać w Polsce w sposób niekontrolowany – dodał prezes Unibepu.

– Jestem umiarkowanym sceptykiem, jeśli chodzi o rynek i dużą ekspansję polskich firm. Nie chcę powiedzieć, że nie, bo to się tak czy siak wydarzy. Ale musimy mocno popracować nad modelem tego rynku. Jest obecnie absolutnie różny od naszego i trudno będzie się nam dostosować. Jeżeli chodzi o pracowników, to spora część Ukraińców oczywiście wróci do siebie po wojnie i będziemy mieli nowy problem z zasobami ludzkimi. Na dzisiaj nie mamy pewności, w jakiej skali się to odbędzie. Na pewno ten element nie będzie sprzyjał polskiemu rynkowi, a z jego skalą musimy sobie poradzić – dodał prezes PORR Piotr Kledzik.

W tym miejscu prezes Kledzik zwrócił także uwagę na dostępność kadr. – Jeżeli szybko nie zmienimy postrzegania budownictwa w kraju, to będziemy mieli coraz większe trudności z pozyskaniem pracowników. Kadra mi się starzeje, nowego majstra muszę sam sobie wykształcić. Ten młody człowiek dzisiaj mówi: „Majster – to mi się źle kojarzy". Musimy przekonać nasze potencjalne młode kadry do tego, że budownictwo jest dobrym i ciekawym miejscem pracy. Jeśli nie odbudujemy etosu budowlańca, to zderzymy się z rosnącym problemem.

Minister Rafał Weber, podsumowując dyskusję, zwrócił uwagę, że problem pracowników dotyczy nie tylko branży budowlanej, a w tej chwili pojawia się kolejne wyzwanie, związane ze sprowadzaniem ich z innych krajów do Polski. – 10, 15 lat temu rzeczywiście mieliśmy problemy z wysokim bezrobociem i rynkiem pracodawcy. Obecnie w zasadzie nie ma zawodów, w których przedsiębiorcy mogą wybierać pracowników. Oznacza to, że rynek w ostatnich latach był bardzo chłonny i jest co robić. Powstają nowe podmioty i powoli zbliżamy się w tej kwestii do Europy Zachodniej, gdzie ci najwięksi musieli posiłkować się pracownikami z innych państw. Teraz taka dyskusja trwa także w Polsce. Ludzie, którzy rzeczywiście przyjadą z zamiarem podjęcia pracy w naszym kraju, będą weryfikowani i po przejściu procedur związanych z bezpieczeństwem zostaną dopuszczeni do rynku. Skorzysta na tym również branża budowlana – zaznaczył.

Uczestnicy debaty zgodnie zaznaczali, że pozwoliła ona bardzo zaktualizować obustronne rozumienie obecnych wyzwań, a także że konieczny będzie dalszy dialog strony prywatnej z publiczną. Dlatego minister Weber zaznaczył, że czeka na dalsze propozycje różnych rozwiązań. Zaprosił przedstawicieli branży budowlanej do kolejnych rozmów w kwestii wyzwań i problemów.

Oprac. Maksymilian Wysocki, Kamil Gieroba

eprasa.pl 6d12520532

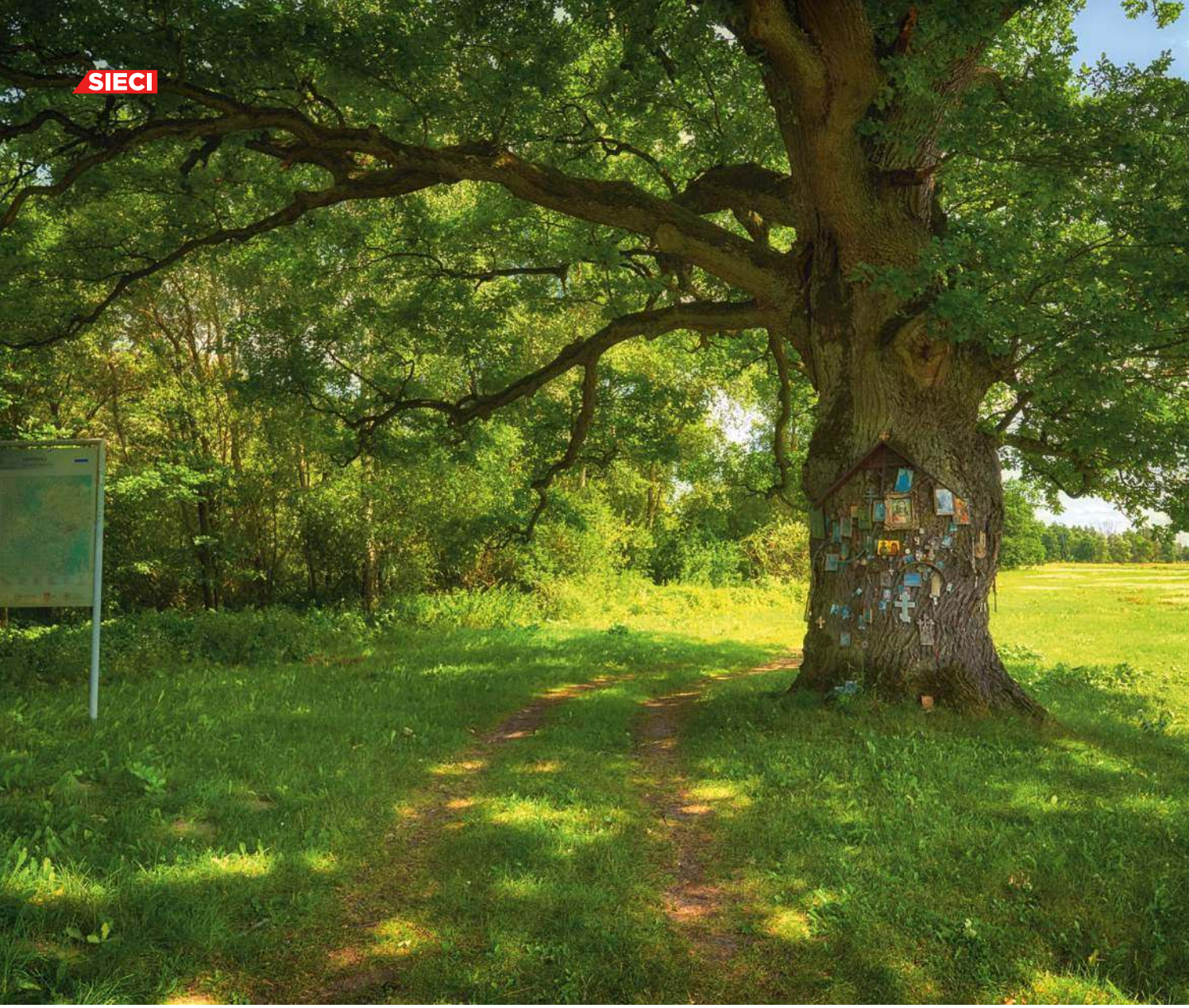

Fakty i mity na temat Lasów Państwowych

część 2

Polska jest w europejskiej czołówce, jeśli chodzi o powierzchnię lasów. Wynosi ona ponad 9,2 mln ha. Większością zarządza Państwowe Gospodarstwo Leśne „Lasy Państwowe". Polska organizacja zarządzająca lasami należącymi do skarbu państwa jest największa w całej Unii Europejskiej

Artykuł sponsorowany | 39/0623/F

eprasa.pl 6d12520532

Wokół Lasów Państwowych narosło wiele mitów, lansowanych i powielanych m.in. w mediach społecznościowych. W pierwszej części sprawdziliśmy sześć mitów dotyczących pracy leśników. Dziś w części drugiej rozwiewamy kolejne pięć mitów na temat Lasów Państwowych.

MIT 1

W Polsce jest prowadzona rabunkowa gospodarka drzewna, a polskie drewno jest eksportowane w większej skali, niż podają Lasy Państwowe. Leśnicy celowo podbijają ceny, by więcej zarabiać.

FAKT. Kilkanaście lat temu poziom pozyskiwania drewna sięgał 30 mln m³, obecnie dochodzi do 40 mln. To naukowo zaplanowany wzrost wynikający z nieustannie rosnącego potencjału i zasobności drzewostanów, ponieważ pozyskuje się jedynie ok. 70 proc. tego, co urośnie w ciągu roku.

Drewno pozyskuje się w ilościach ściśle określonych w 10-letnich planach, które są opracowywane przez ekspertów i zatwierdzane przez rząd. Na limity zawarte w planach nie mają wpływu zmiany cen i popytu na drewno ani w Polsce, ani za granicą.

Lasy Państwowe same nie eksportują ani nie mają żadnego wpływu na eksport już sprzedanego drewna. Nie prowadzą także ewidencji eksportu. To zadanie izb celno-skarbowych i organów administracji państwowej nadzorującej obrót handlowy. Drewno jest sprzedawane w znaczącej większości stałym odbiorcom na podstawie długoterminowych kontraktów ze stałą ceną. O cenie drewna sprzedawanego na wolnych aukcjach decydują nie leśnicy, tylko kupujący, czyli branża drzewna. To ona odpowiada za wielkość eksportu i to ona sama winduje cenę drewna.

Lasy Państwowe dostarczają surowiec na rynek w stałych, przewidzianych w 10-letnich planach wielkościach, zgodnie z zasadami zrównoważonej gospodarki. Zwiększenie podaży, czyli zwiększenie pozyskania drewna, zagroziłoby istnieniu polskich lasów i nigdy nie będzie na to zgody leśników. Las rośnie bowiem w swoim niezmiennym tempie i nie da się go przyspieszyć.

MIT 2

Masowo wycina się podmiejskie lasy, parki krajobrazowe i rezerwaty. Lasy Państwowe tną drzewa nawet w odwiecznych puszczach!

FAKT. Obszary chronione nigdy nie oznaczały ani nie będą oznaczać braku w nich ingerencji człowieka. Przeciwnie, nawet w puszczach zawsze prowadziło się prace związane z ochroną czy usuwaniem zagrożeń. Rezerwaty są objęte planami czynnej ochrony, a pozyskane tam drewno najczęściej jest pozostawiane do naturalnego rozkładu.

MIT 3

Leśnicy wycinają pomniki przyrody i drzewa o wymiarach pomnikowych!

FAKT. Drzewo będące pomnikiem przyrody jest objęte bezwzględną ochroną, a jego wycięcie jest przestępstwem. Żaden leśnik nigdy tego nie zrobi. Wymiary pomnikowe są tylko określonymi w przepisach wartościami, warunkującymi uznanie drzewa za potencjalny pomnik przyrody. Takich drzew są miliony. Tylko pojedyncze przypadki, które muszą mieć dodatkowe wyjątkowe wartości przyrodnicze, są uznawane przez specjalne komisje za pomniki przyrody. Wymiary pomnikowe osiągają drzewa wielu gatunków, które są pozyskiwane w ramach normalnej gospodarki leśnej. Innymi słowy – drzewo musi osiągnąć wielkość, która jest najkorzystniejsza dla przemysłu, i dopiero wtedy się je pozyskuje. Nie zagraża to ani polskim lasom, ani pomnikom przyrody.

MIT 4

Lasy Państwowe zacierają ręce po wichurach – leżące drzewo jest pozyskiwane poza planem jako bonus.

FAKT. Na terenach dotkniętych kataklizmem pozyskanie drzew przewidzianych w danym 10-leciu zostaje wstrzymane, a ich miejsce zastępuje surowiec z uszkodzonych terenów. Nie ma mowy o dodatkowych dochodach. Przeciwnie, to dodatkowy koszt. Lasy Państwowe z własnych środków porządkują tereny dotknięte klęską i dokonują interwencyjnych zalesień. Kosztuje to wielokrotnie więcej niż planowe pozyskanie drewna.

MIT 5

Opublikowana przez jedną z fundacji czerwona mapa pokazuje prawdziwą skalę wycinek. Czerwona jest prawie cała Polska.

FAKT. Mapa rzeczywiście obrazuje obszar cięć pielęgnacyjnych i odnowieniowych, czyli takich, na których będzie wprowadzane nowe pokolenie lasu, ale jest manipulacją. Na czerwono zaznaczono całą powierzchnię, tymczasem w rzeczywistości dokonuje się tam cięć jedynie na nielicznych fragmentach tych powierzchni. Okres przebudowy tych drzewostanów jest zaplanowany często na kilkadziesiąt lat. Równie dobrze można by pokazać mapę z zaznaczonymi na czerwono wszystkimi lasami w Polsce.

Lucjan Dereń

Lasy Państwowe

Fot. PhotopankPL/Shutterstock.com

eprasa.pl 6d12520532

TOSKANIA OPISYWANA OD KUCHNI I ZZA STOŁU PRZEZ KS. WITOLDA KAWECKIEGO

Pora coś zjeść

Bywa, że bohater jest tak intrygująco przedstawiany i prowadzony przez autora, że skupia na sobie całą uwagę. To przypadek krainy opisanej w przebogatym w treści i obrazy przewodniku „Toskania, jakiej nie znacie" (Wyd. Jedność). Autor jest tu wyrazisty i obecny, ale jednocześnie ustępuje miejsca swojej bohaterce. Przemierza jej szlaki, przywołuje przykłady definiujące ją sztuki i rozsmakowuje czytelników w jej kuchni. Ten ostatni wątek wart jest samodzielnego przedstawienia. Oto kilka fragmentów pokazujących, jak można wkraść się do serca (i kubków smakowych) czytelnika.

„Pora coś zjeść. Lekkiego, z toskańskiej kuchni, na typowy lunch. Najlepiej pappa al pomodoro, tj. tutejszą zupę pomidorową, prostą i niesamowicie pyszną. Składa się ona z pomidorów, bazylii, oleju, soli i pieprzu oraz toskańskiego chleba, oczywiście bez soli. Jest smaczny, tylko trzeba się do niego przyzwyczaić. Można także spróbować trippa alla Fiorentina, czyli flaków po florencku. Mięso pokrojone w paski przyrządza się z sosem z oliwy i cebuli, do którego dodaje się też marchewkę, pietruszkę i seler. Następnie gotuje się wszystko przez kilka godzin, aż flaki staną się bardzo miękkie, a na końcu serwuje danie na talerzu, oprószone tartym parmezanem. Proponuję też, zwłaszcza miłośnikom kuchni wegańskiej, ribollitę, czyli toskańską zupę fasolową. To nie jest wyszukane danie: czarna kapusta, fasola, toskański chleb – to jej podstawowe składniki – typowego wiejskiego dania z okolic Florencji. Może być wielokrotnie odgrzewana i podawana nawet przez kilka kolejnych dni. Smaczna, zdrowa i tania. A mówią, że Włosi nie jedzą zup!".

W innym miejscu autor pisze: „Kuchnia toskańska jest ceniona za swoją prostotę, a także smak. Ja zamawiam tagliatelle z gęstym sosem z cinghiale, czyli z dzika. Sos jest przepyszny. Pienza słynie z każdego rodzaju sera – każdego można tu spróbować. Zawija się go w liście orzecha włoskiego, nadającego serowi znakomity, nieco ziemisty smak, albo w liście winogron, zyskując wtedy lekko owocowy smak oraz zapach. Najbardziej znaną i ekskluzywną odmianą sera w mieście jest oczywiście pecorino, a dokładniej pecorino di fossa. Ten ser owija się słomą i trawą, a później trzyma się go w jaskiniach lub wykopanych w ziemi zagłębieniach – przez wiele lat! Najlepszym serem, produkowanym z owczego mleka jest z kolei pecorino di Pienza. Wszystkie rodzaje serów najlepiej degustować z ciężkimi toskańskimi winami: brunello di Montalcino, chianti czy vino nobile di Montepulciano".

Albo taka smakowita relacja: „Zmęczony długim wędrowaniem [...], usiadłem wieczorem w restauracji L'Osteria del Conte, aby zjeść coś toskańskiego. Na przystawkę zamówiłem mieszankę bruschetty ze świeżymi pomidorami, czosnkiem i pastą z wątróbki. Jako pierwsze danie wziąłem pici al ragù, czyli lokalny makaron domowej roboty w sosie z wołowiny. Jestem osobiście fanem włoskiej pasty, więc smakuje mi ona w każdej postaci. Daniem zasadniczym nie była powszechna w tym mieście wieprzowina, lecz cudowny stek – bistecca alla fiorentina – najpopularniejszy wołowy befsztyk florencki z kością, główne danie mięsne kuchni florenckiej, niemniej podawany w całej Toskanii. [...] Zaserwowano mi zatem kawał dojrzałego wołowego mięsa z kością, niezbyt tłustego, dojrzewającego co najmniej 14 dni [...]. Cóż powiedzieć – niebo w ustach. Do tego oczywiście tutejsze wino, najlepsze jakie może być, nobile di Montepulciano, z winorośli sangiovese. Na deser nie było już miejsca, ale na espresso wieńczące kolację – jak najbardziej tak".

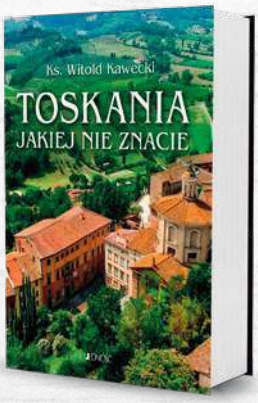

Wybrała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 6d12520532

SŁODKO-SŁONY

Najlepsze lody

ANNA MONICKA

Kumpel męża, zatwardziały stary kawaler, po powrocie z emigracji zamieszkał w małym miasteczku u podnóża Śnieżki. Gdy żył za granicą, imał się różnych zajęć, od malowania parkanów po opiekę nad staruszkami. Parę lat spędził też w restauracji, ale nie na zmywaku, tylko w kuchni, gdzie pewien Pakistańczyk nauczył go gotować i pokazał, do czego służą przyprawy, a także jak zrobić coś pysznego z prostych składników.

Gdy dotarłyśmy na miejsce, zmęczone, bo po drodze posnułyśmy się trochę po Wrocławiu, czekał na nas z pysznymi lodami, które robi z wielkim zapałem. Odżywia się bowiem zdrowo, gardzi gotowymi produktami, zbiera w lesie zioła, kwiaty i młode pędy drzew (traktuje je jako witaminy), od myśliwych kupuje dziczyznę (bo to jedyne niezatrute mięso), od zaprzyjaźnionego pszczelarza dostaje miód, od sprawdzonego rolnika jajka i mleko. Nic więc dziwnego, że swój ulubiony deser woli sobie przygotowywać sam, bo nawet jeśli zapomni go przemieszać w zamrażalniku i krem się ciut rozwarstwi, to i tak będzie lepszy niż sklepowy.

Ponieważ podstawą lodów jest kogel-mogel, są naprawdę solidnym daniem, które w moim przypadku zastąpiło późny obiad.

My jadłyśmy lody kawowe, ale wcześniej zostały też zmiksowane truskawkowe i mangowe. Przepis jest bardzo prosty. Podstawą są dobre jajka, śmietanka 36-proc. i cukier. Jajka trzeba wyszorować i sparzyć, a potem oddzielić żółtka od białek. 10 żółtek ucieramy na puch z cukrem, a śmietanę i białka porządnie ubijamy (każde osobno i uważamy, żeby kremówka nie zamieniła się nagle w słodkie masło). W blenderze miksujemy mango i truskawki, masę jajeczną dzielimy na pół i dodajemy do jednej części pomarańczową pulpę, do drugiej różową. Przelewamy albo do specjalnych sylikonowych pojemników, albo do pucharków lub płaskich korytek, najlepiej z hartowanego szkła. Wstawiamy na noc do zamrażalnika. Warto ze dwa razy szybko zamieszać widelcem, żeby pianka rozkładała się równomiernie po całej lodowej masie. Taki deser doskonale smakuje, jeśli podamy go z naleśnikami, racuchami czy ciastem. Do kogla-mogla można dodać wanilię, cynamon, tarty kardamon lub kawę rozpuszczalną albo wiórki czekoladowe czy kokosowe, ale wtedy już bez owoców.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Wielkie sprzątanie

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jeżdżę często rowerem wzdłuż rzeki. W ogóle lubię jeździć rowerem wzdłuż rzek. I turystycznie, dla przyjemności, i jeżeli mam przemieścić się z punku A do punktu B – jeżeli tylko się da, wybieram trasę wzdłuż rzeki. Czasem jest dłuższa, ale dzięki temu, że omija się w ten sposób skrzyżowania, światła itp., to bardzo często okazuje się szybsza. Można przekonać się samemu, jak ważną sprawą są korytarze ekologiczne, czyli połączenia istniejące w naturze, niezbędne, by mogły przemieszczać się nimi różne organizmy. Najlepsze zaś i najbardziej uniwersalne korytarze ekologiczne to rzeki – zwłaszcza jeżeli mają zachowaną ciągłość naturalnej zieleni wzdłuż brzegów. Im szersze łąki, łozy czy łęgi, tym lepiej, ale ważna jest ciągłość, nieprzerwana nawet w miastach. Takim korytarzem wędrują ryby, bobry, przemieszczają się wodne ślimaki i larwy owadów, nasiona roślin itp. Oprócz ciągłości zieleni wzdłuż brzegów istotny jest brak zapór, ewentualnie wyposażenie ich w uniwersalne przepławki – takie, którymi przepłynie każde rzeczne stworzenie, a nie takie, które są zrobione dla sztuki, żeby pokazać, że dba się o przyrodę.

Rzeka, wzdłuż której jeżdżę najczęściej, jest nieduża, ale bardzo ładna. Jest wprawdzie ograniczona wałami, ale w obrębie wałów są łąki i pasy olsz czarnych. Są tam stanowiska lęgowe zimorodków, a z mostu można przyglądać się uklejkom i kleniom.

Jakiś czas temu w miejscu, w którym w pobliżu rzeki idzie droga i jest mały sad, pojawiły się śmieci. Ułożone w stosik, jakby ktoś je tam przywiózł. Pomyślałem, że może ktoś robił porządek w aucie.

Zebrałem je i posegregowałem, korzystając z uprzejmości pobliskiego zakładu mechanicznego, który użyczył mi koszy.

Za kilka dni śmieci pojawiły się znowu. Tak samo ułożone. Znowu je zebrałem, już trochę zdenerwowany.

Kiedy zjawiłem się po tygodniu, tym razem specjalnie, śmieci znów były – ułożone na kupce w tym samym miejscu.

Nie przedłużając. Śmieci składał w tym miejscu starszy pan, który biega wzdłuż rzeki. Zbiera je, odkłada na jedno miejsce, a co jakiś czas inny przyjeżdża i wywozi. Razem ze swoją grupą przy okazji biegania i spacerów sprzątają miejski kilkukilometrowy odcinek. Z własnej inicjatywy, po prostu dlatego, że chcą mieć czystą rzekę.

eprasa.pl 6d12520532

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Karać surowiej

Trzeba jak najszybciej podnieść, i to minimum trzykrotnie, wymiar kary za przestępstwa przeciwko wyborom i referendum

www.wojciechreszczynski.pl

Powracam do tematu wyborów parlamentarnych. Czekamy na wskazanie przez prezydenta RP terminu wyborów, od Sejmu – na zatwierdzenie referendum, a od inicjatorów ustawy referendalnej, w tym prezydenta, ostatecznej treści pytania lub pytań referendalnych. Zatem w tym samym czasie, w dniu wyborów do parlamentu, odbędą się trzy głosowania: do Sejmu, Senatu i w referendum na temat polityki imigracyjnej.

Rozszerzenie głosowań o zapytanie na temat przymusowej relokacji imigrantów, czego domaga się od Polski Komisja Europejska, z pewnością zwiększy frekwencję wyborczą, a na pewno jeszcze bardziej zmobilizuje do głosowania elektorat Zjednoczonej Prawicy. Do tego elektoratu stara się teraz dotrzeć Donald Tusk, który na ciche zalecenie Berlina głośno krytykuje politykę migracyjną polskiego rządu, domagając się większego zabezpieczenia naszych granic. To kolejny „fikołek polityczny", jak nazwał to zachowanie Tuska premier Mateusz Morawiecki.

Większość zaprezentowanych przez Ruch Kontroli Wyborów im. Jerzego Targalskiego sposobów ograniczenia fałszerstw wyborczych pozostanie tak jak przed laty listą niezrealizowanych życzeń. Za późno na wprowadzenie wielu zmian do Kodeksu wyborczego, ale zasady opracowane przez RKW mogą się przydać przy interpretacji uchwał Państwowej Komisji Wyborczej, która wielokrotnie uchwalała przepisy wewnętrznie z sobą sprzeczne. Najbardziej szkoda pomysłu wprowadzenia transmisji online z lokali wyborczych. Każdy mógłby zobaczyć, jak przebiega głosowanie i liczenie głosów. Utrudniłoby to fałszowanie wyborów, równocześnie zmniejszyłaby się liczba bezpodstawnych zarzutów fałszowania wyborów, o co już opozycja oskarża Prawo i Sprawiedliwość.

RKW słusznie zwraca uwagę na znaczenie definicji instytucji i procedur wyborczych. Jeżeli przyjmiemy, że lokal wyborczy to pomieszczenie, w którym znajdują się urna wyborcza i członkowie komisji wyborczych, to ten, kogo nazywamy operatorem systemu informatycznego, także powinien pracować w tym samym pomieszczeniu. Do tej pory zajmował osobną salę i tam dokonywało się przepisywanie danych wyborczych z protokołu ręcznego do protokołu elektronicznego.

Zasada ograniczonego zaufania w stosunku do wszystkich zaangażowanych w przeprowadzenie wyborów musi się też przejawiać we wspólnej segregacji i liczeniu głosów przez obwodową komisję wyborczą. Cały jej skład musi widzieć każdą kartę wyborczą okazaną przez przewodniczącego obwodowej komisji czy jego zastępcę. Podobnie sprawa liczenia posegregowanych kart i głosów powinna być obserwowana przez wszystkich członków komisji, mężów zaufania i obserwatorów. Trzeba raz na zawsze skończyć z dzieleniem członków komisji na małe grupki, co niby miało przyspieszyć liczenie głosów. Jak zauważa RKW, kolegialna segregacja i liczenie głosów trwa nawet krócej, gdyż wszyscy członkowie komisji, biorąc jednoczesny udział w tych czynnościach, mają świadomość ich uczciwości, stąd nie pojawia się konieczność powtarzania liczenia głosów, co miało dotychczas miejsce.

I sprawa sporządzenia protokołu wyborczego w obwodowej komisji. Najpierw musi być sporządzony protokół ręczny z ewentualnymi uwagami członków komisji lub mężów zaufania. Taki protokół, w dwóch egzemplarzach, musi być podpisany przez wszystkich członków komisji. Następnie jedna kopia protokołu powinna być niezwłocznie wywieszona na zewnątrz lokalu wyborczego, a druga w obecności wszystkich członków komisji, mężów zaufania i obserwatorów przeniesiona przez informatyka do systemu elektronicznego. Po jej wydrukowaniu, wraz z naniesionymi ewentualnymi uwagami, kopia-protokół powinna być ponownie podpisana przez wszystkich członków komisji, a następnie wywieszona na zewnątrz lokalu wyborczego obok protokołu ręcznego. Obie wersje muszą się z sobą zgadzać w 100 proc.

Czy w najbliższych wyborach PKW odejdzie od przepisu dotyczącego sporządzania projektu protokołu jako ewidentnie sprzecznego z przepisami Kodeksu wyborczego?

Na zakończenie powtórzę jeden z głównych postulatów tych wszystkich, którym zależy na uczciwości wyborów. Trzeba jak najszybciej, w drodze nowelizacji ustawy Kodeks karny, podnieść – i to minimum trzykrotnie – wymiar kary za przestępstwa przeciwko wyborom i referendum. Dotychczas za tego typu przestępstwa groziła kara od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia. Przestępstwa te należy zaliczyć do najcięższych, czyli do przestępstw przeciwko państwu polskiemu. Bezwzględne eliminowanie łamania prawa wyborczego z pewnością zwiększy zaufanie obywateli do wyborów, do ich wiarygodności. Przecież to fundamentalna kwestia zaufania do własnego państwa.

eprasa.pl 6d12520532

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Rak

Aleksander Nalaskowski

Po raz pierwszy kłamstwo uzyskało konkretną postać. Kłamstwo bowiem jako takie nie przejawia się fizycznie, jest zaledwie świadomie podanym za prawdę fałszem, jest abstraktem, tworem niefizycznym, bytem pozbawionym ciała. Ale tym razem ma ciało i wygląd.

Ma przerzedzoną rudawą fryzurę, złe oczy, lekko sepleni i nie wymawia „r". To kłamstwo nacechowane wszechstronnością, elokwencją, a niekiedy nawet poczuciem humoru. Innym razem knajackie, głupawe, a nawet wulgarne. To kłamstwo, do którego mamy się przyzwyczaić, bo gdy wygra jesienią, stanie się naszym powietrzem. Dzisiaj to kłamstwo wędruje po Polsce i nie ukrywa, że swoich słuchaczy ma za zwykłych głupków, którym można obiecać ogień, będący wodą, ciszę, będącą hałasem, aborcję, chroniącą nowo poczęte życie i strzeżenie granic pod hasłem „Herzlich willkomen". Im bardziej to uosobione kłamstwo brnie w swoją narrację, tym bardziej traktuje swoich słuchaczy jak półgłówków. Ale żelazny elektorat kłamstwa, żelazna publiczność ma to za nic, bo najważniejszy jest cel: odsunąć Kaczora od władzy. I nie dlatego, że jego konkurenci mają lepszy program, który wdrożą, ale po to, by wreszcie przegrał i było mu przykro.

Najdotkliwszym i najbardziej niebezpiecznym objawem toczącej nas choroby jest zobojętnienie wobec wszelkich prób dechrystianizacji Polski

Skoro drwina i szydera nie złamały giganta z Żoliborza, to może chociaż uda mu się zrobić jakąś przykrość, czymś do żywego dopiec, ukłuć, uszczypnąć. Najlepiej odsunąć go od władzy. I nie po to, by tę władzę mieć, ale tylko po to, by on jej nie miał. Wielki kłamca to tylko jeden z objawów poważnej choroby. Ale po kolei.

Nie tylko nasza codzienność, lecz także codzienność europejska jest jak mecz piłkarski. Ktoś komuś strzelił gola, ktoś kogoś sfaulował, ktoś zrobił kiksa, a inny dostał żółtą kartkę. Sędzia jest stronniczy, niektórzy zawodnicy podkupieni, a publika skanduje raz za jedną drużyną, a drugi raz za drugą. Te nasze spory, aferki, żenujące wypowiedzi, „osiem gwiazdek", wojenki, to tylko meczyk, naskórek, doraźność, gra, duże nic. Bo zarówno zawodnicy tych rozgrywek, jak i publiczność nie uświadamiają sobie, a może po prostu nie wiedzą, że toczy ich śmiertelna choroba, najzłośliwszy z możliwych rak, którego nie da się zatrzymać.

W swoim zarozumialstwie i głupocie ignorujemy sprawy fundamentalne. Dyskutujemy, czy człowiek ma prawo do życia, czy z wygody albo pod jakimkolwiek innym pretekstem można to życie wyskrobać. Dyskutowanie o tym, kwestionowanie prawa każdego życia do życia jest objawem choroby nieuleczalnej, to nowotwór, który konsumuje to, co najważniejsze – prawo naturalne. Tu nie ma żadnych furtek, żadnych kuchennych schodów. Tu jest tylko tak, tak-nie, nie. Reszta pochodzi od belzebuba. I każde życie jest święte.

Święta jest też miłość do ojczyzny. Ale i tutaj, pod powierzchnią banalnych sporów politycznych, zagnieździł się nowotwór. Bowiem dla człowieka o normalnej świadomości i standardowo sformatowanej moralności jest nie do pomyślenia, by donosić na swój kraj, by za granicą szkalować ojczyznę, by kłamać na jej temat i ją zohydzać. Okazuje się, że można to robić bezkarnie, nie licząc się z konsekwencjami i odpowiedzialnością. Ten rak jest tak złośliwy, że nawet nie próbujemy się przed nim bronić. Nawet nie potrafimy go nienawidzić. I już nas nie dziwi. Jest nienormalne, że kierowców karze się coraz większymi mandatami w imię prawa, a zdrajców nie sądzi się ani nie skazuje w imię tego samego prawa. Jakby przekroczenie dozwolonej prędkości było gorszą zbrodnią od zdrady. Pozbawianie Polski czci, szkalowanie jej mieści się w granicach dopuszczalnego „dialogu", a próby dyskutowania o sensowności tęczowych parad karze się z całą surowością. To choroba, którą mamy w sobie, a która nas w końcu zje i ostatecznie pozbawi rozumu. O wiele niebezpieczniejsza niż codzienne połajanki w Sejmie, niż głupie wypowiedzi poseł Pasławskiej czy brak mózgowej kompetencji Scheuring-Wielgus. Przed głupcami możemy się zamknąć w swojej bańce, ale przed głupcami-zdrajcami takiej bańki nie mamy.

Każda jednoznaczność, jasny pogląd, wyrazistość wymaga odwagi. Przyjmowanie strategii śliskiego piskorza jest kolejnym objawem naszej głębokiej choroby. Polityczna poprawność czy przemilczanie widocznego zła to tylko początki. Będzie jeszcze gorzej.

Najdotkliwszym i najbardziej niebezpiecznym objawem toczącej nas choroby jest zobojętnienie wobec wszelkich prób dechrystianizacji Polski. To tak, jakby z jadącego pod górę wozu wyprząc konie. Jeśli nie teraz, to w następnych pokoleniach ta choroba da o sobie dotkliwie znać, a skutki będą trudne do oszacowania.

eprasa.pl 6d12520532

Policzek dla Scholza

Jerzy ***Jachowicz***

Dziennikarz pewnie całą noc ćwiczył, żeby przypadkiem się nie przejęzyczyć. Trudno zrozumieć postawę największej prywatnej stacji telewizyjnej, która kilka dni temu w sposób skandaliczny pogorszyła nasze związki z Niemcami. Korespondent tej stacji, nadając na żywo relację z Brukseli ze szczytu Rady Europejskiej o przebiegu rokowań dotyczących relokacji migrantów, ani razu nie wymienił słowa „Niemcy". Jakby państwo niemieckie nie istniało. Wykreślił ze swojego języka naszych zachodnich sąsiadów. Najpotężniejsze państwo Europy. I zrobił to akurat w momencie, kiedy czołowi politycy niemieccy wyciągają do Polski serdeczną, pełną życzliwości dłoń. Oto dowody. Przywódca największej frakcji politycznej w Unii Europejskiej daje czytelny sygnał, jak wiele jest gotów poświęcić, by Polskę zbliżyć maksymalnie do grupy wyróżnianych państw wspólnoty. Wyraził to jednoznacznie, mówiąc, że jego partia jest w stanie przyprowadzić Polskę z powrotem do UE. Bliski mu polityczny towarzysz nie wahał się użyć jakże rzadkiego zwrotu w polityce „nasi polscy przyjaciele", pokładając wielkie nadzieje w zbliżeniu obydwu państw właśnie w sprawie problemu migracyjnego.

Tymczasem omawiając dokładniej aktualne problemy niektórych państw europejskich, wynikające z nadmiaru napływu nielegalnej migracji, wspomniany korespondent prywatnej telewizji mówił o kłopotach Włoch, Grecji, Hiszpanii, a ostentacyjnie ignorował Niemcy. Wykreślając je z mapy Europy. Żeby tego skutecznie dokonać, nie potknąć się i mimowolnie nie wspomnieć o Niemczech, musiał dokonać niezłej ekwilibrystyki. To nie mógł być przypadek. Trudno mi uwierzyć, że tak zniekształcona, ogromnie krzywdząca rząd niemiecki relacja była wyłączną inicjatywą dziennikarza.

Musimy liczyć się z tym, że ambasador Polski w Berlinie zostanie wezwany przez szefową niemieckiego MSZ Annalenę Baerbock, by wyjaśnić, skąd przejaw tak ostrej polskiej fobii antyniemieckiej.

To także policzek dla Olafa Scholza, który tak pięknie mówił o potrzebie solidarności w rozwiązaniu problemu migracji.

Wyśpiewać Weinberga z Tuwimem

Adam ***Ciesielski***

Światową premierę fonograficzną mają wydane przez oficynę DUX cztery cykle pieśni na głos z fortepianem Mieczysława Weinberga do słów Juliana Tuwima. Atutem eksponującym urodę tego repertuaru są interpretacje sopranistki Aleksandry Kubas-Kruk i mezzosopranistki Anny Bernackiej z towarzyszeniem pianistki Moniki Kruk.

Mieczysław Weinberg (1919–1996) był urodzonym warszawiakiem, wybitnie uzdolnionym pianistą, w którym upatrywano kandydata do polskiej reprezentacji na Konkurs Chopinowski. Po wybuchu wojny w 1939 r. uciekł do ZSRS, pozostali w kraju jego żydowscy rodzice i siostra zginęli w niemieckim obozie zagłady. Artysta ukończył w Mińsku studia kompozytorskie, z pomocą Dymitra Szostakowicza zamieszkał w Moskwie. Jako sowiecki kompozytor pisał dla radia, teatru i filmu. Obraz „Lecą żurawie" z jego muzyką w 1958 r. zdobył Złotą Palmę w Cannes.

Zostawił po sobie m.in. 26 symfonii, 17 kwartetów smyczkowych, siedem oper, w tym niewystawioną za życia „Pasażerkę" według relacji Zofii Posmysz, więźniarki Auschwitz i Ravensbrück. Dzięki pionierskiej inscenizacji tej opery przez Davida Pountneya w 2010 r. w Bregencji i Warszawie, potem w Londynie i Madrycie, o kompozytorze dowiedział się świat.

W dorobku ma on także utwory wokalno-instrumentalne do wierszy polskich poetów: Mickiewicza, Staffa i szczególnie mu bliskiego Tuwima.

I oto mamy 26 pieśni do poezji Tuwima. Sześć najwcześniejszych, zebranych w powstałym w 1940 r. cyklu „Akacje" (op. 4) to liryka miłosna. Amplitudę nastrojów młodego zakochanego człowieka efektownie oddają ujęcia Aleksandry Kubas-Kruk, sopranistki cenionej na scenach krajowych i europejskich. Ta sama artystka jest wykonawczynią zamykających album ośmiu romansów z cyklu „Stare listy" (op. 77), pochodzących z 1962 r. Utwory z pozostałych cykli – „Biblia cygańska" (op. 57) i „Wspomnienie" (op. 62), powstałych w połowie lat 50. XX w., ze swobodą i z wyczuciem śpiewa mezzosopranistka Anna Bernacka. Obok oryginalnego repertuaru i solidnego wykonawstwa walorem albumu jest jego brzmienie. Wydawnictwo DUX słynie z troski o wysoką jakość nagrań.

Mieczysław Weinberg, „(Un)Discovered Songs, cykle pieśni opp. 4, 57, 62, 77", wyk. Aleksandra Kubas-Kruk (sopran), Anna Bernacka (mezzosopran), Monika Kruk (fortepian), wyd. DUX

eprasa.pl 6d12520532

Radosław Sikorski i jego priorytety

Z uwagą oglądam w Telewizji Polskiej serial „Reset" Sławomira Cenckiewicza i Michała Rachonia. Do tego najważniejszego dokumentu, który powstał w IV Rzeczypospolitej, a który każdy powinien obejrzeć, dodam swoje trzy grosze. Ta historia może podpowiedzieć, kim jest Radosław Sikorski i jakimi priorytetami zawsze się kierował

PIOTR GONTARCZYK

Oficjalnie szefa MON Radosława Sikorskiego poznałem w 2006 r. Byłem wtedy zastępcą dyrektora archiwum Instytutu Pamięci Narodowej i odpowiadałem za kontakty ze służbami, co nieuchronnie oznaczało styczność z ABW i WSI oraz ich przełożonymi. To była rzecz obciążająca instytut (trzeba było maksymalnie ułatwiać dostęp do archiwów, bo to leżało w interesie państwa), ale dawała też możliwości. Szybko uznałem stan pomocy ewidencyjnych IPN za katastrofalny, a zbiór zastrzeżony za patologię. Wyrzuciłem z dnia na dzień zespół oficerów WSI od kilku lat bezprawnie (do 2006 r.) utajniających należące do IPN (!) materiały archiwalne. Sygnalizowałem też przełożonym konieczność podjęcia niezwłocznych kroków w kierunku likwidacji zbioru zastrzeżonego i digitalizacji pomocy ewidencyjnych SB, dzięki czemu można byłoby skrócić czas szukania informacji z miesięcy do dosłownie sekund.

Z „cywilami" nie było kłopotów. Przy wsparciu szefostwa MSWiA, życzliwej postawie prezydenta Lecha Kaczyńskiego i zaangażowaniu posła PiS Arkadiusza Mularczyka przyszedł czas, że sprawy ruszyły z kopyta. Gorzej było z WSI i ich patronem, ministrem Radkiem Sikorskim. Ten, ustawiany jak dziecko przez funkcjonariuszy WSI, stale znajdował problemy, mające podobno utrudniać wyjmowanie z Zetki i odtajnienie akt należących do WSI. Zaczęły mnie nachodzić delegacje wojskowych trepów, które próbowały przekonywać, że nie wolno ujawnić tych archiwów, bo to naruszy dobro polskich agentów. Wyjąłem więc teczkę agenta komunistycznych służb wojskowych, który w 1946 r. donosił na stacjonujące we Włoszech wojska gen. Andersa. Zresztą ten agent zerwał współpracę, kiedy zrozumiał, że donosi dla Warszawy, a nie dla Moskwy i Kominternu. Zapytałem dwóch obrabiających mnie pułkowników WSI, czy uważają tego człowieka za polskiego agenta. Bez cienia wątpliwości stwierdzili, że tak. Opowiedziałem, że w Polsce nie było wówczas Wojska Polskiego, bo to stacjonowało w Anglii, we Francji, no i właśnie we Włoszech. Popatrzyli na mnie zdziwieni, konsultowali się chwilę i poszli zakłopotani do swojej siedziby, bo kompletnie nie zrozumieli, o co mi chodzi.

Zamiast nich po pewnym czasie pojawił się szef MON, minister Radek Sikorski. Odbyła się rozmowa przede wszystkim jego i dyrektora archiwum, dr. Zbigniewa Nawrockiego, w której artykułowałem wiele ważnych do załatwienia postulatów. Minister obiecał je załatwić, ale tak naprawdę przyjechał w sprawie udostępnienia mu (oryginału lub kopii) wielkiej mapy sztabowej Ludowego Wojska Polskiego, która dotyczyła ataku nuklearnego i konwencjonalnego wojsk Układu Warszawskiego na Zachód. Obiecaliśmy rzecz załatwić, ale podtrzymaliśmy swoje postulaty. Nie uzyskaliśmy nic. Potem sytuacja powtórzyła się bodaj jeszcze raz czy dwa razy: my w sprawach państwowych, a ministrowi chodziło tylko o mapę.

Już wiedziałem, z kim mam do czynienia. Nie chodziło bowiem o Polskę i jakiekolwiek jej dobro. Chodziło tylko o zabawkę potrzebną do zorganizowania konferencji prasowej.

No skoro tak, to stale upominający się minister za moją sugestią i zgodą śp. Janusza Kurtyki odjeżdżał z niczym. Trzeba było widzieć minę takiego państwowca jak Kurtyka, który nie mógł uwierzyć, że tak ważne stanowisko w III Rzeczypospolitej może zajmować osoba, która jeśli chodzi o ważne sprawy państwowe, to prezentuje wyłącznie „ciąg na fotkę i szkło" co najmniej na miarę misia z Krupówek.

Dopiero po jakimś czasie zmieniono mi zakres obowiązków, a po kilku miesiącach przeszedłem do biura lustracyjnego, tracąc kontakt z tą sprawą. Wkrótce potem zobaczyłem w telewizji konferencję prasową – na niej minister Sikorski brylował na tle otrzymanej mapy, którą dostał w nieznanych mi do dziś okolicznościach. No i jak tu się dziwić, że ekipa Donalda Tuska z Radosławem Sikorskim w składzie nie miała kłopotów z wyborem między elementarnymi interesami państwa a trzymaniem się w głównym nurcie, apanażami i prasowymi konferencjami? Bo chyba tylko o to tu chodziło.

Wszystko to marność nad marnościami. Z wyjątkiem misia na Krupówkach.

eprasa.pl 6d12520532

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Zdziczała Europa

Unia Europejska wychodzi sama z siebie

Ryszard Makowski

Aspirując do UE, liczyliśmy na znalezienie się w dobrym towarzystwie krajów z wyższych sfer państwowości i na awans kulturowo-gospodarczy. Takie nadzieje były swoistą schedą po PRL. Wtedy to wzdychaliśmy do wolności za żelazną kurtyną. Był też element ekonomiczny. Studenci po wakacyjnych saksach jeździli lepszymi samochodami niż profesorowie Politechniki Warszawskiej.

Kto by się spodziewał, że od 1 maja 2004 r. „zmiany, zmiany, zmiany" aż tak dotkliwie nadwyrężą nasz kontynent. Europę zdestabilizowała zupełnie nieodpowiedzialna polityka multi-kulti. Niektóre kraje Starego Kontynentu miały kiedyś kolonie. Ktoś wymyślił, że obywateli z tamtych kolonii można by zaprosić do Europy, żeby pracowali na miejscu. Angela Merkel oczekiwała 2 mln egzotycznych gości. Pomysł świetny, tylko nie wypalił. Przybysze wolą żyć na koszt Niemców, Francuzów, Włochów, a co więcej – w dzielnicach niektórych metropolii gwarantują zorganizowaną przestępczość, jak choćby w Paryżu, gdzie palą samochody i plądrują sklepy.

I – co ciekawe – okazało się, że to Polska jest oazą normalności. Zbudowaliśmy zaporę przed zorganizowanym naporem. A cudzoziemców zatrudniamy legalnie. I za to mamy być ukarani! Albo zgadzamy się na relokację, albo płacimy kary. Pani komisarz Johansson tak sobie życzy i to jest obowiązkowe. Zna ktoś z państwa komisarz Johansson? No właśnie.

Nie możemy się na to zgodzić. Przecież musimy się liczyć z falą uchodźców przed uchodźcami, czyli rdzennych mieszkańców zdziczałej Europy Zachodniej szukających u nas spokoju.

eprasa.pl 6d12520532

Michał Korsun prezentuje: „Pusta Budka", czyli Borys na spotkaniu w KPRM sprawie imigracji

Wycinki z przeszłości

Pokazana na tym pięknym amerykańskim znaczku z 1963 r. Amelia Earhart, amerykańska pilotka, dziennikarka, podróżniczka, zaginęła wraz z nawigatorem Fredem Noonanem 2 lipca 1937 r. nad środkowym Pacyfikiem. Przelecieli już wtedy trzy czwarte swojej ekspedycji dookoła świata, mieli za sobą 40 dni podróży.

W momencie śmierci była już jedną z najsłynniejszych kobiet pilotów w historii. Jej wyprawy do dziś pobudzają wyobraźnię. Jako pierwsza przeleciała Atlantyk oraz kontynent amerykański.

Na poszukiwania samolotu Lockheed L-10 Electra władze amerykańskie wydały zawrotną wówczas sumę 4 mln dol. Bezskutecznie i 5 stycznia 1939 r. uznano ją za zmarłą. Zagadka jej śmierci do dziś pozostaje niewyjaśniona, pobudzając wyobraźnię poszukiwaczy i twórców.

(mk)

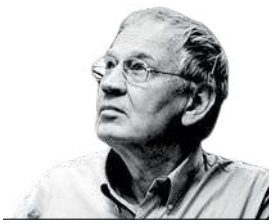

Leszek Długosz

Zaproszenie pod lipę

O jakież to zaproszenie piękne. Dalej pięknie Polakom służy. Szlachetny, zacny Janie, ta pańska gościna i uprzejmość jakże miła nam i dzisiaj. A rozkoszy tej lipy doznawszy, pomyślmy z uśmiechem – jakież to skarby może przechować dobrze uczyniona robota w piśmie... Pokoleniom służy z przyjemnością i ochłodą. I nie tylko bliskim pana z Czarnolasu. Lipiec to jakby pora wyróżniona, poświęcona tym wszystkim jego muzom – Hannom („Serce mi zbiegło, a nie wiem inaczej. / Jedno do Hanny, tam bywa naraczej..."). Choć w końcu ożenił się jednak (po sąsiedzku, nader fortunnie) z Dorotą.

Jan Kochanowski (1530–1584)

„Na lipę"

Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie!
Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,
Choć się nawysszej wzbije, a proste promienie
Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie.
Tu zawżdy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potym szlachci pańskie stoły.
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie.
Jabłek wprawdzie nie rodzę, lecz mię pan tak kładzie
Jako szczep napłodniejszy w hesperyskim sadzie.

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 6d12520532

OD A DO ZYBERTOWICZA

Przekręt korporacyjnej sprawiedliwości

Za sukcesem nurtu woke stają pieniądze wielu firm. Dlaczego kapitał finansuje ruchy, które kojarzymy z lewicą?

Kiedyś wspomniałem tu o książce Amerykanina hinduskiego pochodzenia nazwiskiem Vivek Ramaswamy. Jesienią 2021 r. wydał on książkę zatytułowaną „Woke, Inc.: Inside Corporate America's Social Justice Scam". Właśnie ukazała się po polsku pt. „Woke S.A. Kulisy amerykańskiego przekrętu sprawiedliwości społecznej". Rzecz wydał Warsaw Enterprise Institute.

Napisałem przedmowę do przekładu tej książki. Jej lektura pomogła mi zrozumieć szybkość i gwałtowność, z jaką na świecie – włącznie z Polską –modne ideologie sygnalizowane przez zbiorcze hasło „woke" zyskały zwolenników. Można to słowo tłumaczyć jako „przebudzenie". Idzie o cały kompleks tzw. progresywnych przekonań. To nurty genderopodobne, nurty związane z tzw. krytyczną teorią rasową, która wszędzie szuka systemowego rasizmu, z hasłami ESG – environment, society, governance (środowisko, społeczna odpowiedzialność, ład korporacyjny) – oraz DIE – diversity, identity, equity (różnorodność, tożsamość, równość).

WGLĄD W KONDYCJĘ KAPITALIZMU

Autor przedstawia siebie jako człowieka sukcesu biznesowego (zarobił miliony dolarów na start-upach medycznych), który jest zachwycony kapitalizmem, ale zniesmaczony jego obecną kondycją. Chwali kapitalizm jako system, który rozdziela zasoby ekonomiczne oraz szacunek nie według pochodzenia, ale według tego, co ktoś potrafi osiągnąć. Jest zniesmaczony, gdyż dostrzega, jak bardzo kapitalistyczny rynek został zdeformowany przez szkodliwe ideologie. Należy do nich kult różnorodności.

PŁYTKA RÓŻNORODNOŚĆ

Lansowane w bogatych społeczeństwach Zachodu pojmowanie różnorodności Ramaswamy określa jako *skin deep* – tj. na głębokość skóry – zazwyczaj chodzi bowiem tylko o to, co można dostrzec na pierwszy rzut oka.

Zdaniem autora książki, jeśli prawdziwy ma być argument, że rozwojowi społecznemu i gospodarczemu służy różnorodność, to powinno się zabiegać o różnorodność stylów myślenia. Bardziej innowacyjne bowiem będą te zespoły ludzkie, w których pokojowo ścierają się różne perspektywy poznawcze i tradycje kulturowe. A różnorodność widoczna gołym okiem – tyle, a tyle kobiet, tyle osób z różnych grup etnicznych w radzie nadzorczej – wcale tego nie gwarantuje. Taki mechanizm poprawności politycznej raczej przynosi płytkość myślenia i działania. I nietrudno zauważyć, że w firmach zadbać o płytką różnorodność jest o wiele łatwiej niż o rozmaitość stylów myślenia.

BIZNESMENI DO BIZNESU

Ramaswamy podkreśla, że przedsiębiorcy i menedżerowie znają się na tworzeniu firm i kierowaniu nimi, nie mają za to ani kompetencji, ani uprawnień do tego, by narzucać społeczeństwom swoje opinie polityczne, a tym bardziej moralne.

Biznesmeni jako obywatele mają prawo publicznie wyrażać *swoje* poglądy polityczne lub dotyczące kwestii moralnych – gdy robią to za własne pieniądze. Gdy jednak firmy – bogate korporacje – finansują np. liczne NGO-sy promujące pewne wizje rewolucji moralnej, to wykraczają poza obszar swojego powołania. W ten sposób bowiem nie tylko bezpodstawnie wywierają presję na swoich pracowników, którzy w obawie przed popadnięciem w niełaskę ze strony pracodawców kładą uszy po sobie. Finansując ideologiczne projekty, bezpośrednio ingerują w proces swobodnego, demokratycznego ucierania poglądów – w tym w sprawach moralnych, np. takich jak dopuszczalność aborcji.

OPŁACONY SUKCES

Za sukcesem nurtu woke stają zatem pieniądze wielu firm. Dlaczego kapitał finansuje ruchy, które kojarzymy z lewicą? Autor nie ma wątpliwości: bo udając, że wcale nie robi interesów, tworzy zasłonę dymną, za którą jeszcze skuteczniej może zawierać brudne nierzadko transakcje.

Zachęcając do lektury tej książki, muszę jedno dopowiedzieć. Ramaswamy zabiega obecnie o nominację na kandydata Partii Republikańskiej w nadchodzących wyborach prezydenckich. Jego program obejmuje także następujący postulat: Ukraina – zakończyć wszelkie wsparcie i negocjować z Rosją pokój w zamian za porzucenie sojuszu chińsko-rosyjskiego. Nie muszę dodawać, że jest to niezgodne z naszym interesem narodowym.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 56/0623/F

eprasa.pl 6d12520532

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI | wSIECI HISTORII

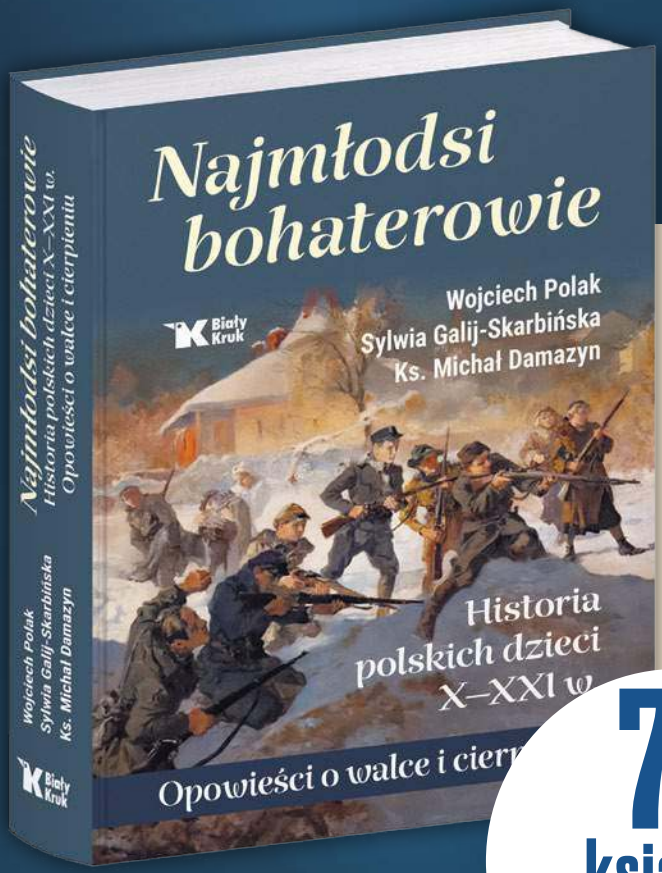

Dzieci rzadko trafiają na karty historii, ale autorzy książki znaleźli mnóstwo przykładów heroizmu najmłodszych w dziejach Polski od X do XXI wieku.

Powstała książka, jakiej jeszcze nie było. Czyta się ją z zapartym tchem i ze łzami w oczach.

536 STRON | TWARDA OPRAWA | BOGATO ILUSTROWANA | DLA WIELBICIELI HISTORII

75 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

Książkę **„Najmłodsi bohaterowie. Historia polskich dzieci X-XXI w."** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 6d12520532

LOTTO
LOTERIADA
POCZUJ ZEW NAGRÓD!
1x
Kia XCeed
XCeed
4x
kultowy włoski skuter
Do wygrania łącznie
2,5 MLN
talonów na Lotto i Ekspres Losy*
oraz ponad 600 nagród!
LOS WYDRUKOWANY CZWARTEK
01.06.2023, godz.12:00:00
2 zł
PEŁNA SKARBONKA
WYGRAJ 2 200 zł
TWOJE LICZBY
WYGRYWAJĄCE LICZBY
ZASADY GRY
TABELA WYGRANYCH
Lotto
CHYBIŁ TRAFIŁ
1: 01 02 03 04 05 06
2: 21 22 23 24 25 26
Kup dowolne produkty za min. 6 zł. Wybierz Lotto lub Lotto Plus i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z łącznej puli 2,5 MILIONA talonów na Lotto i Ekspres Losy*.
100x
drukarka INSTAX
20x
iPhone 14
500x
karta podarunkowa 4F 500 zł
4F | outhorn
KARTA PODARUNKOWA
Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!
Graj w punktach LOTTO i na
lotto.pl
18+ Ok
Szczegóły i regulamin na loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 29 czerwca do 14 sierpnia 2023 r. * Liczba talonów jest ograniczona i wynosi 1 500 000 talonów na Lotto oraz 1 000 000 talonów na losy loterii „Pełna Skarbonka". Organizator: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią: 459 59 59 00, czynną od poniedziałku do piątku w godz. 8.00-18.00 z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.